



TOMASZ  
BETCHER

# Tam gdzie jesteś

Chwytająca za wszystkie zmysły  
opowieść o zaniechaniu, karze  
i pokucie. I o tym, że miłość  
prowadzi do przemienienia.  
Poruszająca książka, o której myśli  
się długo po jej przeczytaniu.

- Janusz Leon  
Wiśniewski

Wydawnictwo  
ab

**Tomasz Betcher**

**TAM GDZIE JESTEŚ**



Copyright © Tomasz Betcher, MMXIX

Wydanie I

Warszawa, MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Epilog

Podziękowania

Przypisy

## Rozdział 1

Pod naporem łomu rama okienna odskoczyła z trzaskiem. Mężczyzna obejrzał się strwożony, ale nie było powodu do obaw. Rzęsisty deszcz bębniący o dach i porywisty wiatr niemal wepchnęły dźwięk wyłamywanego okna do wnętrza domu. Poza tym najbliższe zabudowania znajdowały się dobre kilkadziesiąt metrów dalej, a w taką pogodę nikt nie włączył się bez wyraźnej konieczności.

Zajrzał do środka. Poczł zapach starego drewna i zaduch dawno niewietrzonego pomieszczenia, zwiastujący, że dom nie był użytkowany od jakiegoś czasu. Wrócił do biegnącej przy posesji drogi, nie zważając na strugi wody płynące z nieba. I tak był przemoczony do ostatniej nitki. Do tego przeziębiony, głodny, z obolałą ręką. Lista niewygód nie miała końca, ale się nie skarżył. Stanowiły codzienność, a z nią trudno dyskutować.

Minąwszy wyważoną wcześniej łomem furtkę, poczłapał do zniszczonego dwukołowego wózka, z którego zdjął niewielką walizkę. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić z samym wózkiem, ale uznał, że nikt się nim nie zainteresuje. To, co było cenne, znajdowało się w walizeczce. Poza tym był październik. Tętniący życiem Jantar zamienił się w opuszczoną wioskę. Przy tej pogodzie nawet miejscowi nie byli skorzy do opuszczania swoich domów. Mimo wszystko Adam wolał nie rzucić im się w oczy. Wiedział z doświadczenia, że w takich małych miejscowościach ludzie są podejrzliwi i zauważają każdą obcą twarz. Właśnie dlatego wybrał jeden z leżących na obrzeżach Jantaru domów letniskowych. Z dużym prawdopodobieństwem można było założyć, że do wiosny nikt się w nim nie pojawi. Do zapadnięcia ciemności Adam czekał w lesie, obserwując kilka skupionych w jednym miejscu budynków. W końcu zdecydował się na ten stojący jako ostatni na polnej drodze, najbardziej zaniedbany, ze ścianami oblażącymi farbą i ogrodem, w którym żywopłot szpeciły długie odrosty, a przygnieciona wiatrem i deszczem trawa musiała sięgać do kolan. Ucieszył się, gdy w żadnym z sąsiednich domów nie zapaliło się światło. Przy odrobinie szczęścia nie będzie narażony na towarzystwo sąsiadów. Ukrywszy wózek w gęstych krzakach poza posesją, podszedł do wyważonego okna i niezgrabnie wgramolił się do wnętrza.

W domu panowało przyjemne ciepło, choć zapewne było to tylko złudzenie spowodowane pogodą. Godziny sterczenia na deszczu i wietrze pozbawiły ciało Adama resztek ciepła. Zamknął okiennice, a potem okno, którego na szczęście trwale nie uszkodził, choć solidnie wyszczerbił drewnianą ramę. Blokująca ją metalowa zapadka ugięła się pod naporem łomu. Po raz kolejny pomyślał, że mu się poszczęściło – z plastikowym oknem nie poszłoby tak łatwo. Przez chwilę czekał, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności, ale niewiele to pomogło. Pogmerał w kieszeni, z której wygrzebał niewielką latarkę znaną dawno temu pomiędzy zeberkami kratki ściekowej. Sztywnymi palcami wymacał włącznik i pstryknął, uwalniając wąski promień. Omiótł nim wnętrze. Wyglądało mniej więcej tak, jak się spodziewał, ale był zbyt zmęczony, by dokładniej mu się przyjrzeć. Najważniejszą informacją, jaką uzyskał podczas krótkiego rekonesansu, był brak śladów obecności gospodarzy. Rozejrzał się raz jeszcze. To, czego szukał, znajdowało się pod przeciwległą ścianą. Postawiwszy walizczkę na podłodze, ciężko opadł na kanapę. Zrobił to na tyle nieostrożnie, że zapiekła go zraniona kilka dni wcześniej ręka. Syknął z bólu, ale nie miał siły, by ją opatrzyć. Zresztą nie miał ani siły, ani motywacji na zrobienie czegokolwiek innego. Nawet na jedzenie. Wiedział, że głód przychodzi falami, a ostatnia najwyraźniej miała się ku końcowi. Wyciągnął się na kanapie, okrył się narzutą i zasnął.

\* \* \*

Nie wiedział, co go obudziło. Mógł być to wiatr napierający na okiennice, szum deszczówki płynącej w rynnach albo miarowy stukot kropel uderzających o dach. Przetarł kufakiem zaropiałe powieki. Oczy też go bolały. Czasem tylko swędziały lub piekły, ale dziś pulsowały bólem. Musiały być czerwone, tak jak wtedy, kiedy przez przypadek spojrzął w lustro dworcowej toalety, do której trafił, by napić się wody. Nie lubił patrzeć w lustro i nie lubił myśleć o tym, dlaczego tego nie lubi. Raz jeszcze przetarł oczy, wydłubując z kącików zaschniętą wydzielinę.

Przez wąskie szpary w okiennicach wpadała odrobina światła dziennego. Jeśli można było tak określić szarą poświatę przedostającą się do wnętrza. Nie podnosząc się z kanapy, Adam omiół wzrokiem wnętrze domu.

Nie był duży. Na parterze znajdowała się kuchnia połączona z częścią wypoczynkową. Umowną granicę między nimi wyznaczał obszerny narożnik, na którym zaległ mężczyzna, ustawiony naprzeciwko obłożonego piaskowcem żeliwnego kominka. Przy ścianach po jego obu stronach ustawiono sięgające do sufitu biblioteczki, ciasno wypełnione książkami. Tuż przed nimi piętrzyło się kilka stosów starannie ułożonych tomów. Pozostałą część parteru stanowiła niewielka sień. Nad drzwiami wejściowymi widniał trójkątny świetlik, przez który wpadało nieco światła. Adam zanotował w pamięci, że musi go zakryć, zanim wieczorem zapali lampę. W korytarzu zobaczył kilka par butów i zawieszonych na haczykach kurtek oraz drewniane schody prowadzące na piętro. Za nimi widniały uchylone wąskie drzwi prowadzące zapewne do łazienki lub toalety.

Uniósł się i jęknął z bólu. Chciał dokładniej obejrzeć kuchnię. Bez wątplenia meble miały już swoje lata, ale – choć przykrywała je gruba warstwa kurzu – były w dobrym stanie. Część kuchenną urządzono w tradycyjnym rustykalnym stylu. Szafki i półki były pomalowane na biało, dobrze komponowały się z blatem z naturalnego drewna. Z karniszy zwisały zakurzone pęczki ziół. Od razu rozpoznał miętę z jej strzępiastymi liśćmi. Resztę roślin kurz i czas zasuszyły tak bardzo, że ich gatunku mógł się tylko domyślać. Rozglądając się, stwierdził, że dobrze wybrał, godziny bezczynnego siedzenia na deszczu i wietrze nie poszły na marne. Już dawno nikogo tu nie było, wnioskował to ze śladów, jakie zostawiał na zakurzonej podłodze. Przy odrobinie szczęścia uda mu się przenieść tu jesień i zimę. W najlepszym wypadku właściciele lub turyści pojawią się tu na wiosnę, a wtedy będzie już daleko stąd.

Ból ręki zmotywował go do dzwignięcia się z kanapy. Od długiego czasu – tygodnie zamieniły się w miesiące, a miesiące w lata – do życia motywowały go tylko trzy czynniki: ból, głód i zmęczenie. A teraz pierwsze walczyło o palmę pierwszeństwa z drugim. Zdejmując brudną kurtkę, która dawno straciła swój pierwotny kolor, przyjrzał się dziurom wyżartym przez kwas. Spod tkaniny wzywała wypalona warstwa szarobiałego materiału ocieplającego, który nie powstrzymał żrącego płynu. Poczul ukłucie żalu, gdy przypomniał sobie ulubioną bluzę, którą zmuszony był wyrzucić. Stanowiła dla niego talizman, jednak tamtego dnia napis „Lucky77” nie przyniósł mu szczęścia. Cały lewy rękaw grubej ocieplanej bluzy, znalezionej w kontenerze na zużytą odzież, pokrywały dziury po kwasie. Żrąca substancja dotarła aż do jego skóry. Akurat wtedy musiał się zaciąć ten cholerny zamek w kurtce. Przypomniał sobie, jak zgrabiłymi z zimna palcami szarpał za uchwyt opornego suwaka, podczas gdy lewa ręka płonęła bólem. W myślach przeklął człowieka, który w przeznaczonym do rozbioru warsztacie pozostawił na półce otwarty pojemnik z kwasem. Dopóki rękaw kurtki nie zaczął dymić, Adam był przekonany, że oblał się wodą, w najgorszym wypadku olejem silnikowym. Szybko nadeszła jednak pierwsza fala bólu. Po wełnianej rękawiczce bez palców zostało tylko wspomnienie, podczas gdy oparzona dłoń dymiała, wydzielając kwaśny smród palonego mięsa. Lewa dłoń. Do listy nieszczęść mógł

dopisać tego dnia swoją leworęczność.

Tym razem kurtka – pozbawiona już suwaka – dała się ściągnąć bez oporów. Zrzucił ją na podłogę i zaczął mocować się z grubym wełnianym swetrem, którego nie znosił. Był niewygodny, nie miał kaptura i strasznie gryzł, przez co Adam drapał się, jakby miał pchły. A może miał? Zdecydowanie wolał bluzę i obiecał sobie, że gdy tylko nadarzy się okazja, zdobędzie podobną. Na razie musiał pogodzić się ze swetrem. Zważywszy na to, że była to ostatnia ciepła rzecz, jaką posiadał w skromnym zapasie ubrań, był wręcz na niego skazany. Po zdjęciu swetra okazało się, że niewprawnie zawiązany bandaż przykleił się do rany, przesiąknięwszy krwią i limfą. Strumień zimnej wody przyniósł spodziewaną ulgę. Na szczęście właścicielowi domu nie przyszło do głowy, by zakręcić zawory na zimę. Adam usiadł na taborecie, ciesząc się chłodem obmywającym rękę. Bandaż powoli odmiękał i stopniowo dawał się odwiązywać. Ręka wyglądała gorzej, niż się spodziewał. Rana tworzyła mozaikę popękanej skóry i wyzierającego gdzieś mięsa. Na zewnętrznej stronie dłoni, która miała bezpośredni kontakt z kwasem, widniało kilka dorodnych pęcherzy. Lodowata woda przynosiła ulgę, ale Adam wiedział, że to tylko rozwiązanie tymczasowe. Jego wzrok padł na zawieszoną na ścianie metalową apteczkę. Sięgnął po nią, nie wyjmując ręki spod strumienia. Ku jego rozczarowaniu było tam tylko kilka bandaży i opakowanie paracetamolu. Nie przeszkadzało mu, że termin ważności leku upłynął kilka lat temu. Otworzył zębami słoiczek i wsypał sobie do ust kilka tabletek, które pogryzł niczym draże. Za kilka minut powinny zacząć działać. „Do cholery! Muszą zacząć działać, inaczej zwariuję”, pomyślał. Zakręcił wodę, poczłapał do kanapy i ciężko opadł na posłanie. Ręka pulsowała, zdając się żyć swoim – niezwiązanym z resztą organizmu – życiem. Adam wyciągnął z kieszeni ręcznie skręconego papierosa i zapalniczkę. Przypalenie go prawą ręką stanowiło niemały wyczyn. Zaciągnął się głęboko i zakaszał. Od lat palił najtańszy tytoń i przyzwyczaił się do jego kwaśnego, duszącego smaku, ale ten był wyjątkowo podły.

– Cholera jasna – wychrypiał, czując ból promieniujący od przedramienia. Słowa ledwo przecisnęły się przez gardło. Ileż to czasu minęło, od kiedy odezwał się po raz ostatni? Trzy dni? Pogrzebał w pamięci i stwierdził, że ostatnie słowa wypowiedział, nieudolnie targując się o pieniądze. Nie potrafił tego robić i tym razem nie utargował ani złotówki. Mimo wszystko poczuł ukłucie zadowolenia. Spojrzał na leżącą nieopodal kanapy walizkę, w której znajdował się cały jego dobytek.

Prawie tysiąc złotych – tyle dostał w sklepie z militariami za znaną w warsztacie radiostację. Oszałały z bólu, z niemałym trudem załadował ją na swój wózek. Ważyła chyba ze trzydzieści kilo. Trafił na nią pod stertą złomu, który zamierzał zawieźć do skupu. Zanim wrzucił radioodbiornik na wózek, postanowił raz jeszcze przeszukać pomieszczenie, które kiedyś zapewne było biurem. Znalazł plecione krzesło i wszedł na nie, by sprawdzić, co znajduje się w niewielkiej wnęce, pod którą przypuszczalnie umieszczone były kiedyś stoły warsztatowe. Stojąc na palcach, wyciągnął rękę i wymacał pojemnik. Wtedy zmurszała wiklina pękła z trzaskiem i oblał się kwasem. Oczywiście z taką raną powinien natychmiast udać się na pogotowie. Bał się jednak, że pozostawiony na zewnątrz wózek zniknie wraz z zawartością. Jeszcze wtedy nie wiedział, jaką wartość może mieć radiostacja, ale utrata wózka oznaczałaby stratę jakiegokolwiek zarobku. Szybko obmył rękę w lodowatym potoku płynącym przez miasto i zmienił ubranie. Z żalem wyrzucił podziurawioną bluzę. Rano zawiózł radiostację na złom.

Pan Waldek, właściciel złomowiska, przez dłuższą chwilę intensywnie wpatrywał się w podkurczoną rękę Adama, ale w końcu poradził mu, żeby zapytał w sklepie z militariami, czy radiostacja jest coś warta. Pan Waldek w ogóle chyba dobrze mu życzył. Może go lubił, może mu współczuł, a może po prostu wiedział, że Adam nie zamienia zarobionych pieniędzy na alkohol ani nie kradnie. Waldek był sknerą, ale uczciwym. Nie hołdował częściej wśród złomiarzy

zasadzie „wspólne, czyli niczyje”. Ci, którzy próbowali sprzedać studzienki kanalizacyjne bądź fragmenty torów kolejowych, omijali skup Waldka szerokim łukiem. Poza tym facet znał się na rzeczy. W sklepie z militariami okazało się, że radiostacja pochodzi z radzieckiego czołgu i jest unikatem. W Polsce pozostało ich może kilkanaście, a dla kogoś, kto odrestaurowywał czołg, była bezcenna. Adam dostał za nią tysiąc złotych, co w jego sytuacji stanowiło kosmiczną sumę, ale wiedział, że to tylko ułamek tego, co dostałby normalny człowiek, niekloszard. Gdyby nie to, że powołał się na Waldka, jego zarobek skurczyłby się pewnie do równowartości flaszki. Tysiąc złotych zostało uszczuplone o koszt zapasu mielonek i chleba, które wypełniły pustkę po swetrze w małej walizce.

Otrząsnąwszy się z zamyślenia, Adam rozpiął wysłużony suwak, wyciągnął konserwę i widelec. Z oparzonej ręki odpływał ból. Najwyraźniej paracetamol zaczął działać.

Otworzył puszkę i zaczął jeść, przypatrując się zakurzonemu grzbietowi książek. Goethe, Dostojewski, Dickens, Szekspir, Sienkiewicz. Zbiór był imponujący. Sięgnął po leżącego na wierzchu stosu Fausta, zdmuchnął kurz z okładki i otworzył na chybił trafił, kładąc książkę na niewielkim stoliku kawowym. Książka była stara, pożółkła i nosiła ślady użytkowania. Przeczytał kilka stron, gdy jego wzrok padł na fragment, przy którym zatrzymał się na dłużej.

„Jestem tym duchem, który zawsze przeczy!

I bardzo słusznie, bo wszelkie istnienie

Zasługuje wyłącznie na zniszczenie.

Najlepiej żyłoby się w pustym świecie.

Więc to, co grzechem zwiecie,

Rozkładem, złem po prostu, dnem i dołem,

Moim właśnie jest żywiołem”.<sup>1</sup>

Tak. Właśnie tak było. Najlepiej żyłoby się w pustym świecie. A tak to tylko dno i dół.



## Rozdział 2

Żółty mini cooper sunął nierówną asfaltówką prawie dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, co przy tej pogodzie było co najmniej nierozsądne. Zbliżający się ostry zakręt przywrócił Annę do rzeczywistości. Zdjęła nogę z gazu i poprawiła się w fotelu. Jeździła tym autem od kilku lat i choć darzyła je sympatią, nadal nie mogła się przyzwyczaić do tego, że prędkościomierz umieszczony był na środku deski rozdzielczej, a nie przy kierownicy. Dlatego zdarzało jej się na niego spoglądać. Podmuchy porywistego wiatru sprawiały, że niewielkim samochodem rzucało na boki. Anna wysłuchiwała wiadomości w radiu, ale najbardziej interesowała ją prognoza pogody. Tak jak się spodziewała, nie zanosilo się na poprawę aury, która zafundowała wszystkim jesień w najgorszym wydaniu. Nie ciepłą złotą jesień, gdy wiatr zmiata kolorowe liście z drogi, roześmiane dzieci zbierają dorodne kasztany, a lasy pyszną się tak intensywnymi kolorami, że trudno uwierzyć w niezwykle dzieło natury. Nie, tegoroczna jesień postanowiła być zupełnie inna. Wiatr szarpał koronami drzew ogołoconych z liści, a deszcz siekł strugami, tworząc wszędzie już nie kałuże, ale małe bajora. Marznące mgły każdego ranka były przyczyną wypadków, co z kolei prowadziło do paraliżu miasta.

Oczywiście Anna przeziębila się ju

Kobieta zwolniła jeszcze bardziej, gdy na końcu drogi zobaczyła tablicę z nazwą miejscowości.

W Jantarze spędziła dużą część dzieciństwa, ale podczas ostatnich kilku lat była tu raz, góra dwa razy. Miejscowość niewiele się zmieniła, choć wielu starszych ludzi, z którymi dobrze znał się jej ojciec, już nie żyło, a młodzi wyjechali za pracą do pobliskiego Trójmiasta albo dalej, w świat. Zresztą w październiku Jantar miał zupełnie inne oblicze niż wiosną czy latem. Przy panującej obecnie aurze Anna w ogóle nie spodziewała się zastać tu nikogo znajomego. Dom należący kiedyś do jej ojca, a teraz będący własnością Anny, leżał nieco na uboczu, w sąsiedztwie kilku podobnych domów letniskowych. Poczowała ucisk w żołądku na myśl, że będzie musiała go sprzedać, jednak wiedziała, że odwlekanie tej decyzji tylko przedłuży jej rozterki.

Z głównej drogi skręciła w gruntową, która po tygodniach opadów solidnie podmokła. Czowała, jak koła ślizgają się w grząskich koleinach, ale auto jak zwykle jej nie zawiodło. Wyłączyła silnik przy bramie wjazdowej, po czym zapatrzyła się na dom poprzez spływające po szybie strugi deszczu. Stygnące silnik i wydech wygrywały skomplikowaną melodię stuków i tyknięć. Anna położyła dłonie na kierownicy i oparła się o nie czołem. Była zmęczona. Zmęczona życiem, a w takim wypadku żaden odpoczynek nie pomoże. Najchętniej rozplakałaby się, gdyby nie to, że płakała już dziś w aucie. I poprzedniego dnia też, tak samo jak dwa dni temu. W ogóle ostatnie dni składały się z epizodów płaczu w różnych odosobnionych miejscach. Kobieta kichnęła i wytarła chusteczką zaczerwieniony nos. No tak, chusteczki musiały wystarczyć zarówno na katar, jak i na łzy. Westchnęła i otworzyła drzwi, kuląc się przed jadowicie zimnym podmuchem wiatru, wdzierającym się do wnętrza auta.

Nie trudziła się wyjmowaniem parasolki z bagażnika – zmokłaby przy tym bardziej niż podczas przejścia tych kilku metrów dzielących ją od drzwi domu. Sięgnęła do kieszeni po klucz od furtki, ale nie był potrzebny. Ukrecona kłódka wisiała na metalowym oczku. Ktoś się włamał! Anna rozejrzała się niepewnie, ale nie dostrzegła nic niepokojącego. Przez ułamek sekundy żałowała, że nie ma z nią Eryka albo chociaż Filipa, lecz szybko odrzuciła te myśli. Eryk był dupkiem, który w razie niebezpieczeństwa zostawiłby ją tutaj na pastwę losu. Była tego pewna. A Filip? Cóż, mimo że jej syn był od kilku dni dorosły, to nadal miała poczucie, że musi go

chronić. Zresztą i tak ostatnio relacje między nimi były napięte. Trudno, sama zrobi to, po co przyjechała. Sięgnęła do torebki po gaz pieprzowy i przełożyła do kieszeni. Nosiła go przy sobie już z dziesięć lat i nie była pewna, czy zadziała, gdy będzie potrzebny. „Jeśli będzie potrzebny”, poprawiła się w myślach. Ale sama świadomość, że go ma, pomagała.

Obeszła dom, raz po raz oglądając się za siebie. Wszystkie okiennice były zamknięte, więc albo włamywacze weszli drzwiami, albo zostali spłoszeni. Ostrożnie podeszła do drzwi i obejrzała je równie dokładnie jak okna. Nic nie wskazywało na to, żeby drzwi zostały sforsowane przemocą. Może wyłamana furtka była tylko sprawką dzieciaków, które nie poradziły sobie z solidnym zamkiem w drzwiach? Chwyliła klamkę, spięta i gotowa do ucieczki. Ku jej uldze drzwi ani drgnęły. Sięgnęła po klucz i przekręciła go w zamku. Każdy drobniaczek tutaj przywoływał wspomnienia, tak jak ten brelok przy kluczach. Wytarty, niemal niewidoczny emblemat Skody wygrawerowany na kawałku czarnej skóry. Pamiętała, jak tata bawił się, kręcąc nim na zamocowanym kółku. Przez wiele lat zastanawiała się, co przedstawia. Sprawdziła w internecie, że tajemniczy symbol to głowa Indianina, nadal nie wiedziała jednak, co może mieć wspólnego z motoryzacją. Wiatr prawie wyrwał jej klamkę z ręki, brutalnie przywracając do rzeczywistości. Otworzyła drzwi na oścież, blokując je stojącym w sieni kaloszem. Jej ojciec lubił je nosić. Przez długą chwilę nasłuchiwała, ale nic nie wzbudziło jej niepokoju. Ruszyła w stronę kuchni, zagłębiając się w ciemne wnętrza domu. Skrzynka z bezpiecznikami umieszczona była obok lodówki. Zawsze uważała, że to niepraktyczne, zresztą jej ojciec również, ale domek miał już swoje lata, kiedy go kupili. A tato nie był typem człowieka, któremu takie detale przeszkadzały. Położenie na nowo instalacji elektrycznej wiązałoby się z remontem, a ojciec tego nie lubił.

Zanim przystąpiła do wkręcania korków, odruchowo pstryknęła włącznikiem światła w kuchni. Ku jej zdumieniu żarówka się zapaliła, rozświetlając wnętrze. Coś tu było nie tak – cholernie nie tak! Krzyknęła ze strachu, kiedy zobaczyła wszechogarniający bałagan. Rozbieganym wzrokiem starała się rozpoznać sytuację, choć instynkt podpowiadał jej, żeby uciekać. Blaty w kuchni pokrywały sterty brudnych naczyń, puszki po konserwach i butelki po wypitym alkoholu. Koło zlewu piętrzył się stos zakrwawionych bandaży. Jednak największe przerażenie wywołał w Annie człowiek wydostający się spod sterty koców na kanapie. Stał blisko sieni, co mocno komplikowało sprawę.

Mężczyzna był od niej prawie o głowę wyższy, choć lekko się garbił. Nawet w nikłym świetle kuchennej żarówki widziała, że ma brudne, zniszczone ubranie. Spod gęstwiny zmierzwionych, zlepionych brudem włosów wyzierały niebieskie zdeorientowane oczy. Jeden rękaw wyciągniętego swetra podwinął do łokcia. Przyciskał do brzucha lewą rękę, która była jedną wielką raną.

– Co pan tu robi?! – krzyknęła Anna, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiał lęk. Chyba się nie udało.

– Ja... – Adam nabrał powietrza, by zdobyć się na wyjaśnienie. Nagle przyszło mu do głowy, że nie musi tego robić. Przecież tego się właśnie spodziewał. Podświadomie oczekiwał, że jego spokojny żywot zostanie przerwany, szkoda tylko, że stało się to tak szybko. Zrobiło mu się żal tej zdenerwowanej kobiety. Wzruszył tylko ramionami. Było mu wszystko jedno. Znajdzie następne miasteczko, następny dom, następne schronienie, aby mieć święty spokój.

– Niech się pan stąd wynosi! – Anna trzęsącymi się rękoma wyjęła z kieszeni pojemnik z gazem. – Bo zadzwonię po policję.

Odwrócił wzrok. W pośpiechu pozbierał swoje rzeczy, schował je do walizki, włożył kurtkę, buty i nie spoglądając na zdenerwowaną kobietę, wyszedł na deszcz. Kątem oka widział, jak nieznajoma opiera się o blat kuchni, przykładając dłoń do czoła. Najwyraźniej jej ulżyło.

Wózek czekał na niego w krzakach tak, jak go pozostawił. Zdążył się wypełnić mokrymi pozółkłymi liśćmi. Adam wrzucił do niego walizkę, po czym ruszył rozmiękkłą błotnistą koleiną. Ślad po niedawnym przejeździe żółtego samochodu powoli wypełniał się wodą.

Anna odetchnęła dopiero, gdy mężczyzna zniknął za niewielkim wzniesieniem. Stojąc w drzwiach, obserwowała padający coraz mocniej deszcz. Po kilku głębszych wdechach tłukące się jak oszalałe serce zaczęło zwalniać. Śmiertelnie przeraziła się intruza, choć on również sprawiał wrażenie przestraszonego. Poczowała ukłucie wstydu, że tak go potraktowała. Nigdy nie odnosiła się tak do ludzi, szczególnie tych pokrzywdzonych przez los, ale ostatnio... Ostatnio wszystko wyglądało inaczej. Nie poznawała siebie. Stała się wybuchowa, wiecznie poirytowana i skora do płaczu. Czowała ciężar tego, co działo się w jej małżeństwie, choć od momentu, gdy złożyła pozew rozwodowy, emocje przestały się nasilać. Po wybuchu emocji przychodziło opamiętanie, a kiedy już się uspokoiła, zżerały ją wyrzuty sumienia. Znowu pomyślała o ojcu.

Gdyby żył, nigdy nie dopuściłby do tego, aby sprawy przybrały taki obrót. Profesor literatury miał trzy pasje: literaturę klasyczną, rodzinę i działkę w Jantarze. Był jedną z niewielu osób, przed którymi Eryk odczuwał respekt. Wysoki i postawny, nie przypominał pracownika naukowego. I dopóki żył, mąż traktował ją przyzwoicie. Nie jak księżniczkę, ale przyzwoicie. Udar mózgu dopadł ojca na ukochanej działce i z książką na kolanach. Anna długo nie mogła się pozbiierać po jego śmierci, ale wmawiała sobie, że gdyby tato miał wybór, umarłby właśnie tak. Ta myśl była kojąca.

Zapaliła pozostałe światła, bo nie miała ochoty wychodzić na deszcz i wiatr, by otwierać okiennice. Stos książek przy kanapie musiał być dziełem niespodziewanego lokatora. Na jego wierzchu, grzbietem do góry, leżała otwarta Zbrodnia i kara. Uwielbiała Dostojewskiego, a tę powieść czytała kilkanaście razy. Tuż obok zobaczyła słoik po dżemie, wypełniony do połowy wodą i niedopałkami ręcznie robionych papierosów. Dopiero teraz, gdy emocje opadły, mogła skupić się na takich detalach. Mężczyzna nie zabrał kilku swoich rzeczy – na blacie w kuchni leżał scyzoryk, obok niewielka latarka. Może obcych przedmiotów było więcej. Dzięki temu, że знаła dom od podszewki, wiedziała, co nie pasuje do wnętrza. Ostrożnie wzięła do ręki scyzoryk i zamknęła krótkie ostrze służące do otwierania konserw. Wzdrygnęła się, gdy poczuła, że jest klejący od brudu, po czym schowała go do foliowego woreczka. Podobnie zrobiła z resztą drobiazgów. Wróciła myślami do nieznanego. Kim był? Wyglądał wyjątkowo mizernie. Zapewne śmierdział okropnie, ale przez ten cholerny katar nic nie wyczuła. W innym wypadku na pewno nie zdecydowałyby się wejść do domu. Równie dobrze mógł być przestępcą, choć po prawdzie nie wyglądał na niebezpiecznego. Raczej na wystraszonego. Sądząc po opróżnionych butelkach, mógł być pijany, ale czy to miało w tej chwili jakieś znaczenie? Na studiach miała praktyki w ośrodku dla bezdomnych i pamiętała, że za każdą osobą kryła się niesamowita, czasem przerażająca historia. Zamknęła dom i wsiadła do samochodu, przeklinając pogodę po raz setny.

Nie musiała go długo szukać. Brudnoszarą kurtkę rozpoznała już z daleka. Zastanowiło ją, dlaczego nieznanemu nie wzięła jednej z kurtek ojca, wiszących w sieni. Mężczyzna siedział na przystanku PKS, składającym się z ławeczki metrowej długości i znaku informacyjnego, o który opierał się przybysz. Zatrzymała się w zatoczce i włączyła światła awaryjne. Bezdomny miał przymknięte oczy. Z długiej, skołtunionej brody skapywały krople, tworząc ciemną plamę na kurtce. Przeskoczyła sporą kałużę, stając na wprost nieznanego.

– To chyba należy do pana – bardziej stwierdziła, niż zapytała, wyciągnąwszy z kieszeni wypełniony woreczek.

Mężczyzna otworzył oczy. Były zaczerwienione i zaropiałe, ale uwagę Anny zwróciły tęczęwki koloru Bałtyku w pogodny dzień. Dłuższą chwilę zajęło jej określenie ich koloru – nie

były niebieskie, lecz morskie. Bezdomny skinął głową i zdrową ręką sięgnął po paczuszkę. Palce miał długie i chude, a paznokcie okalała czarna otoczka brudu. Wiatr zadał, wprawiając konary okolicznych drzew w ruch powodujący skrzypienie i syznął lawiną kropel zrzuconych z gałęzi. Anna wzdrygnęła się, gdy jedna z nich wpadła jej za kołnierz.

– Ma pan dokąd pójść?

Ponownie kiwnął głową.

– Dokąd? – nie ustępowała.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Może... – zawahała się. – Może zawiozę pana do schroniska dla osób bezdomnych?

– Nie – odezwał się po raz pierwszy od czasu, gdy wyrzuciła go z domu. Głos więził mu w gardle, jakby odzwyczyił się od rozmów. – Tam nie.

– Powinien pan gdzieś się zatrzymać. Nie wygląda pan dobrze. – Spojrzała na rękę, którą mężczyzna przyciskał do brzucha. Dopiero teraz zobaczyła, że rękaw kurtki jest dziurawy. Wyglądał jak wypalony. Po chwili milczenia nieznajomy ponownie wzruszył ramionami. Irytowała ją ta obojętność. I ten cholerny deszcz i wiatr, przez które już zaczynała się trząść.

– Przepraszam, że tak na pana nakrzyczałam. Wystraszyłam się – powiedziała. Mężczyzna spojrział na nią i mogła przysiąc, że zobaczyła w jego oczach isierkę rozbawienia. – Wie pan co? Jest tutaj taka mała restauracja, otwarta też poza sezonem. Mogę kupić panu coś do jedzenia w ramach przeprosin?

– Nie trzeba – mruknął pod nosem i ponownie zamknął oczy.

– Mój ojciec lubił mówić, że jak dają, to brać, a jak biją, to uciekać. – Anna zaśmiała się nerwowo, gdy zrozumiała, jak niezręczny był to żart. Siedzący przed nią człowiek prawdopodobnie znał tę maksymę z codziennego życia. – Niech pan się nie wygłupia. W taką beznadziejną pogodę trzeba zjeść coś ciepłego.

Mężczyzna milczał dłuższą chwilę, obserwując ją uważnie, aż w końcu odparł:

– To niech pani zje. Smacznego.

– Mam pana prosić? Nie chcę się narzucać, ale myślę, że by się to panu przydało. No, niechże się pan zgodzi...

– Dobrze. Ale pod jednym warunkiem – powiedział pewniejszym głosem nieznajomy i poprawił się na ławeczce.

Anna zirytowała się, że stawia jej warunki, ale nie skomentowała.

– Zje pani ze mną. Trzęsie się pani z zimna.

– Cóż, myślę, że nie jest to zły pomysł – rzekła po namyśle.

Dzisiejszego dnia już chyba nic nie było jej w stanie zdziwić. Rzeczywiście przemarzła i była głodna. Wiedziała, że jedyna otwarta o tej porze roku restauracja to dawna Marina. Kiedyś całą rodziną chodzili tam na obiady. Proste, smaczne jedzenie, głównie świeże ryby prosto z kutra. Nawet miejscowi lubili tam zaglądać na fląderkę i piwo. Kilka lat temu lokal kupił nowy właściciel. Od tego czasu była tam dwa razy. Zmieniło się wszystko. Zniknęły umieszczone na ścianach kamizelki ratunkowe, wiosła i zwisające z sufitu żagle, wciąż pachnące morzem. Na ich miejsce pojawiły się nowoczesne grafiki i ledowe reflektory na podwieszanym suficie. Nowy właściciel najwyraźniej brzydził się zwykłą flądą i tradycją rybacką. Zmienił menu na znacznie bardziej wyszukane. Cóż, może mieszkańcom Jantaru taka zmiana się podobała, w końcu flądę mieli od zawsze i na co dzień, ale Anna była zawiedziona. Po starej Marinie nie została nawet nazwa. Restaurację przemianowano na hiszpańskie El Puerto.

– Gdzie ona jest?

– Słucham? – Wróciła do rzeczywistości.

– Ta restauracja, gdzie ona jest? – Mężczyzna podniósł się z ławeczki.

Anna wskazała na samochód.

– Niech pan wsiada. Zawiozę pana.

– Ubrudzę pani siedzenie. Pójdę, jeśli powie mi pani, gdzie ona jest.

– Niech pan się nie wygłupia – zgała go i otworzyła drzwi pasażera.  
Skapitulował.

## Rozdział 3

Ich wejście do El Puerto wywołało niemały szok, mimo że w restauracji nie było gości. Barmanka i kelner, siedzący na obitych czerwoną skórą stołkach barowych, urwali w pół zdania, obserwując nowo przybyłych. Kelner, który mógł być w wieku Adama, zerwał się z miejsca i pospieszył z pomocą Annie, najwyraźniej sądząc, że zaczepił ją ten człowiek o niebudzącej wątpliwości aparycji. Jeszcze przez dłuższą chwilę nie rozumiał zaistniałej sytuacji.

– Ten pan jest ze mną – oznajmiła Anna, zdejmując seledynowy szal, doskonale dopasowany do jesiennego płaszcza. Mówiąc to, obdarzyła kelnera tak lodowatym spojrzeniem, że ten zamilkł w pół słowa.

Adam ściągnął kurtkę, odwieszając ją na wykonany z kutej stali wieszak, wystylizowany na kształt winorośli. Poczul na sobie pełne obrzydzenia spojrzenie kelnera. Cieszył się, że gryzący, nielubiany sweter przykrywa prowizoryczny opatrunek na poparzonej ręce. Zajęli czteroosobowy stolik przy oknie z widokiem na morze. Ku niezadowoleniu Adama w całej sali nie było ani jednego miejsca, które mogłoby ich skryć przed wścibskim wzrokiem obsługi. Mężczyzna ciężko opadł na krzesło, chowając dłonie pod stołem. W eleganckiej restauracji brudne paznokcie raziły nawet jego. Przez dłuższą chwilę lustrował wnętrze, wreszcie odwrócił głowę do okna. Pomimo panującej na zewnątrz aury widok na wzburzone, spienione fale zatoki zapierał dech w piersiach.

Adam czuł się niezręcznie. Wszystko poszło nie tak, jak to zaplanował. Zjawienie się właścicielki domu było najłatwiejszym z problemów do rozwiązania. Znajdzie sobie inny dom. Jak nie w Jantarze, to w którejś z sąsiednich miejscowości. O tej porze roku większość domów letniskowych i altan w ogródkach działkowych stoi pusta. O wiele gorzej czuł się z tym, że przyczynił się do bałaganu, jaki zapanował w domu podczas dwóch tygodni jego bytowania. Najbardziej jednak uwierało go to, że uległ jej namowom i dał się zaprosić na obiad. Zaskakująco łatwo uległ. Była piękną kobietą. Siedziała teraz naprzeciwko i przewiercała go oczami koloru gorzkiej czekolady. Choć uważne i hipnotyzujące, były lekko podkrążone – mógł to być efekt kataru, choć wyglądała raczej na zmęczoną, może niewyspaną. Oderwał od niej wzrok, nie chcąc wyjść na niegrzecznego. Od tej chwili rzucał tylko ukradkowe spojrzenia, jednak za każdym razem wychwytywał interesujące szczegóły. Szybko zauważył, że drżą jej dłonie. Kasztanowe włosy, lekko pokręcone od deszczu i wszechobecnej wilgoci, spadały kaskadą na jej ramiona. Zakończone perłą kolczyki ozdabiające kształtne uszy doskonale współgrały z prostym, ale niewątpliwie kosztownym naszyjnikiem. Niewielki nos był lekko zaczerwieniony z powodu kataru i pewnie tej niedyspozycji Adam zawdzięczał, że mogła znieść jego towarzystwo. Ale nie uległ jej z powodu urody. Przynajmniej nie tylko. Była pierwszym normalnym człowiekiem, który po tylu latach odważył się zjeść z nim posiłek. Słowo „normalnym” było tu kluczowe. Innym niż żule, menele i kloszardzi spod dworca czy z zapuszczonego podwórka, wiecznie pijani i szukający „wsparcia”. Innym niż pracownik pogotowia czy schroniska, patrzący na niego oczami profesjonalisty, który pomoc potrzebującym ma wpisaną w swój zakres obowiązków. Po prostu normalny człowiek z normalnym życiem. Adam nie pamiętał, kiedy po raz ostatni miał takie towarzystwo. Już sama obecność tej pięknej, delikatnej kobiety była jak portal czasu. Jak furtka do przeszłości, o której istnieniu już prawie zapomniał.

– A dla pana? – Kelner z trudem starał się ukryć odrazę, jaką napawała go konieczność obsłużenia takiego klienta, ale Adam nie miał do niego pretensji. Raz jeszcze spojrzął w kartę pełną obcojęzycznych nazw.

– Poproszę zupę z fasoli. – Wskazał brudnym palcem pozycję w menu.

– Crema de frijol? – Na ustach kelnera pojawił się nieznaczny uśmiech, jednak nie było w nim nic przyjaznego.

– To nadal zupa z fasoli, prawda? – Anna instynktownie stanęła w obronie Adama, gdy poczuła, że obsługujący ich mężczyzna stara się zadrwić z bezdomnego, który niemal skulił się w sobie.

Obsługa była tu równie pretensjonalna jak wystrój lokalu i karta. Flądra, śledź i dorsz zostały wyparte przez solę, łososia i okonia morskiego, a wódkę i piwo zastąpiły tequila i wyszukane wina. Aż dziw brał, że knajpa o tak przerośniętych aspiracjach ulokowała się w skromnym i swojskim Jantarze.

– Tak, oczywiście. Coś do picia?

Anna pokręciła przecząco głową.

– Kawę – powiedział Adam. Marzył o niej od kilku dni. Zapasy w domu szybko się skończyły.

Kelner skinął głową i odszedł.

Wprawdzie Adam miał ogromną ochotę na ulubione podwójne espresso, ale przypomniał sobie sytuację, kiedy przypadkowy przechodzień chciał kupić mu kawę w jednej z warszawskich kawiarni. Sprzedawca otaksował go wzrokiem i zapytał: „A od kiedy źle piją espresso?”, wprawiając w konsternację zarówno jego, jak i uprzejmego przechodnia. Zamiast w eleganckiej filiżance dostał espresso w papierowym kubku, ale i tak był za nie wdzięczny. Teraz jednak nie chciał wpuścić nieznajomej kobiety w równie kłopotliwą sytuację.

– Dlaczego wybrał pan tylko tę zupę? – spytała Anna, która chwilę wcześniej zamówiła grillowanego dzikiego łososia z mango i brązowym ryżem oraz lampkę wina. Pięćdziesiąt złotych za lampkę było rozbojem w biały dzień, ale nie odezwał się słowem.

– Powinna być pikantna i treściwa – odparł, choć była to tylko częściowo prawda. Zawsze miał wyrzuty sumienia, gdy naciągał kogoś na posiłek. – W taki paskudny dzień będzie jak znalazł.

– Skoro mamy zjeść razem obiad, może przejdziemy na ty? – Wyciągnęła rękę ozdobioną delikatnym, nienachalnym pierścieniem i wąską obrączką. Miała wypielęgnowane paznokcie, starannie pomalowane na seledynowy kolor. – Ania.

– Adam. – Uścisnął jej dłoń. Jego sękaty brudny palec stanowiły żenujący kontrast.

To nie tak, że nie mył rąk. Brud, z którym dłonie stykały się podczas pracy przy złomie, a szczególnie wszelkiego rodzaju smary, oleje i farby, wżerały się w skórę i paznokcie do tego stopnia, że można było je usunąć tylko przy użyciu pasty BHP, na którą od dawna nie było go stać.

Nawet jeśli Ania zwróciła uwagę na jego brudne ręce, nie dała tego po sobie poznać. Nagle poczuł narastający wstyd.

– Słuchaj, przepraszam za to wszystko. Jak chcesz, wrócę tam i posprzątam bałagan, który narobiłem.

Chciała odpowiedzieć, ale kelner przyniósł wino i kawę. Adam liczył na to, że na stole pojawi się standardowa duża czarna z ekspresu, który widział za barem. Gdy postawiono przed nim plujkę, nie czuł jednak rozczarowania. „Cóż, życie”, pomyślał.

Przez chwilę oboje milczeli, wpatrując się we wzburzone fale. Woda przybrała ciemny, szaroniebieski kolor. Nad nią przetaczały się zwaliste chmury, zalewając zatokę strugami deszczu.

Anna oderwała wzrok od hipnotyzującego widoku za oknem i spojrzała na Adama, który przymknął oczy i wdychał aromat parującej kawy. Wróciła myślami do czasów studiów. Jako przyszły psycholog odbywała praktyki śródroczne między innymi w schronisku dla osób

bezdomnych. Lubiła z nimi rozmawiać, choć czasem irytowały ją łakome spojrzenia, jakimi ją obdarzali. Zapamiętała niezwykle opowieści, historie upadku. Upadali biedni, upadali bogaci. Zarówno prości, jak i wykształceni. We wszystkich tych zmęczonych twarzach widziała jedną wspólną cechę – pokorę. Wtedy też nabrała szacunku do tej poznaczonej zmarszczkami, brudem za paznokciami i trzęsącymi się rękoma pokory. Ci ludzie zostali przygięci do ziemi niczym trzcina na wietrze, ale się nie złamali. Zastanawiała się, czy tak samo jest z Adamem.

– Co cię tu sprowadza? – Mężczyzna podniósł filiżankę, dzwoniąc o spodek.

– Chciałam zrobić zdjęcia domku. – Uśmiechnęła się zdawkowo. To było kłamstwo, ale wiarygodne. Po chwili uznała, że nie ma sensu go okłamywać. – Potrzebowałam odskoczni. Choć zdjęcia też zamierzałam zrobić. Gdy wyjeżdżałam z Gdańska, nie padało aż tak mocno, sądziłam więc, że się uda.

– Po co ci zdjęcia domu?

– Zamierzam go sprzedać. – Te słowa z trudem przeszły jej przez gardło.

– Dlaczego? – zdziwił się, odstawiając kawę. Ręce mu drżały, ale nic nie mógł na to poradzić. – Chyba fajnie móc uciec z Trójmiasta, gdy za miedzą masz taki przytulny dom?

– To nie takie proste. – Anna przecesała włosy w nieco nerwowym geście. Ta rozmowa zaczynała schodzić na niebezpieczne tory. Przez chwilę błądziła myślami wokół ostatnich wydarzeń, wahając się, czy i ile może mu powiedzieć. Adam nie ponaglał. W końcu uznała, że nie ma powodu, by cokolwiek przed nim ukrywać. – Mam zamiar wyprowadzić się z Gdańska. Niedawno wniosłam pozew rozwodowy. O wiele za późno. Domek należał do mojego ojca. Zmarł kilka lat temu. Myślałam, że będziemy tu przyjeżdżać całą rodziną... – Głos jej się załamał. Wiedziała, że zaraz zabraknie jej sił, aby prowadzić tę rozmowę. – Cóż, nie byliśmy tu ani razu. Mój mąż chciał zburzyć domek i postawić tu coś przyzwoitego. – Nakreśliła palcami cudzysłów.

– Przyzwoitego? – Adam spojrzał na nią, unosząc brew. Czuł, że ta rozmowa ją denerwuje, ale zarazem jej potrzebowała. Inaczej by nie mówiła. – Co może być przyzwoitszego od wygodnego domku nad morzem?

– Nie znasz mojego męża – zaśmiała się gorzko i pociągnęła łyk wina. – Może to i dobrze. Nie obraż się, ale to, co dla ciebie jest sufitem, dla niego jest podłogą. To długa historia i musiałabym wypić całą butelkę, żeby ci ją opowiedzieć. A jak to jest z tobą? Masz tu jakąś rodzinę? Od dawna... no wiesz? Przepraszam, jeśli jestem wścibska.

– Nie, nie jesteś. – Adam wlepił w nią uważne spojrzenie, szukając w głowie wiarygodnej odpowiedzi. Z opresji wybawił go kelner.

– Dziki łosoś z mango – powiedział, stawiając przed Anną prostokątny talerz przypominający czarną płytkę podłogową. Właściciel najwyraźniej miał wysokie aspiracje. Talerze łupkowe w liczbie wystarczającej na prowadzenie restauracji musiały kosztować majątek. Widząc spojrzenie Adama, kelner z satysfakcją podał mu zupę. – Crema de frijol.

– Bufon – parsknęła Anna, gdy kelner się oddalił. Nie znosiła takiego nadęcia, ale o tej porze roku nie miała wyboru. El Puerto była chyba jedyną czynną restauracją w promieniu kilkunastu kilometrów. Swoją drogą, ciekawiło ją, jak są w stanie utrzymać się poza sezonem.

Adam nie zareagował na zaczepkę kelnera. Wpatrywał się intensywnie na przemian w jej danie i w swoje.

Anna zaczęła jeść, choć tak naprawdę nie była głodna. Zaintrygowana obserwowała, jak jej towarzysz pochłania gorącą zupę, dzwoniąc łyżką o talerz.

– Smakuje ci?

– Nie jest najgorsze – mruknął, nie podnosząc wzroku. Jedzenie prawą ręką kiepsko mu szło, skoncentrował się więc na tej czynności.



– Nie najgorsze? – To stwierdzenie ją rozbawiło. Gdyby właściciel restauracji usłyszał je z ust bezdomnego, mógłby tego nie przeżyć. Postanowiła pójść o krok dalej. – A co w nim jest nie tak?

– W moim daniu? – Mężczyzna przestał jeść, patrząc na nią przenikliwie. Wytarł wąsy i brodę serwetką. – Poza drobnymi mankamentami można powiedzieć, że jest nawet dobre. Na twoim miejscu martwiłbym się o swoje. Oszukali cię. To, co masz na talerzu, nawet nie leżało obok dzikiego łososa. To łośoś hodowlany. W dodatku może nie być najświeższy. Taką ilością przypraw można zabić każdy zapach.

– Skąd wiesz? – Anna spoważniała. Zastanowiło ją nie tylko to, co mówił Adam, ale również jak mówił. Nie był prostakiem, zulem zwracającym się do każdego per „stary” lub „kierowniku”, tego była pewna. Postanowiła go sprawdzić. – A co, jeśli się mylisz?

– Wtedy to ja postawię deser – odpowiedział bez wahania. Na szczęście nie musiał kalkulować, czy ma dość pieniędzy. Pierwsze pytanie celowo zignorował. Wystarczyło zamknąć oczy, by przywołać barwę czy strukturę mięsa dzikiego łososa. Było zdecydowanie ciemniejsze i nie tak pomarańczowe jak to leżące na talerzu Anny. Niemal czuł pod palcami jego sprężystość, której pozbawiony był hodowlany odpowiednik.

Anna spojrzała na nieznajomego, zastanawiając się, czy z nią pogrywa, jednak w jego oczach nie zobaczyła nic, co by ją zaniepokoiło, tylko spokój. Obróciła w palcach kieliszek i skinieniem głowy przywołała kelnera, niedbale opartego o bar. Dopiero teraz dostrzegła, że mężczyzna nieustannie ich obserwuje. I chyba nie tylko dlatego, że byli jedynymi klientami restauracji.

– Czy zastałam właściciela? – zapytała, gdy kelner wyprężył się przed nią, ignorując Adama.

– Czy coś nie smakuje?

– Jeszcze nie spróbowałam – odpowiedziała wymijająco. – Chciałabym tylko o coś zapytać.

Mężczyzna zniknął za wahadłowymi drzwiami do kuchni. Po chwili ukazał się w nich szczupły trzydziestolatek w sportowej marynarce i czerwonych półbutach. Mocny zapach jego perfum uderzył w nozdrza Adama, jednak Anna ze zrozumiałych względów pozostała na niego obojętna. Zza modnych krzykliwych oprawek okularów wyzierały nerwowe oczy.

– W czym mogę pomóc? – Kaszlnął w dłoń zniecierpliwiony i wyraźnie zdegustowany obecnością Adama. Wieści roznosiły się szybko.

– Pana szef kuchni podał mi łośosia hodowlanego zamiast dzikiego, prawda? – Anna obrzuciła mężczyznę lodowatym spojrzeniem, do którego Adam powoli się przyzwyczajał.

– Cóż... – Chudzielec się zawahał. – Nie sądzę, ale zapytam szefa kuchni. – Obdarzył gości nieszczerym uśmiechem, po czym sztywnym krokiem udał się do kuchni. Gdy wrócił, jego mina mówiła wszystko. – Bardzo mi przykro, ale musiał być błąd w dostawie. Rzeczywiście podano pani łośosia norweskiego.

– Norweskiego? – Adam parsknął, opluwając się zupą. – Człowieku, nazwij po imieniu to hodowlane gównno.

– A co taki obszczymur...

– Dość! – Anna uderzyła dłonią w stół. Zabrzęczały sztućce. – Obraża pan mojego i swojego gościa.

– Spokojnie, Aniu. Pan ma pewnie na myśli, że ktoś taki jak ja nie ma prawa do smaku i węchu – powiedział Adam z przesadną gracją, nie zwracając uwagi na gotującego się ze złości właściciela restauracji. – A dla pana mam jeszcze jedną radę. Crema de frijol gotuje się ze świeżej czarnej fasoli, a nie konserwowej. Ta wciąż ma smak zalewy.

– Czy mam zabrać państwa dania? – Właściciel wyglądał, jakby połknął gorzką pigułkę. Na jego twarzy mieszały się złość i upokorzenie. Choć dla Adama nadal zachował pełen pogardy wzrok, to Annę obserwował z ostrożnością i rezerwą.

– Niech pan je zostawi i już idzie. Myślę, że wszystko sobie wyjaśniliśmy – oznajmiła Anna łagodnie.

Gdy za mężczyznę zamknęły się wahadłowe drzwi, kobieta spojrzała na pochłaniającego zupę Adama i roześmiała się. Nigdy nie słyszała o crema de frijol, choć Eryk bardzo lubił wyjścia do drogich restauracji. Nieraz jadła łososa, który od kilku lat cieszył się niesłabnącą popularnością i podawano go w wielu różnych odsłonach. Wprawdzie od czasu do czasu w mediach pojawiały się informacje o jego szkodliwości, o fatalnych warunkach hodowlanych, ale podobnie było z innymi produktami – raz je chwalono, raz ganiono. Jak Adam domyślił się, że ją oszukano? Przecież nawet nie spróbował leżącego na czarnym talerzu kawałka mięsa.

– Skąd wiedziałeś? – nie wytrzymała. Ciekawość niemal paliła ją od wewnątrz.

– Miałem okazję próbować jednego i drugiego łososa... kiedyś – odpowiedział z dziwnym grymasem na twarzy. Przywoływanie wspomnień najwyraźniej niosło ze sobą ból, więc Anna zmieniła temat.

– Co ci się stało w rękę? – Spojrzała wymownie na dłoń, którą mężczyzna ukrywał pod stołem.

– Wypadek przy pracy. – Adam wytarł usta serwetką i wrzucił ją do pustego talerza. – Oblałem się kwasem w jakimś opuszczonym warsztacie. Będziesz to jadła? – Wskazał ruchem głowy na zimne już danie.

– Nie, raczej nie. W zasadzie w ogóle nie byłam głodna.

– To ja chętnie się tym zajmę. – Bezceremonialnie sięgnął po talerz i sztućce.

– Tym hodowlanym głównem? – Uśmiechnęła się lekko.

– Wyobraź sobie, że jadalem ostatnio odrobinę gorsze rzeczy – mruknął, wpychając do ust spory kawałek ryby.

Wyobraziła sobie, a raczej próbowała. Trochę żałowała, że spotkali się o tej porze roku. Wiosną lub latem zabrałaby go na flądre lub turbota, smażonego przez panią Magdę w małej budce przy plaży. Ustawiającą się do niej kolejkę można było liczyć w dziesiątkach metrów, ale przyniesiona prosto z kutra jej męża ryba była tego warta.

Adam skończył jeść. Raz jeszcze otarł usta serwetką, po czym głośno wydmuchał nos w zmiętą i zniszczoną chusteczkę z materiału. Pamiętała takie z dzieciństwa. Jej ojciec zwykł trzymać swoją w tylnej kieszeni. Była ciemnozielona w szarą kratę. Rozstał się z nią, gdy w Polsce nadeszła era chusteczek higienicznych. Od lat nie widziała nikogo, kto by takiej używał. Przeniosła wzrok na dłoń Adama. Obszerny rękaw swetra obsunął się, odkrywając fragment ręki. To, że nie zjadła obiadu, uratowało ją przed mdłościami.

– Boże... Musisz coś z tym zrobić! Najlepiej, gdyby twoją rękę obejrzał lekarz – powiedziała, nie odrywając od niej wzroku.

Zawstydzony mężczyzna obciągnął rękaw swetra i ukrył rękę pod stołem.

– Dlaczego nie pójdziesz do schroniska?

– Byłem, ale to nie miejsce dla mnie. – Adam spojrzał jej w oczy. Teraz to on zastanawiał się, ile może powiedzieć poznanej niedawno kobiecie. – Niezbyt dobrze czuję się wśród ludzi. Jedyne, czego chcę, to żeby mnie zostawiono w spokoju. Tu żyję, jak chcę. Śpię, kiedy jestem zmęczony, jem, kiedy jestem głodny. Albo kiedy mam co. – Uśmiechnął się słabo. – Nie mówię, że schronisko to złe miejsce. Po prostu ja nie umiem się tam odnaleźć.

To była prawda, ale nie cała. Bardziej niż to, o czym powiedział Annie, dobijały go historie nieszczęśników, którzy zawitali do schroniska. Nie mógł znieść myśli, że jest tak bardzo

podobny do niektórych z nich. Na przykład do Antoniego, wykołowanego prezesa spółki giełdowej, czy Cezarego vel Żuliusza Cezara, którego wóda, prochy i łatwe dziewczęta wycisnęły jak cytrynę ze wszystkich zarobionych w Holandii pieniędzy. Albo Małego – Adam nie miał pewności, jak naprawdę nazywał się niski mężczyzna – którego wystawili do wiatru żona i jej kochanek. To nie byli ludzie z marginesu. Podobnie jak Adam zostali wypchnięci poza nawias społeczeństwa wtedy, kiedy powinęła im się noga. Albo kiedy zostali sami. Najczęściej te dwie rzeczy nierozzerwalnie się ze sobą łączyły.

Anna w milczeniu wpatrywała się w widok za oknem, przygryzając w zamyśleniu kosmyk kasztanowych włosów. Chwila milczenia, która dla Adama mogłaby trwać nieskończenie długo, została niespodziewanie przerwana przez dźwięk komórki. Kobieta ocknęła się z zamyślenia i sięgnęła po telefon, ale zignorowała dzwoniącego, wykonując szybki ruch po ekranie. Poprawiła się na krześle i splotła palce ponad stołem. Przez kolejną minutę wpatrywała się uważnie w Adama, który czuł, jak przewierca go wzrokiem. Dopięła resztę wina i odezwała się:

– Słuchaj, mam dla ciebie propozycję. Wiem, że w ogóle się nie znamy i może to głupie z mojej strony, ale mam swoje powody, żeby to robić. Do wiosny domek pewnie i tak się nie sprzeda. To nie jest pora na takie transakcje. Sprzedając go na siłę, dużo bym straciła. Możesz wrócić i tam pomieszkać, dopóki nie znajdzie się kupiec, ale mam trzy warunki. Po pierwsze, obiecaj mi, że będziesz dbał o dom i nie zapuścisz go... tak jak teraz. Po drugie, pomożesz mi go odnowić, w miarę możliwości oczywiście. Znasz się trochę na budowlance?

– Umieć naprawić kran, jeśli o to pytasz – odpowiedział Adam, bawiąc się filiżanką z resztką kawy na dnie. – A po trzecie?

– Pozwolisz się obejrzeć lekarzowi.

– Cóż, z tym będzie problem. Nie jestem ubezpieczony, nie mogę tak po prostu pojechać do szpitala.

– O to się nie martw. Lekarz przyjedzie do ciebie. Zgoda? – Wyciągnęła rękę ponad stołem.

Miała naprawdę piękne dłonie. Adam po raz kolejny wystraszył się, że może je ubrudzić od samego dotyku. Jednak to, co oferowała mu kobieta, było jak los wygrany na loterii. A tylko głupcy niszczą go, piorąc wraz ze spodniami.

– Zgoda. – Ujął jej dłoń i delikatnie uściśnął.

## Rozdział 4

Adam cierpliwie znosił dezynfekcję rany. Ręka do łokcia wyglądała jak wielki, popękany w kilku miejscach strup. Tam, gdzie skóra się otworzyła, piekło najbardziej. Aby nie myśleć o tym, skupił wzrok na kolczyku w kształcie agrałki, przeciągniętym przez dwie dziurki w uchu opatrującej go lekarki. Alicja Jarosz – przyjaciółka Ani – drobiazgowo oczyszczała ranę, prowadząc przy tym swobodną, niezobowiązującą rozmowę, choć zaczęła od kilku bardzo bezpośrednich pytań. Mimo to Adam był mile zaskoczony. Nie próbowała udawać, że niczego nie widzi. Już od samego wejścia zrugała go nie tylko za bałagan, do którego się przyczynił, ale także za szereg zaniedbań względem higieny.

– Nie jest tak źle. – Alicja odłożyła nasączony środkiem antyseptycznym wacik na stół. – Niepotrzebnie zawijałeś to bandażem. Lepiej byłoby, gdyby powietrze miało dostęp do rany. Nadal uważam, że powinieneś udać się do szpitala, ale Ania ostrzegła mnie, że możesz być... oporny.

– Na pewno da się to wyleczyć w domowych warunkach – odparł Adam. Ostatnie, czego chciał, to hospitalizacja.

– Ty mi tu diagnoz nie stawiaj. Typowy facet: nie zna się, a chce rządzić – fuknęła. – Spróbujemy, ale nie gwarantuję sukcesu. Jeśli w ciągu tygodnia ręka nie przestanie boleć i nie zacznie się zablizniać, będziesz musiał iść do szpitala. – Alicja spojrzała na niego poważnie.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności okazało się, że jest nie tylko przyjaciółką Ani, ale także wziętym dermatologiem, choć specjalizowała się w medycynie estetycznej. Była sympatyczna, a przy tym rzeczowa i konkretna. Mogli być w tym samym wieku. Miała krótko ostrzyżone blond włosy i wesołe niebieskie oczy, była też gadatliwa, ale w sposób, który odpowiadał Adamowi. Spodobało mu się, że od razu zaproponowała, by mówili sobie po imieniu, jakby znali się od dawna.

Lekarka potarła czoło w zamyśleniu, a z dużej skórzanej torby – niepasującej do jej drobnej postury – wyciągnęła spray. Zauważyła, że Adam przygląda się torbie.

– Nie myśl, że jeżdżę z tym na co dzień. To... pamiątka. – Wyczuł w jej słowach nutę zawahania. Szybko zmieniła temat, podając mu niewielki pojemnik. – Psikaj tym kilka razy dziennie. Powinno pomóc, a przynajmniej złagodzić ból. Tu masz jeszcze antybiotyk i środki przeciwbólowe, ale staraj się je ograniczać. Alkohol też. Najlepiej w ogóle odstaw. Wszystko jest tutaj. – Podała mu niewielką kartkę zapisaną drobnym, równym pismem. Kolejne zaskoczenie.

– Dzięki, ile należy się za wizytę? – zapytał, odliczając w myślach pozostałe pieniądze.

– Nie wygłupiaj się. Pogadałyśmy trochę z Anką, opowiedziała mi historię waszego spotkania. Niezła. Zamiast zapłaty zrób coś dla mnie, a raczej dla wszystkich – doprowadź się do porządku. Katar Anki nie będzie trwał wiecznie. – Puściła do niego oko i uśmiechnęła się.

– Postaram się – mruknął w odpowiedzi. Nie podobało mu się, że był bohaterem rozmowy między kobietami, ale nic nie mógł na to poradzić.

Odprowadził lekarkę do furtki i poczekał, aż jej srebrne terenowe audi zniknie za wzgórzem. Deszcz i wiatr chwilowo osłabły, ale z lokalnego radia wiedział, że paskudna pogoda zrobiła sobie tylko krótką przerwę. Wracając do domu, obszedł go dookoła i otworzył wszystkie okiennice. Zamierzał uporządkować panujący w środku bałagan, gdy tylko Anna odwiozła go z restauracji, jednak chęci szybko go opuściły. Przespał całe popołudnie, licząc na to, że uda mu się posprzątać przed wizytą lekarza. Nie udało się. Alicja przyjechała chwilę po ósmej i klaksonem wygoniła go z łóżka. Wyglądał jak strach na wróble, stojąc przed nią w spranej koszulce, bokserkach i skarpetkach, ale wewnątrz domu było w jeszcze gorszym stanie.

Dezaprobatą lekarki, rozglądającej się wokół, była wystarczającą karą. Uciekł wzrokiem przed jej spojrzeniem i obiecał sobie, że gdy tylko Alicja wyjedzie, zabierze się za porządki. Nie chciał dać się tak zawstydzić po raz drugi.

Pogrzebał chwilę przy starej unitrze, stojącej na blacie w kuchni. Wiekowy sprzęt często gubił fale. Ucieszył się, gdy za pierwszym razem złapał częstotliwość lokalnego radia. Było o niebo lepsze od komercyjnego chłamu, którego dosyć nasłuchał się, koczując w dworcowych poczekalniach i włączając się po galeriach handlowych, z których zresztą szybko był wyganiany. Uśmiechnął się kwaśno, gdy z głośnika popłynęły słowa piosenki Ale wkoło jest wesoło.

– Tak, bardzo – burknął pod nosem, zastanawiając się, od czego zacząć sprzątanie.

Z szuflady wyjął duży worek na śmieci. Przez chwilę mocował się z oderwaniem go od rolki, gdy wspomnienia ożyły. Zapach folii wciąż był intensywny i nieco drażniący. Błyskawicznie przeniósł go na płytę poznańskiego lotniska. Silniki potężnego dreamlinera pracowały na wolnych obrotach, kiedy wszedł do rękawa prowadzącego do terminala. Do odprawy paszportowej dotarł jak w transie. Obojętny na spojrzenia funkcjonariusza Straży Granicznej odebrał dokumenty i poszedł dalej. Stał w hali bagażowej, patrząc, jak jego ciemnoszara walizka jeździ w kółko. Po kilkunastu obrotach podjął wreszcie decyzję. Pożegnał bagaż wzrokiem i odszedł. To, co się w nim znajdowało, powodowało tylko niepotrzebne rozdrapywanie rany.

Dolary wetknięte do portfela przez przyjaciela z Nowego Jorku skończyły się szybko. Sprzedał telefon, zegarek i kilka innych wartościowych rzeczy. Z czasu spędzonego w Warszawie pamiętał niewiele. Pił byle co – zwykle mocne, tanie wina – jadł byle co, spał byle gdzie. Mógł zostać okradziony, gdyby tylko miał coś cennego. Nie miał, więc w ramach rekompensaty złodziej go pobił. Wytrzymał prawie tydzień, pijąc wodę z poidełek, kranów w miejskich szaletach i McDonaldach. Doskonale pamiętał, gdy po raz pierwszy sięgnął do śmietnika, by wyciągnąć puszki po piwie. Ukradzioną ze sklepu rolką worków na śmieci pachniała dokładnie tak samo jak ta, którą trzymał w dłoniach. Z uporem wpatrywał się w czarną folię niczym w ekran kinowy, na którym jeszcze sekundę temu wyświetlił się film jego życia. Obejrzany od połowy, bo pierwszej części nie chciał pamiętać.

Adam osunął się na wyłożoną kafelkami podłogę, oparł się o drzwiczki jednej z kuchennych szafek i ukrył twarz w dłoniach. Jego wątłym, pozbawionym energii ciałem wstrząsnął szloch.

Nie mógł. To, co trawiło go od środka, było niczym wielka ośmiornica, oplatająca mackami wszystkie jego członki. Nawet jeśli chciał coś zrobić, nie mógł. Początkowo tłumaczył to brakiem sił, później niską motywacją. W końcu przestał cokolwiek tłumaczyć, tak jak przestał działać. Ból, głód i zmęczenie. Tylko to jeszcze popychało go do jakiegokolwiek wysiłku. Jego jedyni przyjaciele.

Wytarł rękawem oczy. Siedział jeszcze przez chwilę na zimnej podłodze, wsłuchując się w swój coraz wolniejszy oddech. Nagle zdał sobie sprawę, że między bólem, głodem a zmęczeniem niespodziewanie pojawił się ktoś jeszcze. Ktoś, kogo nie mógł rozgryźć, a zarazem ktoś, kto stawiał warunki – Anna. Adam wiedział, że jeśli jego życie kiedykolwiek ma się zmienić, to teraz nadarzyła się ku temu okazja. Pytanie tylko, czy tego chciał. Zmiana oznaczała wejście pomiędzy ludzi, zaakceptowanie ich warunków, dostosowanie się do otaczającej rzeczywistości. Znow musiałby być od kogoś zależny, znow mógłby... Nie, tę myśl odepchnął w najdalszy kąt świadomości. Wątpił, czy jest na to gotowy.

Podniósł się z podłogi i chwiejnym krokiem poszedł do sieni. Jeśli miał to zrobić, to tylko teraz. Mógł przysiąc, że w powietrzu unosi się jeszcze zapach mocnych, ostentacyjnych perfum Alicji. Z mosiężnego wieszaka ściągnął kurtkę i nałożył ją, bacząc, by nie podrażnić gojącej się

ręki. Zamknął drzwi na klucz, wyciągnął z krzaków wózek i wrzucił do niego walizeczkę. Wiatr szarpał połami rozpiętej kurtki, jakby chciał go zawrócić, ale Adam ujął mokrą ręką zdrową ręką i pociągnął za sobą wózek.

\* \* \*

Piątki lubiła najbardziej z całego weekendu. Eryk zazwyczaj nie wracał do domu przed północą, integrując się z pracownikami kancelarii w jednej z modnych sopockich knajp. Czasami po jego powrocie odnosiła wrażenie, że integrował się nie tylko z nimi. Jeszcze kilka lat temu mogłoby to wzbudzić jej emocje, ale teraz było jej w zasadzie obojętne. Mimo wszystko zapadła jej w pamięć historia jednego z pracujących w kancelarii prawników, który zaraził swoją żonę kiłą. Eryk opowiadał ją jako anegdotę, niemiłosiernie szydząc z młodego pracownika, jednak Anna po latach myślała z goryczą, że sama mogła stać się jej bohaterką. Była niemal pewna, że dziś również Eryk wróci grubo po północy i pozostanie w sypialni dla gości, nie trudząc się wchodzeniem na piętro.

Filip też zwykle wychodził na miasto, a jeśli nie, to nie dało się go odciągnąć od komputera. Mogła więc zaplanować całe popołudnie z myślą o sobie, bez wyrzutów, że nie poświęca czasu rodzinie, a przede wszystkim synowi. Ostatnio jednak nie mogła znaleźć sobie miejsca, a jej myśli uciekały ku Jantarowi. Była ciekawa, jak radzi sobie Adam.

– Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei – powiedziała Ala na zakończenie ich rozmowy telefonicznej. – Pomoc takim jak on nie jest łatwa. – Przyjaciółka zwykle miewała rację. To ona była tą rozsądną.

– Co masz na myśli, mówiąc „takim jak on”? – zirytowała się Anna nie po raz pierwszy.

– No wiesz, bezdomnym. Ten facet ma więcej problemów, niż ci się wydaje. – Lekarka umilkła na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiała. – Myślę, że ma depresję albo podobne schorzenie. Nie wiadomo, czy nie jest uzależniony...

Ta rozmowa przynębiła Annę na tyle, że nawet przedpołudniowe porządki nie pomogły. Tego dnia, kiedy wróciła z Jantaru, odnalazła w sobie dawno zapomniane uczucie – radość, że mogła komuś pomóc. To uczucie właśnie dwadzieścia lat temu pchnęło ją na studia psychologiczne i z nim wiązała swoją przyszłość. Cechował ją ten rodzaj intuicji, który pozwalał jej dostrzegać szczegóły, a one zwykle okazywały się sednem sprawy. W połączeniu z dużą empatią i otwarciem na drugiego człowieka miała potencjał, by być dobrym psychologiem. Nie udało się, a przynajmniej nie tak, jak to sobie wyobrażała. Już na początku drugiego roku zawiesiła studia, gdy zaszła w ciążę. Wprawdzie dzięki pomocy rodziców przy Filipie udało się podjąć naukę względnie szybko i obronić magisterkę z wynikiem bardzo dobrym, jednak nigdy nie wróciła do zawodu. Nie musiała pracować, Eryk zarabiał wystarczająco dużo, by żyli na bardzo dobrym poziomie. Nie chciała jednak spędzić reszty życia pomiędzy domem a spełnianiem zachcianek próżnego męża. Kiedy Filip był już na tyle duży, by mogła rozpocząć życie zawodowe, Eryk załatwił jej posadę w banku, wbrew jej woli. Nie czuła się do niej przygotowana, poza tym zajęcie było przeraźliwie nudne. Początkowo protestowała, upierała się, że chce pracować w zawodzie, ale mąż okazał się nieprzejednany. Uważał zawód psychologa za uwłaczający, a w przyływie łaskawości – za niepotrzebny. Z biegiem lat Anna przestała z nim dyskutować, a wraz z awansem, będącym zapewne sprawką Eryka, na dobre zapuściła korzenie w banku. Gdyby nie Filip, uznałaby te dwadzieścia lat za stracone. Pomimo upływu czasu nadal marzyła o małym, zacisznym gabinecie, w którym mogłaby pomagać ludziom w potrzebie.

Po skończonej pracy wsiadła w mini i przedzierając się przez korki, ruszyła do Jantaru. Po drodze zrobiła zakupy i odebrała niewielki pakunek pozostawiony przez Alę w klinice. Przyjaciółka upierała się, by Anna porozmawiała z Adamem i spróbowała namówić go na

konsultację psychiatryczną. Na wypadek gdyby odmówił, załatwiła mu leki antydepresyjne.

Chwilowo przestało padać, kiedy więc Anna wydostała się z korków, droga do Jantaru upłynęła szybko. Wieś wyglądała dokładnie tak samo jak poprzednim razem. Pomimo niewielkiej poprawy pogody na ulicach nie było żywej duszy.

Zatrzymała się przy ogrodzeniu i zatrąbiła. Liczyła na to, że Adam wyjdzie, by pomóc jej wnieść zakupy. Po drugim klaksonie zniecierpliwiona wysiadła z auta, wyciągając z bagażnika ciężki kosz. Kupiła trochę jedzenia, środki czystości oraz kilka butelek wina, choć długo zastanawiała się, czy powinna to robić. Jeśli Adam rzeczywiście był uzależniony od alkoholu, nie pomoże mu to. Z drugiej strony sam mógł go sobie kupić, o ile miał za co. Zdziwiła się, gdy zastała zamknięte drzwi. Wspięła się na palce i zerknęła przez okno. Nie dostrzegła nikogo w środku. Klucz był w ustalonym miejscu, zgodnie z umową.

– A jednak – mruknęła do siebie, przekręcając go w zamku. Poczula ukłucie rozczarowania i smutek. A także wstyd, że się wygłupiła. Ala jak zwykle miała rację, lecz największą gorycz wywoływała myśl, że Eryk miał słuszność za każdym razem, gdy nazywał ją naiwną. Co ona sobie wyobrażała? Że nagle, ot tak zmieni życie człowieka, o którym nic nie wiedziała?

– Naiwna kretynka! – Pchnęła ze złością drzwi i trzasnęła nimi po tym, gdy wtaszczyła do środka ciężki kosz.

Wewnątrz pachniało czystością. Nie musiała się specjalnie rozglądać, by stwierdzić, że mężczyzna pozostawił po sobie idealny porządek. Usiadła na kanapie i ukryła twarz w dłoniach. Niemal w tym samym momencie usłyszała skrzypienie otwieranej bramy. Zerwała się gwałtownie i podbiegła do okna. Na widok Adama ciągnącego za sobą wózek wyładowany drewnem poczuła ulgę i radość.

\* \* \*

– Cześć – przywitał się nieśmiało, otwierając drzwi. Był cały przemoknięty. Deszcz znów zaczął padać.

– Cześć. – Uśmiechnęła się. – Już myślałam, że zniknąłeś na dobre.

Drgnął na dźwięk tych słów. Jakby czytała w jego myślach. Rzeczywiście prawie tak się stało. Tamtego dnia był zdecydowany uciec. Właśnie uciec, a nie odejść. Z tego, że nagle zniknięcie byłoby ucieczką, zdał sobie sprawę dopiero na pustej, wygładzonej wiatrem plaży. Ucieczką, która nigdy się nie skończy. Przed sobą nie da się przecież uciec. Przez długi czas wlepiął wzrok we wzburzone wody zatoki, jakby próbował przejrzeć nieprzenikloną toń w poszukiwaniu odpowiedzi, aż w końcu zawrócił. Nie zdawał sobie sprawy, jak daleko odszedł od Jantaru. Marsz pod wiatr był trudniejszy. Adam z rozbawieniem spoglądał na mewy walczące z porywistymi podmuchami, ale po chwili uświadomił sobie, że sam przypomina jedną z nich. Wzburzony Bałtyk grzmiał jednostajnie, raz po raz wyrzucając na plażę fale spienionej wody. To jeszcze nie był sztorm, ale mężczyzna z uznaniem obserwował potęgę morza.

Gdy wrócił, posprzątał cały dom, przy okazji sprawdzając, jak wygląda piętro. Sypialnia z balkonem i niewielki gabinet były urządzone równie przytulnie jak reszta domu. Sprzątanie jedną ręką nie było łatwe i zajęło mu o wiele więcej czasu, niż gdyby był w pełni sprawny, jednak gdy wieczorem położył się na kanapie, dom lśnił. Do piątku zdążył zapęłnić składzik na drewno chrustem i grubymi gałęziami znalezionymi w lesie. Każdego dnia zapuszczał się dalej, przeczesując las, aż wreszcie stwierdził, że nie ma gdzie składać drewna. Wtedy zajął się suszeniem grzybów, których codziennie przynosił całe wiaderka. Ich aromat unosił się w domu, z trudem przebijając się przez intensywną woń środków czyszczących. Jediną rzeczą, która psuła sielską atmosferę wnętrza, był on sam. I doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Jego wygląd

i zapach były niczym skorupa żółwia, której bał się pozbyć. Wtedy pozostałby nagi i bezbronny. Wiedział jednak, że w końcu i tak będzie musiał coś z tym zrobić. Jeśli nie dla siebie, to chociaż dla Anny. Na początek wybrał z walizki kilka sztuk ubrań, które sprawiały najlepsze wrażenie.

Adam wniósł nieco drewna do domu. Anna chciała mu pomóc, ale zaprotestował, zajęła się więc rozpakowywaniem zakupów. Na koniec wyciągnął z wózka niewielkie wiaderko wypełnione grzybami, w które obfitowały okoliczne lasy. Paskudna pogoda odstraszała grzybiarzy, zbierał więc pełen koszyk, jeszcze zanim załadował wózek drewnem. Umierał z głodu.

– Pomożesz mi? – zapytał nieco skrępowany. – Chcę zrobić coś do jedzenia, ale mycie ręki to duży kłopot... – Wskazał na gojącą się dłoń, której nie chciał zmoczyć. Po kilku dniach przyjmowania antybiotyku i stosowania innych przepisanych przez Alicję leków poczuł, że rana zaczyna się goić. Normalnie nie przejmowałby się dokładnym myciem zdrowej ręki, ale dziś chciał poczęstować Annę posiłkiem i istniała szansa, że ta nie odmówi.

– Jasne, ale może ja zajmę się jedzeniem? – Odkręciła wodę, ustawiając optymalną temperaturę.

W odpowiedzi Adam pokręcił przecząco głową. Nie nalegała. Nabrała porcję mydła w płynie i ujęła dłoń Adama. Była bardzo szorstka i spracowana. Czarne obwódki wokół paznokci i brud za nimi w większości zniknęły podczas porządków. Rozpuszczony w wodzie domestos robił swoje. Mężczyzna przymknął oczy, gdy delikatne dłonie Anny wmasowywały mydło w jego rękę. Przez chwilę jego serce zabiło mocniej. Nagle usłyszał, że szum wody ustał. Dopiero teraz uświadomił sobie, że dzwoni jej telefon.

– Przepraszam – powiedziała, podając mu ręcznik.

Nie wytarł dłoni, lecz wysypał grzyby z koszyka do zlewu i starannie je umył.

– Halo? – zapytała Anna, nie patrząc na wyświetlacz.

– Idziemy dzisiaj na kolację ze współnikami, bądź gotowa na dziewiętnastą. Przyjadę po ciebie – usłyszała w słuchawce pozbawiony emocji głos Eryka. Żadnego przywitania, nawet „cześć”. Na „cześć, kochanie” od dawna nie liczyła.

– A ty z której choinki się urwałeś? – Nie zamierzała być miła ani taktowna. Wręcz przeciwnie, miała ochotę mu dopiec. Rozmyślenia nad jego życiem towarzyskim wyraźnie ją rozzłościły, choć przyznanie się do tego sporo ją kosztowało. Nie zdziwiła jej propozycja Eryka. Czasami myślała, że mąż cierpi na zespół Aspergera albo lekką postać autyzmu, która nie wpływała negatywnie na jego możliwości intelektualne. Prawie nigdy nie był w stanie rozpoznać emocji drugiej osoby. Wiedziała, że czasami przegrywał przez to sprawy w sądzie. Zwykle potrafił rozłożyć człowieka na czynniki pierwsze – jego pozycję zawodową, majątek, słabe punkty. Ale nie emocje. Gdyby nie potężna wiedza z zakresu prawa karnego i innych pokrewnych, za którą zresztą go podziwiała, odsetek przegranych spraw byłby zapewne większy. Dawno pogodziła się z tym, że jej mąż jest emocjonalnym analfabetą. – Jestem zajęta, nigdzie z wami nie idę.

– Wszyscy współnicy będą z żonami – użył ostatecznego w swoim mniemaniu argumentu, który akurat dla Anny był mocno zniechęcający. Wspólnicy Eryka, a w szczególności ich żony, byli ucieleśnieniem próżności.

– Eryk, nie ma mnie w Gdańsku.

– A gdzie jesteś? – W jego głosie zabrzmiało oburzenie. Nadal nie przyzwyczyił się, że Anna próbuje wyrwać się spod jego skrzydeł. – Chyba nie u tej kretynki Ali?

– Nieistotne – ucięła. – I nie nazywaj jej tak. W każdym razie na mnie dziś nie licz.

– Nie wygłupiaj się. A tak w ogóle, to mam nadzieję, że przemyślałaś sobie sprawę pozwu i wycofasz go. Skończ te fochy i wracaj do domu. Filip jest sam.



– Filip jest dorosły, jakbyś nie zauważył! – prawie krzyknęła do słuchawki, poirytowana treścią rozmowy. W takich momentach nienawidziła swojego męża. Był dupkiem. Bogatym, wykształconym, nienormalnym dupkiem. – Baw się dobrze – zakończyła rozmowę i wyciszyła telefon.

Przez chwilę wpatrywała się w okno, usiłując uspokoić emocje, które ta rozmowa – podobnie jak każda inna z Erykiem – w niej obudziła. Przymknęła oczy i wzięła kilka głębszych wdechów. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z niesamowitego aromatu wypełniającego pomieszczenie. Aż zaburczało jej w brzuchu. Adam smażył właśnie przyniesione z lasu prawdziwki. Intensywny zapach skutecznie przykrył ten, który rozsiewał wokół siebie mężczyzna. Co prawda zmienił odzież na świeższą, jednak wciąż przebijał się przez nią zapach potu i papierosów. Dostrzegła, że był znacznie słabszy niż wcześniej. Gdyby tamtego dnia nie miała tego paskudnego kataru, wyczułaby go z odległości kilku metrów. Teraz co najwyżej z metra. Cóż, postanowiła, że nie będzie go poganiała. Już samo to, że doprowadził dom do stanu, w jakim nie znajdował się od lat, dużo dla niej znaczyło.

– Pomóc ci w czymś? – zapytała, zaglądając mu przez ramię.

– Jeśli mogę skorzystać z tego białego wina – wskazał nożem wystającą z kosza z zakupami butelkę – to poproszę, abyś je otworzyła.

– Rany, ale zapach. – Sięgnęła po korkociąg. – Co gotujesz?

– Nic wyszukanego, ale grzyby są fantastyczne. W lesie jest ich pełno. Nazbieram jeszcze więcej do ususzenia – powiedział, nie odrywając wzroku od patelni.

– Będzie ci przeszkadzało, jeśli się napiję? – zapytała, podchodząc z otwartą butelką. Pokręcił głową, więc sięgnęła po kieliszek i nalała do niego wina. – Czy ty... – Nie wiedziała, jak w delikatny sposób zapytać Adama o alkohol.

– Nie, nie mam problemu z alkoholem lub tak, chętnie napiję się z tobą. Zależy, o co chciałaś spytać. – Lekko się uśmiechnął.

Napełniła drugi kieliszek, obserwując, jak do podsmażonych grzybów Adam dodaje kaszę pęczak i zalewa wszystko winem. Następnie opadła na krzesło przy kuchennym stole i jednym haustem wychyliła pół kieliszka.

– Wyglądasz na zdenerwowaną. – Adam odwrócił się od kuchenki i spojrzał na nią uważnie.

– Dzwonił mój mąż – westchnęła i spojrzała za okno, obserwując zawieruchę na zewnątrz. – Mam nadzieję, że już wkrótce mój były mąż.

– Rozwodzicie się? Dlaczego? – Adam potrafił być zaskakująco bezpośredni.

– To długa historia. – Przygryzła kosmyk włosów.

Lubił patrzeć, gdy to robiła. W ogóle lubił na nią patrzeć. Dziś miała na sobie czarną, doskonale dopasowaną spódnicę, białą bluzkę, do której przymocowana była niewielka tabliczka z imieniem i nazwiskiem, oraz buty na obcasie. Musiała przyjechać prosto z pracy.

– Mam czas – stwierdził, mieszając łypatką zawartość patelni. Tak naprawdę czas był jedną z niewielu rzeczy, których mu nie brakowało.

– W zasadzie to chyba nie powinniśmy byli się pobierać. – Anna spojrzała mu w oczy. Czające się w nich morze było jak zwykle spokojne. Zadziwiające. Znali się tak krótko, a miała poczucie, że temu obcemu mężczyźnie może powiedzieć więcej niż swojemu mężowi. I w odróżnieniu od tego ostatniego Adam to zrozumie. Intuicja rzadko ją zawodziła. – Byliśmy młodzi i głupi. Ja na pierwszym roku psychologii, Eryk na piątym prawa. Zналиśmy się krótko, ale to była moja pierwsza miłość, więc chyba byłam oszołomiona. Zresztą on wtedy też był inny. Zaszłam w ciążę, a jego rodzice nalegali na ślub. Moi mieli wątpliwości. Teraz wiem, że przejrżeli Eryka na wylot, ale ja nie chciałam o niczym słyszeć.

– Miłość jest ślepa – odparł Adam w zadumie. Upił łyk wina i umilkł.

– I głupia. Przynajmniej w tym wieku. Gdy urodził się Filip, byłem w siódmym niebie. Eryk chodził dumny jak paw, ale rzadko cokolwiek robił przy dziecku. Lubił za to pokazywać Filipa i chwalić się, jaki mądry, zwinny, jak pięknie recytuje wierszyki. Przez pierwsze lata naiwnie wierzyłam, że mąż się zmieni. Liczyłam, że gdy Filip podrośnie i oderwie się trochę ode mnie, to zbuduje dobrą relację z ojcem. Nic takiego się nie stało. Kiedy przeprowadziliśmy się do domu w Jelitkowie, zostałam sama. Zniknęli życzliwi sąsiedzi, moi rodzice odwiedzali nas rzadziej. Eryk zamiast weekendu z rodziną wołał golfa ze współnikami, z którego wracał pijany.

– Bił cię? – Adam zmarszczył brwi.

– Nie, to nie ten typ. Po tych wszystkich latach myślę, że to, co robił, boli mnie bardziej, niż gdyby mnie tknął. Wiedział, że odeszłabym po pierwszym uderzeniu. Za to gdy tylko miał okazję, nie omieszkął wspomnieć, że ta idiotka poszła na psychologię, zamiast sensownie wybrać zawód. Krąg naszych znajomych skurczył się właściwie do jego współników. Moi śmiertelnie się poobrażali, kiedy Eryk nazwał ich „plebsem”, „ludnością napływową” albo „mentalną prowincją”. Tylko Ala wytrwała, ale to dlatego, że sama ma cięty język i nie da sobie w kaszę dmuchać.

– Jak mogłaś wytrzymać z takim palantem tyle lat? – spytał Adam, dorzucając do zawartości patelni posiekaną natkę pietruszki. Nowa nuta zapachowa pięknie skomponowała się z poprzednimi, wywołując w Annie jeszcze większy głód.

– Wiem, byłam głupia. Znosiłam to wszystko cierpliwie, tłumacząc sobie, że to dla dobra Filipa. – Zaszklily jej się oczy na wspomnienie syna. – Teraz wiem, że to był błąd. Mój syn to dobry chłopak, ale zapatrzony w ojca. Eryk imponuje mu swoim porsche, najnowszym iPhone’em, omegą za kilkadziesiąt tysięcy i całym bogactwem, którym się otacza. Ale Filip pragnie w gruncie rzeczy tego, czego nigdy nie otrzymał – uwagi i miłości ojca. Nie powiedział tego wprost, ale matka takie rzeczy wie.

– Myślisz, że twój mąż go nie kocha? – spytał w zamyśleniu Adam.

– Wiem to. On nikogo nie kocha. Filip jest bardzo podobny do mnie. Uśmiełbyś się, gdybyś zobaczył nas razem. Niewiele ma po Eryku, co ten zresztą potrafi wykorzystać. Nawet nie wiesz, ile razy słyszałam, że nie ma pewności, czy to jego dziecko, choć nigdy nie miał powodu, by w to wątpić. Kiedyś w złości zaproponowałam mu testy DNA. Roześmiał się i powiedział, że nie są mu potrzebne. Dobra, dosyć tego wyżalania się. A ty? Opowiesz mi coś o sobie?

– Gotowe. – Adam zgasił płomień pod patelnią i wyciągnął dwa talerze. Nałożył na nie solidne porcje. Zanim podał jeden Annie, zakręcił nad talerzami drewnianym młynkiem z pieprzem. – To nic wyszukanego, ale mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

Usiadł naprzeciwko i dopełnił kieliszek winem. Anna nakryła swój dłonią.

– Prowadzę – przypomniała z żalem w głosie.

Zaintrygowany patrzył, jak nabiera niewielką porcję parującej potrawy na widelec. Podmuchała chwilę i wsunęła do ust. Widział, jak rozszerzyły się jej żrenice.

– Adam! To jest pyszne! – wykrzyknęła z zaskoczeniem w głosie. Tego się nie spodziewała. Wraz z pierwszym kęsem w jej ustach eksplodowała feeria smaków. Aromatyczne prawdziwki świetnie komponowały się ze sprężystymi ziarnami pęczaku. Wyraźnie wyczuwalny smak białego wina dopełniała niezwykle intensywna nuta pietruszki. Całość, idealnie doprawiona, przypominała trochę grzybowe risotto, ale była o niebo lepsza. Nigdy nie jadła czegoś podobnego i teraz żałowała, że rozwodząc się nad historią swojego życia, nie obserwowała uważniej gotującego mężczyzny. – Gadaj, gdzie nauczyłeś się tak gotować?

– Cieszę się, że ci smakuje. – Uśmiechnął się szeroko. Anna zdała sobie sprawę, że po raz

pierwszy widzi u niego taki uśmiech. – Pracowałem trochę w kuchni. Ale tę potrawę znam od mojej babci. Wiesz, taki sekret rodzinny. Po powrocie z grzybobrania zawsze to jadaliśmy.

– Twoja babcia mieszkała na wsi? – Anna miała nadzieję, że wreszcie uda się jej pociągnąć Adama za język.

– Tak, w Tleniu. Ładna miejscowość w Borach Tucholskich. Przynajmniej kiedyś była ładna. Dawno tam nie byłem. – Mężczyzna pogrzebał widelcem w jedzeniu.

– Od kiedy... – zawahała się, ale postanowiła dokończyć. Liczyła na to, że skoro ona tak się otworzyła przed Adamem, ten zrewanżuje się tym samym, choć poprzednie pytania umiejętnie zignorował, co nie uszło jej uwadze. – Od kiedy tak żyjesz?

– A bo ja wiem? – Wzruszył obojętnie ramionami i uciekł wzrokiem przed spojrzeniem Anny. – Chyba z dziesięć lat.

– I nie chciałeś tego zmienić?

– Chciałem, próbowałem. Pracowałem w różnych miejscach. W Warszawie przy ocieplaniu budynków. W Bydgoszczy przy robotach drogowych. Czasami w sezonie zbierałem owoce... – Zamyślił się. Anna nie ponaglała. – Zawsze, kiedy myślałem że wychodzę na prostą, nadchodził czas, kiedy przestawało mi się chcieć. Nie mogłem podnieść się z łóżka, całymi dniami leżałem i gapiłem się w sufit. A robota nie czekała. Widać tak miało być. Pech.

– Nie, Adam. – Ujęła go za rękę. Była ciepła i szorstka. – To nie pech. To brzmi jak depresja.

## Rozdział 5

Anna wyjechała późnym popołudniem, zostawiając go z poczuciem winy, że powiedział jej zbyt wiele. Miała swoje kłopoty i swoje życie, dlatego Adam uważał, że niepotrzebnie próbuje obarczyć ją własnymi problemami. Rozpalił w kominku i od kilku godzin siedział, wpatrując się w płomień. Kojące ciepło rozluźniało jego przemarznięte ciało. Rozmyślał o przeszłości i tym, co powiedziała mu Anna. W tle cicho grało radio. Obracał w palcach niewielkie pudełko z lekami przeciwdepresyjnymi, wyczuwając pod palcami wypukłe oznaczenia dla niewidomych. Ania mogła nazywać jego dolegliwości depresją, ale on widział w tym raczej sprawiedliwość. Karę za coś, co kiedyś zrobił, a raczej za wszystkie rzeczy, których nie zrobił. To była jego pokuta za grzech zaniechania. Mimo wszystko Anna zdołała sprawić, że gdzieś na dnie jego duszy zabłysła iskierka nadziei na to, że coś może się zmienić. Bo jeśli następne kilkadziesiąt lat miałby przeżyć tak jak dziesięć ostatnich, to równie dobrze mógł już dziś skończyć z życiem.

Byłaby świetnym psychologiem. Gdyby nie wyrzuty sumienia, że niepotrzebnie zrzuciła na nią swój ciężar, zwierzyłby się jej bez namysłu z najgłębszych tajemnic. Gdyby robiła to zawodowo i brała za to ciężkie pieniądze, nie wahałby się. Albo chciał tak myśleć teraz, kiedy trochę ją poznał.

Dorzucił kilka grubych patyków do ognia i otworzył pudełko z lekami. Anna przezornie zostawiła mu trzy tabletki, zalecając, by brał je rano i wieczorem. Czyli jutro zamierzała znów przyjechać. Aluminiowa folia na spodzie blistra trzasnęła głośno, gdy wycisnął małą tabletkę. Włożył ją do ust i popił małym łykiem wina. Wyobraził sobie pełen dezaprobaty wzrok Anny. Cóż, jeden mały łyk chyba nie mógł zaszkodzić. Rozsiadł się wygodnie na kanapie i rozmyślając, wpatrywał się w płomień tańczące w kominku. Nie wiedział, kiedy zasnął.

Przez następne trzy tygodnie ich spotkania przypominały rosyjską ruletkę. Anna przyjeżdżała bez zapowiedzi, a czasami nie pojawiała się w umówionym terminie, tłumacząc się nawałem obowiązków. Zwykle czekał na nią, siedząc przy stole w kuchni, której okno wychodziło na szutrową drogę prowadzącą do Jantaru. Coraz częściej jednak wypuszczał się na długie spacery brzegiem zatoki. Pogoda uspokoiła się na tyle, by mógł się delektować naturą. Po burzliwych nocach znajdował na brzegu mniejsze lub większe bursztyny. Litrowy słoik po ogórkach wypełnił się już niemal do połowy. Stanowił swego rodzaju klepsydrę, odmierzającą nie minuty, ale dni.

Podczas tych długich jesiennych spacerów, upływających pod znakiem bursztynu i dorodnych prawdziwków, zaczął rozpoznawać twarze mieszkańców wioski. Zwykle były one przyjazne, a przynajmniej nie malowały się na nich obrzydzenie i niechęć, jakie widział na twarzach ludzi z dużych miast. Jedynie właściciel El Puerto, którego czasem widywał w oknie wytwornej restauracji, taksował go wilczym spojrzeniem. Reszta mieszkańców, choć zapewne nie do końca zadowolona z jego obecności, traktowała go obojętnie lub ze skrywaną życzliwością.

– Pan weźmie tę skrzynkę, co odłożyłam z tyłu – rzuciła właścicielka warzywniaka, zgarniając monety z plastikowej tacki, kiedy Adam po raz kolejny robił drobne zakupy. – I nie sterczy mi pan pod sklepem, bo klientów straszy – fuknęła dla porządku, gdy starszy mężczyzna zajrzał do sklepu i pociągnął nos, zrezygnował z zakupów.

Pani z warzywniaka była w gruncie rzeczy dobrą duszą. Często znajdował za jej sklepem pozostawione „przypadkiem” skrzynki z żywnością. Czasami były to owoce i warzywa, które pomimo wycofania ze sprzedaży bez wątpienia nadawały się do spożycia.

Przyjaźnie potraktował go również jeden z miejscowych rybaków. Dwa lub trzy razy

Adam dostał reklamówkę z szamoczącymi się w środku flądrami – końcówką z porannego połowu. W ramach podziękowania kupił piwo, jednak nie miał okazji go wręczyć. Rozbawiło go pełne dezaprobaty spojrzenie, jakim obrzuciła go sprzedawczyni w sklepie, gdy wyciągał z lodówki butelkę alkoholu. Nie miał jednak pretensji do młodej dziewczyny stojącej za ladą. Połączyła jedno z drugim i wnioski nasunęły się same. Kiedy wrócił do kutra, rybaka już nie było. Pozostawił mu butelkę w niewielkiej kabinie, tuż przy kole sterowym. Znalazł ją na pewno.

Poza tymi kilkoma interakcjami nie widywał wielu mieszkańców Jantaru. Właśnie dlatego na przezimowanie wybrał niewielką miejscowość. Opustoszała poza sezonem, dawała mu to, czego potrzebował – spokój i samotność. Niesprzyjająca aura bardzo mu pomagała. Niewielu mieszkańców decydowało się na spacer. Tych, którzy robili to regularnie, Adam już rozpoznawał, tak jak i oni jego. Za każdym razem odprowadzany był zaciekawionym spojrzeniem, choć nikt nigdy nie odezwał się do niego. Chwilami tutejsi wydawali się nawet zadowoleni, że mają swojego bezdomnego.

Wizyty Anny były dla Adama czymś nowym. Niemal odwykł od rozmów prowadzonych z drugim człowiekiem. Zdarzało się, że brakowało mu właściwego słowa albo z przyjemnością odkrywał dawno nieużywany związek frazeologiczny. Właścicielka domku była dobrą rozmówczynią. Nie przeszkadzała jej małowówność Adama. Zwykle rozmawiali na luźne tematy, choć zauważył, że Ania chętnie opowiada mu o sobie. Znacznie chętniej, niż robił to on. Czasami tylko zdarzało mu się zabrnąć za daleko i wtedy było już za późno, cierpiał, gdy bezlitośnie ciągnęła go za język. Chciał czy nie chciał, był zdany na jej wizyty. W końcu to on był jej gościem, a nie odwrotnie. Choć Bogiem a prawdą, z czasem przyzwyczał się do nich.

\* \* \*

Anna nie zastanawiała się nad powodami, dla których ciągnęło ją w stronę Jantaru. Były dla niej dość jasne. Popołudniowe spotkania z Adamem miały kilka istotnych wymiarów. Przede wszystkim fascynował ją ten człowiek. Po paru spotkaniach już nie podejrzewała, ale była pewna, że on kryje w sobie arcyciekawą historię, którą jednak niechętnie się dzielił. Irytowało ją to, że ze strzępów opowieści wyrwanych Adamowi nie była w stanie złożyć sensownej całości. Była psychologiem tylko z wykształcenia, bez żadnego doświadczenia w tym zawodzie. Czują jednak, że Adam stanowi swego rodzaju wyzwanie. Z ciekawością zagłębiła się w znalezione w internecie artykuły o depresji i bezdomności, starając się znaleźć klucz do tajemniczego gościa.

Drugim, bardziej znaczącym powodem jej wizyt była potrzeba ucieczki od życia codziennego, od męczących telefonów Eryka, od stresującej pracy. Wiedziała, że takie myślenie dalekie jest od zdrowego rozsądku, ale po kilku długich popołudniowych rozmowach czuła, jakby znali się z Adamem od dziecka. No, prawie. Jego tajemniczość nadal wprawiała jej emocje w ruch wahadłowy pomiędzy irytacją a zrozumieniem. Gdy czasami zdecydował się odsłonić niewielki fragment swojego życia, utwierdzała się w przekonaniu, że nie jest typowym bezdomnym, odpowiadającym stereotypowi utrwalonemu w społeczeństwie. Był elokwentny, miał bogate słownictwo i ewidentne zacięcie do filozofii.

– Miarą człowieczeństwa jest to, ile człowieka potrafisz dostrzec w drugim człowieku – powiedział jej kiedyś po długiej rozmowie, w której zeszli na temat jego życia. Sprawdziła to później w sieci. Nie był to cytat, lecz myśl Adama. – Ludzie zapominają, że my, bezdomni, w gruncie rzeczy jesteśmy tacy sami. Nie mamy domu, ale mamy serce i rozum. Można nas przegnać z dworca, z ogródka działkowego, z ławki, ale nie przegna się nas z życia.

– Ciebie też wyganiali, prawda? – Spojrzała na niego po długiej chwili milczenia. Nagle wydał jej się starszy, niż mógł być w rzeczywistości.

– To jest tak, że gdy przeszkadzasz, to wyganiają, a gdy potrzebujesz pomocy, to nagle

stajesz się niewidzialny. Jeśli kiedyś szukałabyś peleryny-niewidki, wygląda dokładnie tak. – Wskazał swój sfatygowany sweter, pamiętający chyba czasy głębokiej komuny.

– Nie myślałaś, żeby... no wiesz, oddać się pod opiekę państwa?

– Państwa? Aniu, to, co nazywasz państwem, a rzeczywistość ośrodków dla bezdomnych to dwie różne sprawy. O ile do ludzi pracujących w ośrodkach nic nie mam, bo wiem, że dobrze wykonują kawał ciężkiej i niewdzięcznej roboty, o tyle ci na gorze widzą bezdomnych tylko wtedy, kiedy oni są im potrzebni.

– Co masz na myśli? – Czują, że gorycz sącząca się z jego słów nie jest bezpodstawna.

– Gdy włóczyłem się po Warszawie, nagabywał mnie jakiś elegancik z partyjnej młodzieżówki. Chciał, żebym do kamery zapytał premiera czy kogoś tam, jak żyć. Jak żyć? Ja mam pytać faceta, któremu nic nie brakuje, jak mam żyć? Kazałem mu spadać, mimo że chciał zapłacić, i to całkiem niezłe pieniądze. Widziałem potem, że jakiś rolnik spod Warszawy pytał o to samo. Nie wiem, może to przypadek, może nie.

– Pamiętam tę historię. – Uśmiechnęła się lekko.

– Nie mieszam się w politykę, ale powiem ci jedno, Aniu. Ci, którzy wycierają sobie gębę chrześcijańskimi hasłami, polską flagą i zawłaszczają patriotyzm, są najgorsi. Podczas manifestacji w stolicy obrywało mi się często. I wiesz od kogo? Od patriotów! – Adam poczerwieniał ze złości, kreśląc w powietrzu cudzysłów. – Od patriotów w koszulkach z godłem, z husarią, z powstańcami, z polskimi flagami i transparentami pełnymi frazesów o obronie życia. Jakiego życia bronili? Nie wiem, mojego na pewno nie. Dobra, koniec z polityką – westchnął i opadł na krzesło, zmęczony jak po wysiłku fizycznym.

Anna w gruncie rzeczy zgadzała się z nim. Jeśli chodzi o politykę, miała podobne obserwacje jak Adam, tylko nie potrafiła ich tak celnie sformułować. A on jak nikt miał do tego prawo. Nie był jedynie biernym widzem serwisów informacyjnych. Doświadczenia, jakie miał za sobą, mogłyby wprawić w zakłopotanie niejednego polityka. Mimo że temat wywoływał dużo emocji, do tej rozmowy wracali jeszcze wielokrotnie.

Czasem milczeli nieskrępowanie, zatopieni w swoich myślach, obserwując to, co dzieje się za oknem. Gdy spacerowali nad morzem, Anna czuła na sobie ciekawskie spojrzenia. Była pewna, że oboje są obiektem żartów i wieczornych dyskusji prowadzonych w trakcie przerw reklamowych w telewizji. Niespecjalnie jej to przeszkadzało. Tak po prawdzie to w ogóle.

Sprzeczki z Adamem przypominały raczej dyskusję panelową. Cierpliwie wysłuchiwał jej argumentów i nawet jeśli się z nimi nie zgadzał, potrafił przedstawić swój punkt widzenia, nie obrażając jej. Nigdy nie kłął i jej nie ubliżał.

Zwykle zamykał dyskusję w ten sam sposób.

– Jest jeszcze trzecia i czwarta możliwość. Oboje nie mamy racji lub oboje ją mamy – mówił, uśmiechając się pod nosem. Trudno było wtedy nie wybuchnąć śmiechem, widząc jego zamyślane spojrzenie.

Godzinami dyskutowali o literaturze, dzieląc zachwyty nad Dostojewskim, Czechowem i Puszkinem. Kiedy tylko Adam dowiedział się, jak bardzo Anna lubi literaturę rosyjską, postanowił nadrobić zaległości i w ciągu samotnych wieczorów pochłaniał jedną książkę za drugą. Pozwolił sobie przeorganizować księgozbiór jej ojca. Na lewym regale ustawił książki, które zamierzał przeczytać, na prawy zaś odkładał przeczytane i te, które go nie interesowały.

\* \* \*

Tego dnia kolejny raz bezowocnie czekał na Annę. Być może zatrzymały ją obowiązki, a może zniechęciła dramatycznie pogarszająca się pogoda. W ciągu ostatnich dwóch dni wiatr się

wzmógł, a niebo pokryły przerażająco ciemne chmury. Przewalały się z zachodu na wschód niczym lawina, gnane porywistym wiatrem. Adam tylko czekał, aż zacznie padać deszcz. Lunęło nagle. Olbrzymie krople zabębniły o dach i parapety. Pogłośnił radio, ale wiadomości wysłuchał mimochodem, wciąż gapiąc się w okno. Zainteresował się dopiero prognozą pogody.

– Orkan Sybilla, który przechodzi nad Europą Zachodnią, dotrze jutro do Polski – odczytała spokojnym głosem spikerka. – Największej siły wiatru należy spodziewać się na Pomorzu późnym popołudniem. Prędkość wiatru może przekraczać sto kilometrów na godzinę. Na Bałtyku spodziewany jest sztorm o sile dziewięciu do dziesięciu stopni w skali Beauforta. IMGW wydał ostrzeżenie dla dwunastu województw oraz ostrzeżenie drugiego stopnia dla obszarów brzegowych Bałtyku. Prosimy państwa o zachowanie szczególnej ostrożności oraz zabezpieczenie przedmiotów znajdujących się na balkonach i tarasach.

Mężczyzna rozpałił w kominku. W ciągu ostatnich dni zmagazynowany za domem stos drewna rozrósł się do imponujących rozmiarów. Kiedy cienkie patyki rozpałiły się na dobre, dorzucił kilka grubszych, pociętych znalezioną w skrzynce z narzędziami piłą. Poczytał jeszcze trochę, dopił resztę wina i przygotował sobie posłanie. Chwilami przysypiał nad książką, ale obwiniał o to pogodę. Od wygasającego powoli kominka było przyjemne ciepło. Adam liczył na to, że utrzyma się ono do rana. Zanim położył się spać, przyjął przepisane przez Alicję leki i starannie pokrył gojącą się rękę sprayem. W pojemniku zostało go już niewiele i nie wiedział, czy powinien przestać go używać. Na wszelki wypadek nadal to robił. Rana po rozległym oparzeniu zamieniła się w coraz lepiej widoczną siatkę jasnych blizn. Zasnął wsłuchany w bębniący o dachówki deszcz, który był tylko preludium do nadciągającego orkanu.

Uderzenie wiatru z hukiem rozwarło oba skrzydła okna. Napór powietrza niemal wyrzucił Adama z wielkiego małżeńskiego łóża. Mężczyzna osłonił się koldrą przed wdzierającym się do pomieszczenia wichrem i deszczem. To był prawdziwy huragan. Adam zerknął w stronę okna. Błyskawica rozdarła niebo i przez krótką chwilę widział majaczące w oddali wieżowce Manhattanu. Patrycji nie było w łóżku. Pewnie położyła się z Julkiem na kanapie w living roomie. Pstryknął włącznikiem światła, ale bez rezultatu. Znów poszły korki. Przedarł się do okna, walcząc z naporem wiatru, i zamknął je. Gwizd powietrza nieco zelżał. Teraz Adam słyszał huk gałęzi uderzających w okno niewielkiej sypialni dla gości. Już tyle razy zgłaszał administratorowi budynku, że umiejscowione naprzeciwko mieszkania drzewo rozrosło się nadmiernie.

– Pati! – zawołał, narzucając na siebie szlafrok.

Boso zbiegł do salonu, który okazał się pusty, jedynie wiatr wyjący w kominie podnosił niewielkie strzępki popiołu. W świetle latarni wpadającym przez duże wykuszowe okno widział, jak wirują, rozpraszając się po pokoju.

– Patrycja! – zawołał ponownie, tym razem znacznie głośniej. Pał lichy, jeśli obudzi Julka. Pati utuli go i maluch szybko zaśnie.

Wbiegł na piętro, pokonując po trzy stopnie naraz. Przy ostatnim zahaczył stopą o odklejony dywanik i runął jak długi. Zaklął w myślach. Patrycja tysiąc razy prosiła go, aby to naprawił. Wystarczyło poświęcić chwilę i skorzystać z taśmy dwustronnej albo zszywacza tapicerskiego, który leżał bezużyteczny w piwnicy, ale Adam nigdy nie miał na to czasu. Był zbyt zmęczony po pracy albo zbyt spóźniony przed nią.

– Pati! – krzyknął, ale jedyne dźwięki pochodziły z szalejącego na zewnątrz huraganu.

Zaczął otwierać wszystkie pomieszczenia po kolei. W pokoju Julka stało puste łóżeczko. Nie zastał nikogo w gabinecie, podobnie pusta była garderoba. Na samym końcu korytarza znajdowały się drzwi do łazienki. Pchnął je i zamarł. W wypełnionej wodą wannie leżała Patrycja. Jej głowa znajdowała się pod wodą, podobnie jak główka leżącego na jej piersi Julka.

Czarne, długie włosy Patrycji unosiły się i mieszały z jasnymi włoskami synka. Kolejna błyskawica rozświetliła niebo, ukazując w pełni chude ciało kobiety. Jak mógł nie zauważyć, że tak schudła? Zanim rozległ się grzmot, Adam doskoczył do wanny. Wyciągnął bezwładne ciało Julka i ułożył je na łazienkowym dywaniku w tulipany. Zaraz potem sięgnął po zaskakująco ciężkie ciało Patrycji. Ułożył je na podłodze, rozlewając masę wody. Dopiero teraz zauważył na ich szyjach ślady dłoni. Jego dłoni. Dwa ślady na szyi Patrycji, jeden u chłopca. Nie wiedział, co się stało, nic nie pamiętał.

– O kurwa! Patrycja! Pomocy, help! Heeeeelp! – krzyczał na całe gardło, klepiąc żonę po policzku. Po chwili obrócił się w stronę synka. – Julek!

Szukał w głowie rozwiązania, ale narastająca panika spowodowała gonitwę myśli. Reanimacja. Tak, ćwiczyli to w szkole rodzenia, potem jeszcze na jakimś festynie. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, które z nich zacząć ratować, ale dotarło do niego, że jest za późno. Oboje nie żyli. Woda w wannie była zimna, tak jak ich ciała. Spojrzał na siną twarz synka. Jego uwagę przykuły usta, niemal czarne. Delikatnie rozchylone wargi odsłaniały szereg drobnych białych ząbków. Nie mógł tylko znieść widoku wytrzeszczonych, przerażonych oczu. Ciałem mężczyzny wstrząsnął szloch. Kolejna błyskawica rozdarła niebo. I wtedy się obudził.

Dłuższą chwilę zajęło mu zorientowanie się, gdzie jest. Na zewnątrz grzmiało i te odgłosy musiały wyrwać go z koszmaru. Rękawem swetra wytarł mokrą od potu twarz. Postarał się uspokoić oddech. Ten sen powracał i za każdym razem był tak samo straszny. Chciałby móc powiedzieć, że to tylko sen, ale obrazy, które w nim widział, pochodziły nie z jego wyobraźni, lecz ze wspomnień. We śnie wspomnienia mieszały się z fikcją. Bo przecież to nie było tak. Przynajmniej nie wszystko, co śnił.

Usiadł na kanapie. Ciepło bijące od kominka było już ledwo wyczuwalne, musiał więc spać co najmniej kilka godzin. Kolejny podmuch wiatru napał na okiennice, lecz te trzymały się mocno. Siedział w ciemności, wsłuchując się w odgłosy przetaczającej się burzy. Do rana już nie zasnął.

\* \* \*

Nastał wietrzny świt, ale przestało padać. Wiatr szarpał sosnami oddzielającymi dom od morza. Adam połknął leki, popijając je szklanką zimnej wody. Antydepresant też, choć zastanowiło go, czy wieczorna tabletką nie była przyczyną koszmaru. Uznał, że chyba nie. Wydawałoby się, że powinna działać zupełnie odwrotnie. Wprawdzie nie spodziewał się snów o tęczy i jednorożcu, ale koszmaru też nie. Ostatecznie zrzucił winę na wypity alkohol i wieczorne rozmyślenia. Włożył kurtkę z dziurawym rękawem, zmechaconą wełnianą czapkę, buty i bez śniadania ruszył w stronę plaży. Już z wysokości wydmy widział grzywy wielkich fal, przewalających się przez wody zatoki.

Piasek na plaży pomarszczył się równomiernie i wyglądał hipnotyzująco. Spojrzał na głębokie ślady, które zostawiał, idąc w pewnej odległości od szalejących fal. Na wietrze piasek szybko się przesuszał, nawet po tyłu dniach ulewnych deszczy. Ziarenka poddawały się naporowi wiatru i zasypywały ślady. Adam przypomniał sobie opowieść pewnego księdza o człowieku, który idąc plażą, zawsze widział dwa ślady – swój i Pana. W najtrudniejszych chwilach zostawał tylko jeden ślad. Gdy zarzucił Bogu, że ten go opuścił, usłyszał, że wręcz przeciwnie – jeden ślad widywał wtedy, kiedy Pan niósł go w ramionach.

Z goryczą spojrział na wygładzony wiatrem piasek. „Oto najlepsza metafora mojego życia”, pomyślał Adam. Nawet Bóg mnie opuścił, choć uczciwie mówiąc, nigdy nie byliśmy dobrymi kumplami. Stałem się tym, kim jestem, na dobrą sprawę nawet nie wiem kim, i nie pozostanie po mnie żaden ślad. Przykucnął na pustej plaży i ukrył twarz w dłoniach.



\* \* \*

– W takim razie to psychopata – oznajmiła Alicja i rzuciła przyjaciółce prowokujące spojrzenie. – Tylko jeszcze się nie ujawnił.

– Oj, Ala! – skarciła ją Anna, schodząc z bieżni. – Już ja lepiej wiem, kto jest psychopata. Z doświadczenia. I to bynajmniej nie zawodowego. – Spojrzała na nią znacząco.

Alicja doskonale wiedziała, o kogo chodzi. Eryk był równie przystojny, co popieprzony. Jeszcze na studiach ostrzegała Annę, że to nie jest dobry materiał na męża. Śmiertelnie się pokłóciły z tego powodu i przez wiele miesięcy chodziły obrażone na siebie. Pogodziły się tuż przed narodzinami Filipa. Ania nigdy nie zapomniała tego, co zrobiła dla niej Alicja. W pewnym sensie wypełniła lukę po nieobecnym Eryku. Przewijała Filipa, wyparzała butelki, przywoziła lanolinę na obolałe brodawki. To Ala przyjęła na siebie cały ciężar baby bluesa. Była jak falochron na rozhuśtane emocje Ani. I zawsze, ale to zawsze służyła pomocą i radą.

Zwykle Anna zgadzała się ze spostrzeżeniami przyjaciółki, ale nie dziś. Wytarła twarz ręcznikiem i upiła łyk wody z butelki, przyglądając się z okien siłowni przejeżdżającej SKM-ce.

– On ma jakąś tajemnicę, czuję to – powiedziała, gdy jej oddech zaczął wracać do normy. – Za każdym razem, gdy chciałam dowiedzieć się czegoś o jego przeszłości, zmieniał temat.

– Widzisz. – Ala uśmiechnęła się z satysfakcją. – To znaczy, że coś ukrywa. Gdyby był medalistą olimpijskim, laureatem Nobla albo słynnym modelem, nie ukrywałby tego, prawda? Może uciekł z więzienia?

– Jesteś dziś okropna. – Anna rzuciła w nią ręcznikiem, ale potem się roześmiała. – Myślę, że miał coś wspólnego z kuchnią.

– Skąd to przypuszczenie? Obsługiwał cię w McDonaldzie?

– Poczęstował mnie własnoręcznie ugotowanym obiadem. Ala, szefowie sopockich restauracji mogliby się schować pod stół... – rozmarzyła się, wspominając cudowny smak przygotowanego przez mężczyznę dania.

– Poderwał cię na jedzenie? Musisz być zdesperowana, dziewczyno! – Alicja roześmiała się, ale po chwili spoważniała. – Anka, ile się już znacie? Dwa tygodnie? A ty nawet nie wiesz, jak on się nazywa ani skąd pochodzi. Nie wiesz nawet, jak wygląda bez... no wiesz, bez swojego kloszardzkiego image'u.

– A co, miałam go wylegitymować? – warknęła Anna, bo uszczypliwość Alicji zaczynała ją denerwować, ale w głębi duszy wiedziała, że przyjaciółka ma rację. Spojrzała w stronę wyjścia z szatni, nad którym wisiał zegar.

– No nie. Ale proszę cię, bądź ostrożna – powiedziała Ala całkiem poważnie.

– Nie martw się, jestem dużą dziewczynką.

– I tego właśnie się boję. Duże dziewczynki wyjątkowo łatwo pakują się w kłopoty. No, leć. Przecież widzę, że ci się spieszy. – Alicja przechwyciła kolejne spojrzenie Ani w stronę zegara i klepnęła ją w pośladek. Pożegnały się dopiero w podziemnym parkingu, po tym jak Anna po raz kolejny zapewniła, że będzie na siebie uważała. Mimo to Alicja odprowadziła ją zatroskanym wzrokiem.

Wsiadłszy do swojego żółtego mini, Anna włączyła radio, ale po chwili się rozmyśliła. Umieściła komórkę w uchwycie i wybrała numer do Filipa. Była sobota, dobiegało południe, istniała więc duża szansa, że jej syn wyleguje się jeszcze w łóżku. Nie widzieli się kilka dni i bardzo się za nim stęskniła. Zdążyła wyjechać z parkingu nowoczesnego biurowca w Gdańsku Oliwie, gdy w słuchawce odezwał się zaspany głos syna.

– Cześć, mamó. Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

„Tak, akurat”, pomyślała Anna, ale nie skomentowała.

– Cześć, kochanie. Obudziłam cię?

– Nie, wstałem już jakiś czas temu. Co u ciebie? – zapytał, ale głos miał niewyraźny. Nie zaspany. Teraz Anna wiedziała to już na pewno. Matki wiedzą takie rzeczy.

– Wracam właśnie z siłowni. Byłam z Alą, jak zwykle dała mi niezły wycisk. Jak tam... – chciała powiedzieć „w domu”, ale ugryzła się w język. To już dawno nie był jej dom – ...mieszkanie z ojcem?

– Super – ożywił się Filip. – Jakoś się dogadujemy.

Znała ten ton. I doskonale wiedziała, o czym mówi jej syn. Dogadywanie się pomiędzy Erykiem a Filipem polegało, mówiąc ogólnie, na starannym omijaniu się z zachowaniem obustronnych korzyści. Eryka prawie nie było w domu – albo siedział w kancelarii, albo pił whisky ze współnikami. Filip w tym czasie włóczył się z kumplem po mieście lub całymi dniami i nocami grał. Raczej to drugie. Ostatnio mocno zaniedbał kontakty z rówieśnikami. Kiedyś znała wszystkich jego kolegów, a oni lubili przychodzić do domu Turskich. Czasami myślała, że ściągał ich tam zapach czekoladowego brownie, którego była mistrzynią. Po tym, gdy wyprowadziła się do małego mieszkania na Morenie, odziedziczonego po rodzicach, jeszcze bardziej martwiła ją utrata kontroli nad synem. Dobrze, że był chociaż Mikołaj – kumpel Filipa jeszcze z podstawówki, któremu nie przeszkadzało to, że przyjaciel w ostatnim czasie stał się zamknięty w sobie, małomówny i zgaszony. Mikołajowi imponowało coś innego – luksus, jakim otaczał się jej syn. Zawsze to ciekawiej pić drogie alkohole w wielkim, komfortowym domu niż piwo z Biedronki na ławce pod blokiem, kryjąc się przed policją. Bo to, że Filip pije, wiedziała i najbardziej bolało ją, że nic nie może z tym zrobić. Po osiągnięciu dorosłości syn otrzymał na to przyzwolenie od Eryka. Podejrzywała również, że jej mąż – wkrótce już były – zasilął mu konto pokaźnymi sumami pieniędzy. I to niestety była jedyna relacja, jaką Eryk nawiązał ze swoim dzieckiem. No, chyba że coś się zmieniło, od kiedy opuściła dom w Jelitkowie.

– Wychodzicie gdzieś razem?

– No nie, ma teraz dużą sprawę. Bronią jakiegoś zwolnionego prezesa czy coś. Ale mówi, że jak skończy, to gdzieś polecimy. – W głosie Filipa zabrzmiała nadzieja. – Na Bali albo Bora-Bora.

– Filip, on mówi to samo od pięciu lat! Na razie nie byliście nawet w Balicach czy Bornem Sulinowie! – Anna zezłościła się na dobre i nie mogła darować sobie uszczypliwości względem Eryka. Ten gnój ogrywał najbardziej zdartą kartę w swoim repertuarze – obietnice. A biedny chłopak raz za razem dawał się oszukać. – Mówiłam ci, że nigdzie nie pojedziecie. A jak przygotowania do matury? – zapytała, by nie brnąć w drażliwe tematy. Nie lubiła tego robić przez telefon.

– Nie mogę się zebrać – przyznał chłopak z rozbrajającą szczerością. – Ale razem z Miko układamy plan na naukę. Chociaż tata mówi, że trzeba być idiotą, żeby nie zdać matury, więc może sobie poradzę.

– Poradzisz sobie na pewno. Ale powinieneś się uczyć. Tym bardziej że masz świetną pamięć i materiał sam wchodzi ci do głowy – próbowała go zmotywować. – Zjemy razem obiad?

– Dziś nie dam rady, mam. Może przyjadę do ciebie jutro? – zaproponował.

Anna bardzo się ucieszyła. Od kiedy przeprowadziła się na Morenę, Filip jeszcze u niej nie był. Spotkali się kilka razy na mieście, raz wpadła do domu po resztę rzeczy. Wypili wtedy kawę i porozmawiali od serca, korzystając z nieobecności Eryka. Kiedy ojciec był w domu, Filip strasznie się uszczypliwał, ważąc każde słowo.

– Tata chce mi kupić auto. Wiesz, żebyśmy byli bardziej niezależni – dodał.

– Przecież ty nie masz prawa jazdy... – Oczami wyobraźni widziała Filipa pędzącego Grunwaldzką w wypasionym bmw. Eryk doskonale wiedział, jak zatrzymać przy sobie syna.

– Pójdę na kurs. Tata ma jakiegoś znajomego instruktora.

– Dobra – skapitulowała, nie mając siły, by ciągnąć tę rozmowę. Szkodliwy wpływ ojca na syna zdawał się narastać w lawinowym tempie. – Jutro pogadamy. Przyjedź do mnie o czternastej. Masz na coś ochotę?

– Na pieczeń. I brownie z sosem waniliowym. Robisz najlepsze, jakie jadłem – rozmarzył się i przez chwilę znów słyszała swojego ukochanego chłopca. Poczula, jak łzy napływają jej do oczu, a wzruszenie ścisnęło ją za gardło. – Mamo? – Chyba wyczuł, co dzieje się po drugiej stronie słuchawki.

– Jestem, jestem. Musiałam się skupić na drodze – skłamała. – Nie wiem, czy zdążę z pieczenią, ale brownie będzie na pewno. No to do zobaczenia jutro.

– Pa, mamo. – Filip się rozłączył.

Zjechała na parking przed marketem budowlanym, zatrzymała się z daleka od innych zaparkowanych aut i zaczęła płakać niemym, zatykającym szlochem. Gdyby serce jako mięsień mogło rzeczywiście pęknąć, stałoby się to właśnie na tym parkingu. Bo jej matczyne, jej kobiece serce pękło już dawno. Znów poczuła ogromny ciężar przegranej. Gdzie się podziała ta wesoła, świetnie tańcząca dziewczyna, mistrzyni czekoladowych deserów, kreatywna, towarzyska, doprowadzająca do pasji swoim roztrzepaniem romantyczka – słowem perfekcyjna pani chaosu? Czy naprawdę nic z tamtej w niej nie zostało? Nie chciała, nie mogła się z tym pogodzić. I musiała zrobić coś, żeby odzyskać syna.

\* \* \*

– Długo jeszcze? – Adam stał na deszczu i marzył. Kogut policyjnego radiowozu co chwilę błyskał mu w twarz.

– Tyle, ile trzeba – mruknął funkcjonariusz policji i ziewnął przeciągle, nie zasłaniając ust. Był po czterdziestce i miał nieprzyjemny wyraz twarzy, który potęgowały jeszcze blizny po ospie. Drugi z policjantów, kierowca, był znacznie młodszy i wyglądał sympatyczniej, ale nie włączał się do rozmowy. – Jakbyś miał dokumenty, nie byłoby problemu. A tak trzeba czekać. To powiesz nam, gdzie koczujesz?

– Nigdzie. – Adam nie przypominał sobie, by przeszedł z policjantem na ty. – Mieszkam niedaleko.

– Mieszkasz? – Aspirant parsknął śmiechem. – To, że się gdzieś zamelinowałeś, nie oznacza jeszcze, że tam mieszkasz. Od mieszkańców spływają skargi, że włóczysz się po wsi albo po plaży i straszysz ludzi.

– Każdemu chyba wolno chodzić po plaży, co? Właścicielka zgodziła się, żebym zamieszkał w jej domku letniskowym. – Adam poczuł ciepło bijące z wnętrza radiowozu. Cuchnęło z niego dymem papierosowym i podłą kawą.

– Masz na to jakiś kwit? Umowę albo coś?

– Przez tę cholerną zawieruchę radio gubi zasięg. – Kierowca wszedł w słowo koledze. – Nie wiem, czy baza nas słyszy, ale my raczej nic nie odbierzemy.

– No to jak? Masz coś? – Aspirant wrócił do rozmowy, patrząc na Adama z odrazą.

– Nie, ale właścicielka dzisiaj będzie, to wam powie...

– Dobra, pakuj dupsko do tyłu. Jedziemy na komendę. Arek, rozłóż mu matę, bo nam zasyfi siedzenia.

Młodszy funkcjonariusz niechętnie wyszedł z ciepłego radiowozu. Skrzywił się, gdy uderzył w niego podmuch wiatru z deszczem. Z bagażnika radiowozu wyjął matę noszącą ślady wielokrotnego użytkowania i rozłożył ją na siedzeniu. Kiedy skończył, ruchem głowy wskazał Adamowi miejsce. Mężczyzna westchnął. Nie było sensu się stawiać. Wiedział, że mają rację.

Skoro nie mogli go wylegitymować, bo nie miał przy sobie dokumentu tożsamości, musieli go zawieźć na komendę. Wsiadał już do radiowozu, kiedy usłyszał dźwięk nadjeżdżającego samochodu. Żółte mini błysnęło długimi światłami, zatrąbiło dwukrotnie i zatrzymało się za nimi. Anna wyskoczyła z auta, zostawiając otwarte na oścież drzwi.

– Dzień dobry! – zawołała do młodszego policjanta, który czekał, aż Adam wsiądzie do wozu. – Co panowie robią z tym mężczyzną?

– Jedziemy z nim na komendę. Zna go pani?

– Tak, znam. Mieszka w domu należącym do mnie.

– Mimo wszystko musi mieć jakiś dokument tożsamości. – Aspirant spojrział na Adama. – Ma pan jakiś?

– Tak. W domu.

– To zrobmy tak. Podjadą panowie za nami, Adam znajdzie dokument, a ja zaparzę wam kawę na drogę i wszyscy będą zadowoleni – zaproponowała Anna.

– No nie wiem... – Policjant zajrzał do radiowozu przez drzwi kierowcy. Widocznie jednak kolega z patrolu zaakceptował ten pomysł, bo młodszy funkcjonariusz zwrócił się do Anny: – Niech pani jedzie przodem. Ale pan jedzie z nami.

Anna chciała zaprotestować, ale Adam kiwnął głową i wsiadł do nagrzanego auta. Na kolanach położył reklamówkę, w której znajdowały się kupione w niewielkim sklepiku chleb, dżem i kilka innych produktów spożywczych. W kieszeni zabrzęczały monety, reszta z zakupów. Miał dość czasu, żeby policzyć, że zostało mu tylko około ośmiuset złotych. Zbyt mało, by przeżyć całą jesień i zimę, szczególnie długą.

– Upiekło ci się, co? – Głos aspiranta wyrwał go z zamyślenia. – Co taka elegancka babka robi z takim lumpem? Przygarnęła cię z litości?

Adam nie odpowiedział. Wiele razy słyszał obelgi pod swoim adresem, ale dopiero te, które dotyczyły innej osoby, zabolowały go najbardziej. Sam wielokrotnie zastanawiał się, co pchnęło Anię do takiego kroku. W końcu dał sobie spokój. Próby zrozumienia kobiet zawsze kończyły się niepowodzeniem. Choć myśl, że powodowała nią litość, była wyjątkowo nieprzyjemna.

Po kilku minutach jazdy byli na miejscu. Kiedy zajechali przed dom, Anna zdążyła już otworzyć drzwi. Kierowca zgasił silnik i wysiadł, by wypuścić Adama.

Mężczyzna wszedł do domu, słysząc za sobą kroki policjanta. Kiedy otwierał zamek swojej małej walizki, zauważył, że w drzwiach pojawił się drugi funkcjonariusz. Albo chciał ubezpieczać swojego młodszego kolegę, albo obietnica świeżej, gorącej kawy wyciągnęła go z radiowozu. Adam obstawiał to drugie. Spomiędzy kilku sztuk odzieży i drobiazgów różnego pochodzenia wygrzebał sfatygowany paszport. Podał go młodszemu policjantowi, który trzymał już w dłoni niewielki notes i długopis. Otworzywszy dokument na stronie ze zdjęciem, długo przenosił wzrok ze strony na Adama. Stwierdziwszy w końcu, że zarośnięty i wychudzony mężczyzna może być tym ze zdjęcia, zaczął spisywać dane. Gdy skończył, przekartkował paszport, pokazując kilka stron starszemu koledze. Wymienili znaczące spojrzenia.

– Kawa dla panów – powiedziała Anna, stawiając na stole plastikowe kubki, które wydobyla z szafki ze sprzętem do grillowania. Tym samym dała policjantom wyraźny znak, że powinni już jechać. Intensywny aromat kawy drażnił nozdrza. – Cukier, mleko?

– Pełen zestaw poproszę. – Starszy policjant po raz pierwszy przywołał na twarz coś na kształt uśmiechu. – Dla kolegi czarna.

– Proszę. – Anna podała im kubki przygotowane według życzenia.

– Dziękujemy. – Aspirant upił łyk. – Pyszna kawa. Da sobie pani radę na tym odludziu?

– Jasne, że tak.

– Proszę uważać na tę wichurę. Koło Nowego Dworu już pozrywało dachy w gospodarstwach. A pan niech się doprowadzi do porządku. To wszystko z naszej strony. – Policjant podniósł lekko czapkę z daszkiem w geście pożegnania.

Kwadrans później Adam i Anna siedzieli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, wpatrując się w zawieruchę za oknem. Dopiero teraz mężczyzna zwrócił uwagę, że Ania wygląda dziś inaczej niż dotychczas. Jesienną kurtkę z kapturem przerzuciła przez oparcie sąsiedniego krzesła. Miała na sobie dobrze dopasowane jasne dżinsy, bluzę i białe trampki. Włosy zaplotła starannie w niewielki warkocz. Dotychczas zawsze widział ją w rozpuszczonych i elegancko ułożonych włosach. To była interesująca odmiana. Anna wyglądała dziś na młodszą o dziesięć lat Anię.

Wiatr się wzmaczał. Napierał na dach tak, że słyhać było, jak skrzypią belki na poddaszu. Wył w kominie i rozpędzał krople deszczu, rozchlapując je na szybach. Nie rozmawiali wiele. Zatopili się w swoich myślach, ale cisza nie przeszkadzała żadnemu z nich. W końcu zaczęło się ściemniać.

– Przywiozłam ci trochę zapasów – przerwała milczenie Anna. – Pójdziemy po nie? I przy okazji zamkniemy okiennice. Boję się, że ten cholerny wiatr w końcu wywali szyby w oknach.

– Jasne. Zapowiadali ten orkan na późne popołudnie lub wieczór. Powinnaś wrócić do Gdańska, zanim zrobi się niebezpiecznie.

– Tak zrobię, tylko wyładujmy te zakupy.

Gdy się zbliżył, poczuła kwaśny odór dymu tytoniowego, którym przesiąkły jego ubrania. Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Nadal palisz to świństwo?

– Nadal. – Wytrzymał jej spojrzenie i wzruszył ramionami.

– Mogę ci kupić normalne papierosy. A najlepiej, jakbyś w ogóle rzucił. Wiesz przecież, jak to szkodzi...

– E tam... – Machnął ręką. – To nie jest największy z moich problemów.

Otworzył drzwi, wpuszczając do domu podmuch zimnego powietrza. Pobiegli do samochodu, osłaniając się przed zawieruchą. Drobnny deszczyk, który przy normalnej pogodzie można by nazwać kapuśniaczkiem, zamienił się w nawałnicę małych, dotkliwie kłujących igiełek. Wiatr poderwał klapę bagażnika, ale wytrzymała. Oczom Adama ukazały się dwie skrzynki pełne różnorodnych produktów spożywczych: owoców, warzyw, makaronów, przypraw. Ich liczba przyprawiła go o zawrót głowy. Dźwignął jedną ze skrzynek i szybkim krokiem ruszył do domu. Stawiając ją na kuchennym stole, zauważył, że na podwórko wjechało terenowe porsche. Nie musiał zgadywać, do kogo należy.

Wyszedł przed dom i skupił wzrok na mężczyźnie wysiadającym z luksusowego auta. Eryk Turski był wysokim, atletycznie zbudowanym blondynem. Granatowy garnitur leżał na nim jak szyty na miarę. Za równowartość jego ceny Adam prawdopodobnie byłby w stanie przeżyć rok, nie odmawiając sobie niczego. Spod mankietu błękitnej koszuli wystawała koperta wielkiego zegarka.

W połowie drogi do auta Anny Eryk zatrzymał się i na ułamek sekundy zawiesił wzrok na Adamie. Trudno byłoby to nazwać spojrzeniem. Tak jakby Adam nie był wart uważnego przyjrzenia się jego osobie.

Turski ruszył w stronę żony. Adam również podszedł do samochodu, zapinając kurtkę. Wciąż jeszcze nie rozgrzał się po przedpołudniu spędzonym na plaży i zatrzymaniu przez policję.

– Eryk, co ty tu robisz? – Anna musiała przekrzykiwać wiatr. Ściągnęła usta w wąską kreskę, starając się ukryć zdenerwowanie.

– Przyjechałem zobaczyć, gdzie się szlajasz. Na dobrą sprawę nie musiałem sprawdzać nadajnika GPS, żeby wiedzieć, dokąd cię poniosło – powiedział jej mąż donośnym, pewnym głosem, jakby wiatr i deszcz nie robiły na nim żadnego wrażenia.

– Jeśli już zaspokoiliś swoją ciekawość, to zabieraj się z powrotem. – Kobieta była coraz bardziej zdenerwowana. Z hukiem opuściła klapę bagażnika.

– Wiedziałem, że z kimś się łajdaczysz, ale musiałem sprawdzić, dla kogo postanowiłaś zrezygnować z naszego szczęścia rodzinnego.

– Szczęście rodzinne? Eryk, co ty pieprzysz? Nie jesteśmy rodziną od bardzo dawna, ale ty nie dopuszczasz do siebie tej myśli. Nie wiesz, jak się powinno traktować rodzinę.

– To dlatego postanowiłaś się kurwić z takim łachem? – wypalił Eryk i wykrzywił twarz w grymasie. Przeniósł wzrok na Adama, który obserwował Annę.

Jej twarz była czerwona ze złości albo wstydu. Mogła wściekać się na męża, ale Adam wiedział, że w jego jadowitych słowach czai się odrobina prawdy. Anna i on stanowili tak duży kontrast, że Eryk nie mógł tego nie wykorzystać.

– Co się gapisz? Alberta ci zamknęli, brudasio? Od samego spojrzenia na ciebie można dostać HIV-a albo żółtaczkę.

– Świnia. – Anna zamknęła samochód pilotem i ruszyła w stronę domu. – Adam, nie słuchaj go.

– Masz jeszcze szansę wszystko naprawić. Zaczynaj być wreszcie przykładną żoną i matką. I wycofaj ten cholerny pozew. – Eryk chwycił Annę za ramię, ściskając boleśnie.

Kobieta krzyknęła i próbowała się wyrwać, ale nie miała z nim szans. Pociągnął ją w stronę porsche.

Adam ruszył błyskawicznie. Od początku ich rozmowy macał palcami Mojkę. Mojka była jego towarzyszką i kilka razy uratowała go przed pobiciem, a może nawet śmiercią. Piętnastocentymetrowej długości kawałek metalu zakończony krótkim trójkątnym ostrzem wyciął, zeszlifował i naostrzył jeszcze w czasach technikum. Na zajęciach warsztatowych uczniowie wykonywali narzędzia według projektu, ale zdarzało się, że robili również coś na boku. Przez te wszystkie lata on i Mojka byli nierozłączni. Udawało mu się ją nawet przewozić przez granicę, sprytnie ukrytą w bagażu. Odpowiednio umocowana wewnątrz walizki na skanerach wyglądała jak element jej stelaża. Była z nim wszędzie i robiła za wszystko – nóż, śrubokręt, otwieracz do butelek. O ile ze scyzorykiem czasami się rozstawał, kładąc go tu i tam, o tyle z Mojką nigdy. Choć ostatnio najczęściej wydłubywał nią brud spod paznokci.

W trzech susach dopadł szamoczącej się pary i skoczył na Eryka. W bezpośrednim starciu nie miał wielkich szans, ale po jego stronie był element zaskoczenia i wiatr, który pchnął go na potężnego blondyna. Zatoczyli się w stronę porsche. Eryk błyskawicznie otrząsnął się z zaskoczenia. Z wyraźnym obrzydzeniem na twarzy rzucił wątlęgo mężczyznę na maskę samochodu. Gniew wziął górę i z niespodziewaną jak na prawnika siłą Eryk zaczął okładać Adama pięściami. Ten przyjął dwa uderzenia i poczuł w ustach metaliczny smak krwi, która zalała mu także oko. Trzeci cios trafił w maskę auta, ale Adam wiedział, że na tym się nie skończy. Przegrywał. Anna krzyczała i próbowała ich rozdzielić, ale nie była w stanie.

W akcie desperacji Adam odbił się od nagrzonej maski auta i naparł całym ciężarem na Eryka. Nic by to nie dało, gdyby nie śliskie błoto, które sprawiło, że mąż Anny stracił równowagę. Obaj runęli na ziemię, rozchlapując wokół brudną wodę, ale Adam miał tę przewagę, że tym razem znalazł się na górze. Wysunął z kieszeni krótkie, brudne ostrze, pokazał je Erykowi, a potem przystawił mu do policzka.

– Potnę ci tę pyskatą mordę, jak jeszcze raz ją tkniesz – wydyszał. Z ust kapłała mu krew. Eryk przyglądał się temu z obrzydzeniem i strachem. – Możesz się domyślić, gdzie było to ostrze

i co robiło. A teraz wypierdalaj! – Ostrożnie zszedł z przeciwnika.

Eryk podniósł się, strzepując z siebie błoto. Zdjął ochlapaną krwią, podartą marynarkę i rzucił na ziemię. Pod błękitną koszulą grały naprężone mięśnie.

– Pożalujecie tego. Oboje – syknął i wrócił do samochodu. Po chwili czarne porsche zniknęło za pagórkiem, pozostawiając w miękkiej drodze głębokie bruzdy, wypełniające się powoli wodą.

Przez chwilę stali nieruchomo, wpatrując się w siebie.

– Adam, przepraszam za tego palanta. – Anna wierzchem dłoni wytarła łzy. – Nie sądziłam, że posunie się tak daleko. Chodź, musimy cię opatrzyć. – Chwyliła go za rękę i pociągnęła w stronę domu.

– Nie, Aniu. – Zatrzymał ją i spojrzał głęboko w czekoladowe oczy. Był w nich smutek. – To ja przepraszam. Musiałaś się przeze mnie wstydzić, i to nie pierwszy raz. W gruncie rzeczy przynosiłem ci wstyd od samego początku naszej znajomości: w restauracji, przy Alicji, przy gliniarzach. A teraz przy nim. Przepraszam, że byłem takim egoistą.

Nie odrywał od niej wzroku. Wzburzony Bałtyk za lasem musiał mieć dziś dokładnie taki sam kolor jak jego oczy. W takich momentach Anna mogła przysiąc, że patrząc mu w oczy, widzi skrawki jego duszy.

Tym razem to on pociągnął ją w stronę domu. Postanowił, że dziś ostatni raz musiała się za niego wstydzić.

## Rozdział 6

– Znajdziesz mi jakiś ręcznik? – zawołał z łazienki.

Stał przed lustrem i wpatrywał się w umazaną krwią, pokrytą wielotygodniowym brudem, wymizerowaną twarz. Prawie siebie nie poznawał. Wychudł, rysy mu się wyostrzyły, długa, gęsta i zmierzwiona broda sklejana setką posiłków i skołtunione włosy sprawiały przygnębiające wrażenie. Zadziwiające, jak długo udawało mu się uniknąć spoglądania w lustro. Tylko oczy pozostały te same, choć pozbawione dawnego blasku.

– Proszę. – Anna uchyliła drzwi i wsunęła przez nie dłoń trzymającą ręcznik kąpielowy, a po krótkiej chwili wahania weszła do łazienki. – Wybrałam też trochę ubrań po moim tacie. Masz podobną posturę, więc z grubsza powinny pasować. – Położyła niewielki stosik odzieży koło umywalki.

Mimo że stał przed nią owinięty jedynie w ręcznik, nie czuła się skrępowana. Chwilę wcześniej Adam schował swoje dziurawe bokserki do rękawa starego swetra, tak aby już nigdy więcej nie ujrzały światła dziennego. Dopiero teraz mógł skorzystać z propozycji Ani, która zaoferowała się, że obetnie mu włosy. Usiadł na niewielkim stołku i oddał się w jej ręce. Jednostajny warkot maszyny uspokajał go. Po plecach przebiegł mu przyjemny dreszcz, gdy kobieta dotknęła jego karku chłodnymi palcami. Owionął go zapach perfum, równie delikatnych jak ona, zabierając daleko stąd.

Dopiero gdy zobaczyła, że Adam zamknął oczy, Anna nabrała odwagi, aby przyjrzeć mu się dokładnie. Był przeraźliwie chudy. Widziała dokładnie rzędy żeber, wystające łopatki i obojczyki. Można było niemal policzyć wszystkie kości. Aż dziw, że tam, przed domem, znalazł w sobie tyle siły, by obezwładnić Eryka, który regularnie uczęszczał na siłownię, zdrowo się odżywał i był przynajmniej dwa razy cięższy od Adama. Tym bardziej była mu wdzięczna.

Skupiła się na strzyżeniu. Już dawno tego nie robiła, ale lata obcinania włosów Filipowi sprawiły, że miała sporą wprawę. Strzygła go, nawet gdy wymagał cięcia wykraczającego poza zwykłą fryzurę. Czasami udawało się jej spełnić marzenia syna i wystylizować jego włosy na wzór Cristiano Ronaldo. Adam całkowicie zdał się na nią, twierdząc, że każde strzyżenie będzie rewolucją w porównaniu z bałaganem na jego głowie. Anna usiłowała przypomnieć sobie męską część katalogu fryzjerskiego, który miała w rękach podczas ostatniej wizyty w ulubionym salonie. Niestety, wtedy skrupulatnie ją zignorowała, przechodząc od razu do kobiecych fryzur. Szkoda, teraz ta wiedza mogłaby się przydać. Na szczęście była dobrą obserwatorką i wielokrotnie widywała na mieście modnie ostrzyżonych mężczyzn.

Maszynka z trudem przedzierała się przez skołtunione, brudne włosy, ale spełniła swoje zadanie. Anna podgoliła Adamowi włosy po bokach i z tyłu, górę zaś przystrzygła nożyczkami. Podcięła również dużą część zarostu, pozostawiając równą, jakże modną ostatnio drwałową brodę.

– Chyba gotowe, ale zobaczymy, jak będziesz wyglądał po kąpieli. Wtedy poprawię, co trzeba – powiedziała z uśmiechem. Była zadowolona, choć poczuła ukłucie zawodu, gdy po trwającym niemal godzinę strzyżeniu Adam nawet nie spojrzął w lustro. Umyła ręce i zniknęła za drzwiami.

Zamierzała zaparzyć kawę, ale w połowie drogi do kuchni zauważyła leżący na stoliku przy kanapie paszport Adama. Targały nią sprzeczne uczucia, ale w końcu ciekawość zwyciężyła. Okładka paszportu była pomięta, a jej pierwotna barwa niemal niemożliwa do odgadnięcia. Anna otworzyła sfatygowany dokument na stronie ze zdjęciem. Patrzył na nią młody mężczyzna z figlarnym uśmiechem, czającym się w kącikach ust. Nazywał się Adam Kort



i – jak szybko policzyła – miał obecnie trzydzieści osiem lat. Był zatem dwa lata młodszy od niej. Uzyskane informacje uspokoiły ją, ostatecznie uwiarygadniając Adama w jej oczach.

Przewróciła stronę, a potem następną i kolejną. Z każdą jej oczy stawały się większe. Na kartkach paszportu połyskiwały kolorowe naklejki wiz. Australia, Malezja, RPA, Brazylia, Chiny, Japonia, Stany Zjednoczone, Izrael, Wietnam, Chile. O ile te kraje znała i potrafiła umiejscowić, o tyle takie nazwy jak Mjanma czy Surinam stanowiły dla niej zagadkę. Kartkowała paszport, nie wierząc własnym oczom. Ten człowiek zwiedził więcej krajów, niż ona potrafiła wskazać na mapie.

Adam wszedł pod prysznic. Odkręcił wodę, wzdrygając się pod dotykiem zimnego strumienia. Po chwili pod wpływem gorącej wody łazienka zaczęła wypełniać się parą. Nabrał na dłoń solidną porcję przywiezionego przez Annę żelu i namydlił całe ciało. Na dno brodzika spłynęła gęsta, szarobrunatna piana. Czuł, że woda spływająca wraz z brudem i resztkami włosów po strzyżeniu unicestwia jakąś część jego życia – tę zimną, śmierdzącą dworcem, śmietnikiem i strachem. Przeszło mu przez myśl, że porządna kąpiel i doprowadzenie się do porządku lata temu wystarczyłyby do powrotu do normalnego życia, ale natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że to nieprawda. Doskonale wiedział, że problem nigdy nie leżał w jego powierzchowności, lecz zawsze krył się w głowie. Bez pojawienia się na jego drodze kogoś, kto dałby mu porządnego kopa, kogoś takiego jak Ania, zmiana sama z siebie nie mogła się dokonać.

Dopiero po trzecim czy czwartym namydleniu spływająca z jego ciała piana zachowała biały kolor. Stał pod prysznicem tak długo, aż w bojlerze skończyła się woda. Już sam nie pamiętał, kiedy po raz ostatni wziął gorący prysznic. Wydawało mu się, że to było jeszcze w Stanach, po chwili doszedł do przekonania, że jednak w ośrodku dla bezdomnych, a potem, że w barakowozie jednej z firm, dla których pracował. Wspomnienia ostatnich dziesięciu lat zdawały się zlepiać w jedno. Zakręcił wodę i odsunął drzwi kabiny. Łazienkę w całości wypełniała para wodna. Wytarł się bez pośpiechu. Trochę tremowało go pokazanie się Annie w nowej odsłonie. Poprzednie ubrania, zarost, włosy i warstwa brudu stanowiły coś w rodzaju pancerza. Dzięki nim stawał się niewidzialny dla innych ludzi, co często bardzo się przydawało. Teraz miało się to zmienić i napawało go to lękiem tkwiącym głęboko pod czystą skórą.

Ze stosu ubrań wybrał jasne dżinsy i koszulę w granatowo-bordową kratę, na którą włożył czarną bawełnianą kamizelkę. Spodnie były za luźne w pasie, dlatego skorzystał z paska – ojciec Anny musiał być od niego nieco cięższy, ale w chwili obecnej każdy był cięższy. Wytarł ręcznikiem zaparowane lustro i zamarł. Spoglądał na niego jednocześnie obcy i znajomy mężczyzna. To prawda, że od czasu, gdy widział swoje odbicie po raz ostatni, minęło wiele lat, ale zaskoczyło go, jak bardzo się postarzał. Głębokie bruzdy przecinały czoło, na którym widniała świeża rana. Włosy na skroniach i brodzie przeplatały gdzieś wąskie pasemka siwizny.

Anna spisała się świetnie. Gdy zaczesał na bok mokre włosy, wyglądał, jakby wyszedł z salonu fryzjerskiego. Gęsta, ciemna broda była starannie przycięta, jednak dla pewności raz jeszcze ją przeczesał. Pogrzebał chwilę w pudle z kosmetykami dostarczonymi przez Anię. Nową szczoteczkę do zębów i pastę znalazł niemal na dnie. O dziwo, przez te wszystkie lata jedynym elementem higieny, którego jako tako przestrzegał, było mycie zębów. Co kilka dni, a czasem codziennie zachodził do publicznych toalet, aby wyszorować zęby. Robił to z dwóch powodów. Po pierwsze, od dziecka nie lubił dyskomfortu spowodowanego nieumytymi zębami i żadne okoliczności nie były w stanie tego zmienić. Po drugie, panicznie bał się bólu zębów. Teraz po szybkim przeglądzie stwierdził, że są w niezłym stanie. Nawet podły tytoń nie zdołał ich zniszczyć. Na pewno po części była to zasługa genów. Jego rodzina słynęła z mocnych zębów. Pamiętał siedemdziesięcioletniego wujka swojej mamy, który miał w tym wieku własne pełne

uzębienie.

Gdy wreszcie skończyły się powody, aby przedłużać pobyt w łazience w nieskończoność, Adam wyszedł z pomieszczenia.

– Zaparzyłam kawę, ale może wolisz coś zjeść? – powiedziała Anna, słysząc dźwięk otwieranych drzwi. Gdy mężczyzna ukazał się w nich, drgnęła, czując ucisk w żołądku. Trzymana w dłoni łyżeczka z brzękiem upadła na blat stołu.

– Zaskoczona? – Na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

Spodziewała się odmiany, ale to, co zobaczyła, wprawiło ją w osłupienie. W ciągu zaledwie godziny z zapuszczonego kloszarda Adam zmienił się w mężczyznę, który mógłby bezpowrotnie wtopić się w tłum. Nie był uderzająco przystojny, ale miał przyjemne rysy twarzy i ten rodzaj uroku, który na pewno podobał się kobietom. Jego szorstka uroda i uważne spojrzenie ciemnoniebieskich oczu przypominały jej Madsa Mikkelsena, którego uwielbiała.

– Aniu?

– Tak... – Otrząsnęła się ze stuporu. – Tak. Wyglądasz znakomicie. Widzę, że ubrania taty całkiem niezłe na ciebie pasują. On też lubił to połączenie. – Spojrzała wymownie na koszulę i kamizelkę.

– Są bardzo wygodne, dziękuję. Dawno się tak nie czułem... – Oczy Adama pociemniały, gdy przywołał wspomnienia.

– Chodź na kawę. – Uśmiechnęła się do niego, by rozwiać ponure myśli. – Przywiozłam też coś do jedzenia.

Adam zbliżył się do stołu. Mocny aromat kawy wyczuł już w łazience, ale tutaj wręcz zaatakował jego powonienie. Wzięli kubki z kawą i plastikowe pojemniki z sałatką, po czym przenieśli się do salonu. Chwilę zajęło Adamowi rozpalenie ognia w kominku. Wiatr nawiewał powietrze do komina, gasząc niewielkie płomyki, jednak po kilku minutach sojusz drewna z ogniem zwyciężył. Adam dorzucił kilka grubszych patyków i zamknął przeszkłone drzwiczki. Podobnie jak Anna przez długą chwilę w milczeniu wpatrywał się w płomień.

– Proszę, częstuj się. – Anna otworzyła pudełka, ukazując ich wielokolorową zawartość. Poczwała ssanie w żołądku. Po wysiłku na siłowni i szybkim prysznicu zrobiła zakupy i przyjechała prosto do Jantaru. W tym pędzie zapomniała o jedzeniu, co teraz zaowocowało wilczym apetytem.

– W zasadzie to nie jestem bardzo głodny – mruknął mężczyzna, upijając łyk gorącej kawy. Tego było mu potrzeba. Żołądek wciąż jeszcze miał ściśnięty pod wpływem emocji, jakie wywołało burzliwe popołudnie, a także własnej przemiany.

– Adam, powinieneś jeść... – Anna spojrzała na niego wymownie. Nie chciała robić mu wyrzutów i przytyków do jego niedożywienia. – Mam pomysł! – Odstawiła pojemnik na niewielki stolik i podbiegła do swojego płaszcza zawieszzonego w sieni. Z rękawa wyciągnęła apaszkę, którą następnie przewiązała oczy zdeorientowanemu, choć nieprotestującemu mężczyźnie. – Za każdy odgadnięty składnik sałatki opowiem ci jedną rzecz o sobie. Jeśli nie trafisz, ty opowiesz coś o sobie. Uprzedzam, nie będzie łatwo. Co ty na to? – zapytała wesołym głosem.

Gdyby miał teraz określić wiek kobiety, powiedziała, że mówi do niego dwudziestolatka. Głos Ani był przesycony ekscytacją. Sama była zaskoczona, ile radości wzbudził w niej ten pomysł.

– Niech będzie.

Adam sięgnął po omacku po widelec. Anna pomogła mu trafić do ust. Zapach jej perfum owionął go i oczarował. Intensywnie wdychał powietrze, delektując się wonią wydzielaną przez apaszkę, tak że niemal zapomniał o ogłoszonym konkursie. Połknął pierwszy kęs i poszedł po

linii najmniejszego oporu:

– Sałata.

– Jaka? – podpuściła go, sięgając po opakowanie. Teoretycznie odpowiedź była wystarczająca, ale nie mogła oprzeć się ciekawości. Pamiętała, jak rozpracował łososia w El Puerto. Albo tę swoją zupę. Dopiero w domu zajrzała do internetu i sprawdziła, że crema de frijol to meksykańska zupa z czarnej fasoli. Świeżej fasoli.

– Różne. – Adam przez chwilę jeszcze analizował to, co zjadł. – Lodowa, endywia i radicchio, czyli czerwona cykorია.

– Matko święta, podglądasz? – Anna prawie zakrzuszyła się własną sałatką. Wymienił dokładnie te sałaty, które znajdowały się w składzie. Ale nawet gdyby podglądał, to skład znajdował się na spodzie opakowania leżącego na stoliku.

– Nie, przysięgam. – Roześmiał się szczerze. – Rozumiem, że to liczy się jako trzy?

– Sprytnie, cwaniaku. – Teraz to ona nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu. – A więc trzy rzeczy, które mogę o sobie powiedzieć, są następujące. Uwielbiam czekoladę pod każdą postacią. Może nie jestem najlepszą kucharką, ale z pieczeniem radzę sobie nieźle. Co w połączeniu z moją pierwszą pasją przekłada się na najlepsze brownie na świecie. I trzecie, najbardziej aktualne – w związku z panującą w naszym kraju aurą marzę, by wyjechać do egzotycznych krajów, opalać się na plaży, raczyć drinkiem z palemką i nie robić nic przez cały boży dzień. No, dalej – kiwnęła głową, choć nie mógł tego widzieć – próbuj szczęścia.

– Hmm... – Tym razem przeżuwał dłużej. Trafił na niewielką kostkę, którą starał się rozpoznać. Miała kremową, miękką konsystencję i delikatny, orzechowo-maślany aromat. Dopiero to ostatnie naprowadziło go na właściwy trop, dzięki czemu mógł wyeliminować fetę czy mozzarellę. – Awokado – zawyrokował. Ta zabawa zaczynała mu się podobać.

– Zgadza się – przytaknęła Anna. Tak długo wpatrywała się w skład, że znała go już niemal na pamięć. – Lubię tańczyć, choć dawno nie miałam okazji. Zawsze chciałam nauczyć się tańczyć tango. Gotowy? – Podniosła widelec z sałatką. Szkoda, że nie widział jej miny – miny zwycięzcy. Łatwe składniki się skończyły, ale nie musiał o tym wiedzieć. Teraz ona miała szansę zdobyć jakieś informacje na jego temat.

– Tofu – powiedział, zanim jeszcze połknął zawartość widelca.

„Cholera jasna!”, zaklęła w myślach Anna. Liczyła, że na tym się wyłoży. Według niej był to najbardziej neutralny, nijaki w smaku i konsystencji składnik sałatki przygotowanej w jej ulubionej restauracji. Nie była weganką, ale do knajpki Wilk Syty miała słabość. A szczególnie do krótszej bezmięsnej karty nazwanej „...i owca cała”. Jakkolwiek dla Anny idealna sałatka nie zawierałaby tofu, to w sobotnie popołudnie nie można było wybrzydzać.

Tak czy owak, rozpoznanie tofu wśród mnogości składników było niezłym wyczynem, ale zrobienie tego z zamkniętymi oczami zakrawało na cud.

– Rzeczywiście, tofu – mruknęła, poirytowana przebiegiem konkursu. Mogłaby się obrazić, gdyby nie to, że była jego pomysłodawczynią. „Zachowujesz się jak nastolatka”, upomniała się w myślach i postanowiła się zrelaksować. W końcu to była tylko zabawa. – Kiedy nikt nie widzi, oglądam klasykę wyciskaczy łez: Przemięło z wiatrem, Casablanke, Titanica i Pamiętnik. A kiedy ktoś patrzy, to komedie romantyczne. Uwaga, następny widelec.

Tym razem nie było łatwo. Zmniejszała się liczba możliwych kombinacji składników. Miał już pomysł, jaki rodzaj sałatki je, jednak informacje, które podsuwała Anna, skutecznie rozpraszały jego myśli. Odseparował jeden z twardszych kawałków, połknął całą resztę, by następnie go rozgryźć. Był chrupiący i lekko słodki. To musiał być orzech. I bez wątplenia już go jadł. Wieki temu, w upalne, ociekające cachaça, rumem i potem lato w Brazylii.

– Nerkowiec. Prażony. – Uśmiechnął się pod nosem na wspomnienie szaleństw w São

Paulo. – I pomidorki koktajlowe, ale są zbyt oczywiste, by liczyć za nie punkt. A więc?

– Jestem niepoprawną romantyczką – wypaliła kobieta i od razu pożałowała. To było dziwne uczucie. Jednocześnie chciała i nie chciała mu o tym mówić. Zawstydzona czuła, jak się czerwieni. Całe szczęście Adam tego nie widział.

Coś uderzyło o dach. Wiatr wzmagął się, napierając na domek ze wszystkich stron. Dmuchała nawet do komina, rozsypując za hartowanym szkłem kaskadę iskier.

– Adam, muszę jechać. – Ściągnęła mu apaszkę i niepewnie spojrzała za okno.

Chwilę trwało, zanim jego oczy przyzwyczyły się do blasku rzucanego przez igrające w kominku płomienie. Za oknami było już ciemno. Poczuł rozczarowanie na myśl, że zaraz zostanie sam. A mógł się jeszcze tyle dowiedzieć... Właśnie rozpracował dressing. Był smaczny, ale banalny: oliwa zmieszana z sokiem z cytryny, może z odrobiną musztardy, nie był tylko pewien jakiej. Dijon? Całość stanowiła niezłą kompozycję, choć brakowało jej wykończenia. Neutralne tofu przełamałby marynatą z sosu Worcester, czosnku i mocno zgrillował. Na koniec dorzuciłby odrobinę mięty. Szczegóły, ale jakże istotne.

– Nie słuchałeś, co mówiłam, prawda? – Anna spojrzała na niego zaniepokojona.

– Nie, przepraszam. Zamyśliłem się.

– Jutro mnie nie będzie. Filip przyjeżdża do mnie, umówiliśmy się na obiad. – Odstawiła puste pojemniki po sałatkach do kuchni.

– Na pewno chcesz jechać w tę wichurę? – Wskazał głową okno.

– Zdążę, zanim rozpęta się na dobre. – Anna zarzuciła na siebie kurtkę i owinęła szyję apaszką. – Przyjadę w poniedziałek. Do zobaczenia. – Poczuli się trochę niezręcznie. Bo co, mają sobie teraz podać rękę? Przytulić się? Czy może powinna odejść bez słowa?

Adam jednak uśmiechnął się ciepło, tak jakby odczytał jej myśli. Odpowiedziała uśmiechem, czując łączące ich niewerbalne porozumienie.

Nacisnęła klamkę i zaraz pożałowała. Wiatr wepchnął drzwi do środka tak, że huknęły o ścianę. Może Adam miał rację, może powinna zostać? Przecież na górze była wolna sypialnia. Ale ta myśl wywołała w niej niepokój, a poza tym chciała przygotować się do spotkania z Filipem. Jeszcze miała szansę, by zdążyć z upieczeniem mięsa i brownie. Zarzuciła na głowę kaptur kurtki przeciwdeszczowej i ruszyła w ciemność. Po chwili zapaliła się zewnętrzna lampa sterowana przez czujnik ruchu, oświetlając drogę w odległości kilkunastu metrów. Anna zakłęła pod nosem, gdy wiatr rzucił ją na samochód. Porywiste podmuchy szarpały jej kapturem, niemal doszczętnie ją ogłuszając. Chwyliła za klamkę i próbowała otworzyć drzwi samochodu. Spojrzała po raz ostatni w stronę mężczyzny i pomachała. Pomimo paskudnej pogody starała się, by ten gest wypadł naturalnie i wesoło.

Adam stał przed domem i obserwował, jak Anna mocije się z wiatrem. Naprawdę sądził, że powinna zostać tu na noc, choćby miał przez to nocować w składziku na narzędzia. Z tego, co mówiła, wywnioskował jednak, że niedawno odzyskała niezależność, i nie chciał teraz pozbawiać jej możliwości wyboru.

Nagle kątem oka wychwycił ruch na sąsiedniej posesji. Coś dużego i ciemnego oderwało się od ziemi i poszybowało w stronę złotego mini.

– Ania, uważaj! Za tobą! – krzyknął, ale wicher zagłuszył jego słowa i wepchnął je z powrotem do ust.

Bez zastanowienia ruszył w kierunku niczego nieświadomej kobiety. W połowie drogi rozpoznał niezabezpieczoną trampolinę podniesioną podmuchem porywistego wiatru, która koziółkowała, odbijając się od trawy niczym kauczukowa piłeczka. Z olbrzymią prędkością zbliżała się do samochodu i stojącej obok Ani. Adam przestraszył się, że nie zdąży. Dodatkowo trudno mu było przewidzieć, w jakim kierunku odbije się teraz trampolina. Doskoczył do Anny

i przyciągnął ją do siebie, osłaniając plecami od wirującej konstrukcji złożonej z poskręcane go metalu i siatki. Zamknął oczy, spodziewając się druzgocącego kręgosłup uderzenia, ale zamiast tego usłyszał huk. Rozpędzona trampolina grzmotnęła w karoserię samochodu, pozostawiając głębokie wgniecenie na nadkolu i masce, po czym zniknęła w ciemności za ogrodzeniem. Wszystko trwało może dwie sekundy.

– O Boże! – Anna zakryła ręką usta. Przez długą chwilę jej umysł starał się przyswoić to, co zaszło w ciągu kilku ostatnich uderzeń serca. – Dziękuję! – Zarzuciła mężczyźnie ramiona na szyję i przywarła do niego mocno. Czuła bijące od Adama ciepło i ledwo wyczuwalny już zapach kosmetyków.

Objął ją delikatnie, jakby z obawą, czy powinien. Trwali w uścisku jakiś czas, szarpani wiatrem.

– Nigdzie nie jedziesz – rzucił w końcu Adam, wyzwalając się z uścisku, i pociągnął ją za rękę w kierunku domku. – Choćbym miał spać na dworze.

– Wiesz, że nie o to chodzi – powiedziała z wyrzutem Anna, kiedy już zamknęli za sobą drzwi. Wewnątrz panowały spokój i błoga cisza. – Tak się cieszyłam na spotkanie z Filipem. Obiecałam mu ulubiony obiad i deser, ale tym razem będzie musiała mu wystarczyć jedynie obecność matki. Mam nadzieję, że do jutra ta cała Sybilla sobie pójdzie...

Napięcie zaczęło z nich opadać dopiero, gdy rozsiedli się na wygodnej kanapie. W kominku trzaskało dorzucone przez Adama drewno. Po zamknięciu solidnych okiennic w domku zrobiło się bardzo przytulnie, choć wiatr i deszcz nadal napierały na ściany i dach. Gdzieś w oddali przetoczył się grzmot.

– Jak idzie sprzedaż domku? – zapytał mężczyzna, nalewając czerwone wino do kieliszków. – Jest zainteresowanie?

– Nie ma. Bo nie wystawiłam go. Ostatnio nie mam głowy do takich rzeczy – przyznała Anna, choć był jeszcze jeden powód, którego właściwie do siebie nie dopuszczała. – Za dużo się dzieje, w życiu prywatnym, w pracy.

– Wspominałaś, że pracujesz w banku. Lubisz tę pracę?

– Niespecjalnie. Ale to i tak postęp, na początku jej nienawidziłam. – Kobieta sięgnęła po warkocz i przygryzła go w zamyśleniu. – Eryk reprezentował dyrektora centrali tego banku jako adwokat i po zakończeniu sprawy załatwił mi tę pracę. Przeszłam szkolenie i objęłam stanowisko szumnie nazwane asystent menedżera produktu. Przez pierwszy rok głównie parzyłam dyrektorowi kawę i obserwowałam pracę marketingowców. Eryk był zadowolony, bo mógł się pochwalić żoną pracującą w godnej instytucji. Oczywiście przy każdej okazji nie omieszkiał przypominać mi, że to dzięki niemu mam tę pracę. Chciałam utrzyć mu nosa, więc zaczęłam się doksztalcać, skończyłam zaocznie marketing i po kilku latach awansowałam na kierownika do spraw produktu. Nie jest to praca moich marzeń, choć zarobków pewnie wiele osób mogłoby mi pozazdrościć.

– To dlaczego nie zmieniłaś pracy? – Spojrzał na nią przenikliwie.

– Sama nie wiem. – Wzruszyła ramionami i upiła spory łyk wina. – Teraz myślę, że podświadomie bałam się, że Eryk kiedyś zostawi mnie na lodzie. Odkładałam więc to, co się dało, na czarną godzinę. Dopiero niedawno uświadomiłam sobie, że całe moje życie jest taką czarną godziną. Zmarnowałam dwadzieścia lat, tkwiąc przy mężu, który mnie nie szanuje, który nie kocha ani mnie, ani naszego syna. Byłam głupia, że zdecydowałam się na rozwód dopiero, kiedy dorósł. Gdyby Filip wychowywał się z dala od Eryka, może byłby inny. A ja może odważyłabym się na zmianę pracy... – westchnęła.

– Wydaje mi się, że byłabyś świetnym psychologiem. Dlaczego twój mąż tak się uparł, aby do tego nie dopuścić?

– Cóż, dla niego wartościowe są tylko zawody, które dają pieniądze i prestiż. Długo dusił to w sobie, dopiero po ślubie otwarcie powiedział mi, że psycholog to zawód dla wszystkich, którzy nie potrafią robić nic innego poza czczym gadaniem. Jego zdaniem to praca z „beznadziejnie bezużytecznymi przypadkami”. W ten sposób Eryk określa niepełnosprawnych, osoby z autyzmem, niewidomych, niesłyszących i innych. Wszystkich tych, którzy mają pod górkę w życiu...

– ...takich jak ja – dokończył za nią Adam.

Była zaskoczona. Domyślił się zapewne w momencie, gdy ona się zawahała.

– Zdziwiłbyś się, jak wielu w ten sposób wyklucza. Dla niego to nie są pełnowartościowi ludzie. Kiedyś podzielił się ze mną swoją teorią na temat „bazy części zamiennych dla normalnych ludzi”. Jeśli trafił w telewizji na reportaż o osobach niepełnosprawnych, zwykle w ciągu pierwszej minuty padał komentarz „na organy i spokój z debilem”. Aż wstyd mi o tym opowiadać...

– Brzmi, jakby uciekł z psychiatrika. – Adam uzupełnił opróżnione kieliszki.

– Wiem, choć może teraz wszystko wyolbrzymiam. – Potarła twarz dłońmi. Kogo ona próbowała okłamać? Siebie nie mogła, Adama nie musiała. – Jeszcze na studiach byłam towarzyska i otaczałam się wieloma ludźmi. W pewnym momencie wokół mnie szybko zaczęło ubywać przyjaciół i znajomych. Dopiero później dostrzegłam, że to za sprawą Eryka. Zawsze potrafił powiedzieć coś takiego, co odpychało od nas ludzi. Zresztą wspominałam ci. Na przykład podczas zbiórki na dom dziecka powiedział, że nie będzie sponsorował dzieciorobów i ich patologicznych bachorów. Innym razem zapytał moich przyjaciół z Kaszub – uczciwych, ale niezamożnych ludzi – czy nie boją się, że kiedyś nie zostaną wpuszczeni do Gdańska swoim starym, dymiącym dieslem. Takich historii mogłabym przytaczać setki. W końcu zostałam sama, nie licząc Ali, która wytrwała przy mnie. Przestaliśmy spotykać się z ludźmi, nie przyjmowaliśmy gości z wyjątkiem najbliższej rodziny. A nawet to się zmieniło. Któregoś razu Eryk pokłócił się z moim tatą. Wypił za dużo podczas swoich urodzin i zaczął przechwalać się swoimi sukcesami zawodowymi. W końcu tato nie wytrzymał i powiedział mu, że musi nabrać jeszcze wiele pokory, zanim cokolwiek osiągnie. I że na razie głównie jedzie na nazwisku ojca. Tego Eryk nie mógł znieść. Powiedział jedno zdanie za dużo. Moi rodzice więcej do nas nie przyszli. To ja jeździłam z Filipem do nich albo tutaj, do Jantaru. A teraz boję się, że Filip stanie się taki sam... – Ostatnie słowa niemal utknęły jej w gardle. Poczula, jak łzy napływają jej do oczu. Musiała zmienić temat. – Opowiesz mi o swoich podróżach?

– A o czym tu gadać? – Adam wzruszył ramionami i zaczął nerwowo obracać kieliszek w dłoni. Niebo rozjaśniła kolejna błyskawica, której światło przedarło się przez szpary w okiennicach. Chwilę później huknęło, aż oboje drgnęli. Piorun musiał uderzyć całkiem niedaleko.

– Zajrzałam do twojego paszportu. – Anna popatrzyła na niego zawstydzona. Trochę obawiała się jego reakcji, ale wolała, by wiedział. Jeśli to go zirytowało lub zezłościło, nie dał po sobie poznać. – Zwiedziłaś kawał świata. Masz jakieś ulubione miejsce?

– To zależy, co brać pod uwagę. – Zamyślił się na dłuższą chwilę. – Nie przywiązuję się do miejsc, ale dobrze zapamiętuję smaki, zapachy i ludzi. Pamiętam uliczne jedzenie w Bangkoku. Miasto żyje nawet nocą, jest pełne egzotycznych zapachów, rozkrzyczanych ludzi i jedzenia, które albo pokochasz, albo znieawidzisz. Uwielbiałem plażę na wyspie San Andrés należącej do Kolumbii, o delikatnym jedwabistym piasku i lazururowej wodzie. Do dziś pamiętam smak i aromat tamtejszej kawy, ale – i tu się pewnie zdziwisz – niesamowitej herbaty, z której słynie wyspa. Godzinami obserwowałam mieszkańców, rybaków popijających herbatę albo rum przed swoimi kolorowymi domami, gospodynie wystawiające na parapet ciasto do ostygnięcia.

Siedziałem i myślałem, jak wielką loterią jest wybór miejsca, w którym się urodzisz. Zazdrościłem im prostego żywota w raju na ziemi.

– Rozmarzyłam się, gdy opowiadałeś o tych plażach. – Anna przeciągnęła się i ziewnęła. – Chętnie bym się zamieniła. – Wskazała z uśmiechem na okno zamknięte okiennicą.

– Więc zrób to. Zawsze możesz tu przecież wrócić.

– Jestem spontaniczna, ale nie aż tak. Aczkolwiek to jest jakaś myśl. Gdy tylko uporządkuję swoje sprawy, zafunduję sobie porządne wakacje. Zabiorę gdzieś Filipa, jemu też przyda się odskocznia od codzienności. Poczekam tylko, aż zda maturę. Do tego czasu będzie to moja karta przetargowa. A ty masz jakąś rodzinę? – Udała, że pyta od niechcienia, choć myślała o tym od wielu dni.

– Miałem. Kiedyś. – Adam dopił resztę wina i podniósł się z kanapy, by dołożyć drewna do kominka. Długo wpatrywał się w płomień obejmujące nowe polana.

– I co, nie powiesz nic więcej? Adam, do cholery, nie traktuj mnie jak wroga! – fuknęła i zaraz tego pożałowała.

Zapadło milczenie, które zdawało się trwać wieki. Przerzywały je tylko coraz częstsze grzmoty. Burza zdawała się osiągać apogeum. Oboje zatopili się w swoich myślach. Annę trapiło poczucie winy, że zaczęła ciągnąć drażliwy temat. Nie chciała, aby Adam się na nią gniewał, ale nie miała śmiałości, by rozpocząć rozmowę. Obcowanie ze spokojnym, stonowanym mężczyzną było dla niej nowym doświadczeniem. Eryk, gdy coś go dotknęło, potrafił być naprawdę niemily i nie przebierał w słowach. Wybuchał, plując wulgaryzmami niczym wulkan. Tymczasem Adam stanowił jego przeciwieństwo. Może była to wina słabego światła, ale wydawało jej się, że oczy zatopionego w myślach mężczyzny pociemniały.

Stabilny nastrój Adama, starannie pielęgnowany i wspomagany lekami przez ostatnie dni, prysł jak bańka mydlana. Mężczyzna zapadał się coraz głębiej we wspomnienia. Nieważne, jak bardzo pragnął zamknąć je w szufladzie opisanej jako „przeszłość” i pozbyć się do niej klucza. Był jak rozkołysany żaglowiec, w którego wnętrzu niezabezpieczona szuflada kredensu otwierała się i zamykała przy każdym przechyle. Sztorm zwany życiem miotał nim jak zabawką. Adam rozpaczliwie chciał znaleźć wreszcie spokojny port, ale wspomnienia ścisnęły mu gardło, a milczenie zdawało się nie mieć końca.

Tego wieczoru żadne z nich już się nie odezwało, choć w ich głowach kłębiły się setki myśli.

Adam zapadł w krótką drzemkę, a gdy się ocknął, w świetle dogasającego kominka zobaczył spokojną twarz śpiącej Ani. Skuliła się w narożniku kanapy, przytulając policzek do szorstkiej poduszki. Znał tę pozycję aż za dobrze. Nieraz przespał w niej kilka godzin w dworcowej poczekalni, dopóki nie wygoniła go obsługa. Podkurczone nogi szybko cierpły. Jeśli Ania spędzi noc w takiej pozycji, w najlepszym wypadku rano będzie obolała.

Powoli się podniósł, uważając, by nie obudzić kobiety. Przez dłuższą chwilę stał w zamyśleniu, starając się oszacować siły. Była drobna i szczupła, miała figurę nastolatki, więc podniesienie jej raczej nie będzie stanowiło wielkiego problemu. Gorzej mogło być z wniesieniem po wąskich schodach, zakręcających w połowie o dziewięćdziesiąt stopni. Oparzone kwasem przedramię zagoiło się już na tyle, że nie powinien go urazić, o ile nie będzie wykonywał gwałtownych ruchów. Wsunął jedną rękę pod zgięcie jej kolan, a drugą pod plecy i podniósł Annę. Poczul bijące od niej gorąco, gdy oparła się o jego tors. Odetchnął z ulgą, że przeszacował ciężar. Była lżejsza, niż się spodziewał. Musiała głęboko spać, bowiem jej głowa bezwiednie opadła na jego bark. Miał nawet wrażenie, że wtuliła się w niego, ale równie dobrze mogła mu to podsunąć wyobraźnia. Wnosząc ją po wąskich schodach, czuł, jak jej spokojny oddech łaskocze go w kark. Zawstydził się przed samym sobą, że to uczucie sprawiło mu

przyjemność. Ułożył ją na szerokim małżeńskim łożu i przykrył kocem. Schodząc, rozmyślał nad znakiem, jaki otrzymał od własnego ciała. Znakiem, którego nie mógł zignorować, niezależnym od jego woli. Po raz pierwszy od wielu lat miał erekcję. Bardzo go krępowała, mimo że tylko on był jej świadkiem.



## Rozdział 7

– Cholera jasna... – klęła po cichu Anna, podskakując w sieni na jednej nodze. Adam nadal spał i bardzo nie chciała go obudzić. Cholerne sznurowadło złośliwie splątało się w supeł. Jeśli chciała zdążyć na spotkanie z Filipem i przygotować coś dla syna, musiała dotrzeć do Gdańska lotem błyskawicy.

Obudziła się zdezorientowana. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że patrzy na ukośny sufit w sypialni na górze. Odblokowała smartfona, którego przezornie wyciszyła poprzedniego wieczoru. Kilka nieodebranych połączeń i esemesów było niczym w porównaniu z widniejącą na wyświetlaczu godziną. Trzy minuty do jedenastej. Zaklęła siarczyście, nie po raz ostatni tego dnia, i wyskoczyła z łóżka. Na szczęście nie musiała się ubierać. Nabazgrała kilka słów na kartce, którą pozostawiła w widocznym miejscu. Adam powinien ją zobaczyć, gdy tylko ruszy się z kanapy. Chwyciła kluczyki do samochodu i kurtkę, nie trując się z jej zakładaniem. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na przykrytego kocem mężczyznę, wybiegła na dwór.

Sybilla zgodnie z prognozami odeszła, pozostawiając po sobie przyrodniczo-budowlany rozgardiasz. W świetle dnia uszkodzenie samochodu wyglądało znacznie poważniej niż w nocy. Wgnieciona maska i zdarty lakier rzucały się w oczy niczym paskudna blizna na twarzy modelki. Po szybkich oględzinach Anna stwierdziła, że auto nadaje się do jazdy. Nie ryzykowała zatrzymania przez policję i utraty dowodu rejestracyjnego. Jednak prawdziwy obraz zniszczeń zobaczyła dopiero, mknąc drogą w kierunku Gdańska. Na jezdni leżały połamane gałęzie, dwa lub trzy razy mijała grube konary, pocięte już przez strażaków i starannie usunięte na pobocze. Gdzieś widziała zerwany dach stodoły lub przewrócony billboard. Biorąc pod uwagę rozmiar poczynionych zniszczeń, musiała przyznać, że z domkiem w Jantarze Sybilla obeszła się wyjątkowo łagodnie.

Stojąc w korku spowodowanym ruchem wahadłowym, który wynikał z konieczności usunięcia powalonego drzewa z krajowej siódemki, Anna rozmyślała o wydarzeniach ostatniej nocy. Miała wyrzuty sumienia, że przesadziła z wypytywaniem Adama. Najwyraźniej nie był na to gotowy. O ile grzebanie w jego dokumentach nie zrobiło na nim wrażenia, o tyle pytanie o rodzinę wbiło go w kanapę. Jego twarz przybrała taki wyraz, jakby w ciągu sekundy postarzał się o kilkanaście lat. Ostatnie, co pamiętała, to ciągnące się w nieskończoność milczenie, którego żadne z nich nie chciało lub nie mogło przerwać. Zasnęła ukołyszana ciepłem kominka i winem, którego wypijała zbyt wiele. Musiała opróżnić trzy czwarte butelki. Adam ze względu na przyjmowane leki pił niewiele. Sączył wino małymi łydkami, podczas gdy ona piła zdecydowanie zbyt szybko i zbyt wiele. Gdzieś głęboko tkwiło w niej wspomnienie czy też wrażenie wnoszenia na górę. Ten kołyszący ruch przypominał jej czasy, kiedy zasypiała przed kominkiem, a budziła się w sypialni. Tyle że wtedy tajemniczym sprawcą tego ruchu był jej ojciec.

Musiała przyznać, że gdyby nie jej wścibstwo, byłby to całkiem udany wieczór. Wieczór pełen przygód. Buntował się jedynie jej rozum. Przez chwilę wyrzucała sobie, że znalazła się w potencjalnie niebezpiecznej sytuacji. Szybko jednak zrationalizowała podjęte ryzyko, tłumacząc sobie, że skoro Adam w żaden sposób nie skorzystał z nadarzającej się okazji, musi być uczciwym, niemającym złych zamiarów człowiekiem. Nie wspominając o tym, że uratował jej życie, narażając swoje. Chociaż prawdę mówiąc, nie miałyby nic przeciwko, gdyby postanowił wykorzystać sposobność. Może nie wtedy, gdy była już upojona winem i senna, ale wcześniej... Cóż, w ostatnim czasie zaskakiwała samą siebie łatwością, z jaką zrywała z konwenansami. Z Erykiem nie uprawiała seksu od kilku miesięcy. Oddalili się od siebie na

długo przed jej wyprowadzką, ale pogorszyło się między nimi już wcześniej. Po pijanemu w Eryka wstępował diabeł. Nigdy nie był szczególnie czułym kochankiem, ale ostatnie kilka zbliżeń wręcz ocierało się o praktyki sadomasochistyczne. Było jeszcze coś, o czym Anna starała się nie myśleć, choć ziarno wątpliwości zostało posiane i powoli kiełkowało.

– Ty myślisz, że po co on otacza się takim luksusem? – wypaliła Alicja, gdy Eryk z piskiem opon odjechał spod domu.

Spędzał weekend na jachcie, a to, że jego żona cierpiała na chorobę morską, wyraźnie mu odpowiadało. Anna uwielbiała morze i nie mogłaby mieszkać nigdzie indziej, ale paradoksalnie samo postawienie nogi na jachcie lub chyboliwym pomoście wprawiało jej żołądek w ruch. Eryk nie wydawał się tym rozczarowany i absolutnie nie zamierzał rezygnować z rejsu. Dzięki temu przyjaciółki mogły spędzić ze sobą więcej czasu.

– Bo jest próżny? – Anna wzruszyła ramionami. Zawsze taki był. Nawet wtedy, kiedy było ich stać jedynie na używanego opla, którego notabene uwielbiała. Poprawka – ją było stać. Eryk od zawsze mógł korzystać z pieniędzy ojca. Właśnie ojca. W jego rodzinie kobiety się nie liczyły. Teściowa Anny została zepchnięta do roli bezwolnej ozdoby, niemal bez prawa głosu, i Eryk najwyraźniej próbował zrobić to samo ze swoją żoną. – Żeby popisać się przed współnikami?

– Jaaaasne... – Przyjaciółka uśmiechnęła się znacząco. – Anka, nie chcę ci nic sugerować. Może nawet oczerniam w tej chwili zacnego, przyzwoitego człowieka. – Puściła jej oczko. – Ale nie sądzę, żeby te wszystkie spotkania ze współnikami odbywały się tylko w męskim gronie. To nie jest typ harcerza czy wędkarza, który znika na całe dni z kumplami, oddając się bez reszty swojemu hobby.

– Kiedyś... – Anna zawahała się i przełknęła ślinę. Alicji mogła przecież wszystko powiedzieć. – Kiedyś miałam podejrzenie, że ma kogoś na boku. Gdy mu to oznajmiłam, wyśmiał mnie. Od tego czasu uważniej mu się przyglądałam, ale moje podejrzenia się nie potwierdziły.

– To o niczym nie świadczy. Po prostu stał się ostrożniejszy. Wiesz, jakim jest perfekcjonistą. Ja naprawdę nie chcę nic sugerować, tylko że przykładni ojcowie i mężowie tak się nie zachowują. I nie patrzą na kobiety wzrokiem geparda, w którego rewir zabłąkała się młoda antylopa.

Wiedziała, o czym mówi Alicja. Kilka razy dostrzegła pożądlivy wzrok Eryka skierowany w stronę innych kobiet. Zdawała sobie sprawę, jak czasami mężczyźni spoglądają na kobiety. Sama bezbłędnie wyłapywała spojrzenia w dekolt, o których faceci sądzili, że są niewidzialne. Niezależnie od tego, jak bardzo Ala irytowała Eryka, niezaprzeczalnie również go pociągała. W tych rzadkich chwilach, kiedy sobie nie dogryzali, puszył się przed nią jak paw. Owszem, był facetem i Ania w pełni akceptowała to, że tego typu zachowania były wpisane w męskie DNA. Ale porównanie Eryka do głodnego geparda było strzałem w dziesiątkę. Szkoda tylko, że już od wielu lat nie patrzył na nią takim wzrokiem. Teraz jednak nie miało to już najmniejszego znaczenia. Zatopiona w niewesołych myślach dojechała do celu.

\* \* \*

Adam obudził się rześki i wypoczęty. Drewno w kominku już dawno się wypaliło, ale piaskowiec, którym obudowano żeliwny wkład, nadal oddawał przyjemne ciepło. Nie wiedział, która może być godzina – okiennice były szczelnie zamknięte, choć w niewielkich szparach pomiędzy zawiasami a skrzydłem widział fragmenty nieba. Owinął się kocem, włożył stojące w sieni kalosze i wyszedł na rześkie powietrze. Otworzył wszystkie okiennice, ciesząc się spokojnym porankiem. Dopiero gdy powrócił do środka, zauważył, że zegar ścienny wskazuje

kwadrans po południu. A więc dlatego czuł się taki wypoczęty. Spał dwanaście godzin, może trochę mniej. Na kartkę od Anny natknął się, gdy poszedł do kuchni zaparzyć kawę.

Adasiu, dziękuję, że zadbałeś o mój wypoczynek :) Przepraszam, jeśli uraziłam Cię podczas wczorajszej rozmowy. Czasami mam wrażenie, że znamy się wieki, a czasami, że nie znam Cię w ogóle. I to chyba był właśnie taki moment. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Przyjadę za dwa, góra trzy dni. Pędzę, bo jestem spóźniona. Ściskam! A.

Przeczytał liścik kilka razy i odłożył skrawek papieru na blat. Zaparzył mocną czarną kawę, jaką lubił. W tych warunkach o kolumbijskim espresso mógł tylko pomarzyć, ale i tak była o niebo lepsza od kaw, które zdarzało mu się pić w ostatnich latach. Odsunął krzesło i usiadł, wpatrując się w potargany wiatrem krajobraz za oknem. Oparł łokieć na sąsiednim krześle, przechylając je na tylnych nogach, i zamarł. Na siedzisku leżała torba Ani. Musiała o niej zapomnieć w pośpiechu. Sięgnął po nią, zastanawiając się, czy powinien zajrzeć. Zajrzał. W środku oprócz paru damskich drobiazgów znalazł czerwony portfel i przezroczyste etui z dokumentami do auta. Po raz pierwszy od dawna pożałował, że nie ma telefonu. Był jednak sposób, żeby choć w minimalnym stopniu odwdziżyć się Ani za okazaną mu dobroć.

W ciągu kwadransa umył się i ubrał, po czym opuścił domek. Błotnistą drogą noszącą ślady pospiesznego wyjazdu Anny dotarł do miejscowości. Po kilku poprzednich spacerach wiedział już, gdzie znajduje się przystanek PKS. Rozkład niedzielnych kursów nie napawał jednak optymizmem. Najbliższy autobus przyjeżdżał o czternastej czterdzieści, a więc prawie za dwie godziny. Adam postanowił wykorzystać ten czas na spacer po plaży. Wody zatoki, choć nadal wzburzone i grzmiące, były spokojniejsze niż w ciągu ostatnich dni. Brzeg zdobiły wyrzucone przez morze skarby.

Nagle usłyszał przed sobą krzyk.

– Śmierdziad!

Adam skulił się odruchowo.

– Śmierdzi! – powtórzyło dziecko oglądające z rodzicami wyrzuconą na brzeg martwą fokę.

Odetchnął z ulgą, że przesłyszał się za pierwszym razem, choć karuzela wspomnień ożyła wbrew jego woli.

Śmierdziad – tak ochrzciły go dzieciaki z Ursynowa, na którym spędził kilka lat, przegrzebując osiedlowe śmietniki. Z czasem podłapali to inni mieszkańcy. To wtedy zdał sobie sprawę, że ludzie przestają w nim widzieć człowieka, a zaczynają spoglądać jak na brudnego, śmierdzącego szkodnika.

Wyniósł się z Ursynowa, kiedy okoliczna młodzież zaczęła mu dokuczać. Pół biedy, kiedy rzucali w niego zgniłymi jabłkami z pobliskiego warzywniaka, pozostawionymi do wywozu. Brak sprzeciwu dorosłych dla tego typu zachowań stanowił dla nich nieme przyzwolenie. Skończyło się na biciu i oblewaniu wodą podczas mroźnych dni. Porzucił ulubioną wiatę śmietnikową, kiedy podpalili mu ubranie. Na szczęście zdążył zdjąć z siebie filcowy płaszcz. Tego samego dnia wyniósł się z Warszawy, zasmradzając połowę komfortowego składu pendolino. Do Gdańska dotarł dopiero trzecim pociągiem.

\* \* \*

– Mamo, ciasto pachnie już na klatce! – powiedział entuzjastycznie Filip, wręczając jej niewielki bukiecik. Chciała zmierzić jego bujną czuprynę, ale powstrzymała się, uznając, że wiele trudu musiało go kosztować jej ułożenie.

– Ledwo z nim zdążyłam przez tę przeklętą pogodę. Opowiadaj, co u ciebie?

– W porzo, jakoś leci – powiedział, ściągając wilgotną od mżawki kurtkę.

Gdy tylko zdjął buty, pociągnęła go do kuchni. Mieszkanie dziadków znał równie dobrze jak ona. Wychowywał się w nim we wczesnym dzieciństwie, nawiązał pierwsze przyjaźnie na przylegającym do bloku placu zabaw. Zza stołu ustawionego pod kuchennym oknem rozciągał się rozległy widok na ruchliwą ulicę Bulońską i trawiasty plac, na którym czasami rozkładało się wesołe miasteczko. Filip doskonale pamiętał smak waty cukrowej, sprzedawanej przez zarośniętego faceta w brudnym fartuchu. Anna wiedziała, że dziadkowie nie zabraniali wnukowi próbowania rzeczy, na których widok niejeden rodzic wzdrygnąłby się z obrzydzeniem. Byli przekonani, że dziecko powinno zbierać różne doświadczenia, by później już jako dorosły człowiek wyrobić sobie własne poglądy. Dopiero po latach zdała sobie sprawę, że dokładnie tak samo wychowywali ją.

Posadziła syna przy stole, nakładając mu solidną porcję brownie. Zdjęła z palnika niewielki rondel wypełniony sosem waniliowym, którym polać parujący czekoladowy wypiek.

– Mmmm – zamruczał Filip z pełnymi ustami i zamknął oczy, zachwycając się intensywnie czekoladowym smakiem, podkreślonym aromatem sosu na bazie naturalnej wanilii.

Zawsze zamykał oczy przy pierwszym kęsie. Anna wiedziała, że im dłużej ich nie otwiera, tym bardziej rozkoszuje się smakami i aromatami. Gdy w końcu na nią spojrzął, w jego oczach był ten zawadiacki błysk, który tak często widywała, kiedy był chłopcem.

– Masz chyba jakiś czarodziejski składnik, że za każdym razem tak cudnie smakuje, prawda?

– Pewnie, że mam. – Mrugnęła do niego znacząco. Tajnymi składnikami jej przepisu były cukier Muscovado i laska wanilii, ale chodziło o coś więcej. Czekoladowe brownie stanowiło ich rytuał, łączyło ich w dobrych i złych chwilach. Nie musiała pytać syna o herbatę. Przygotowała mu czarną, z odrobiną mleka. Dokładnie taką, jaką pijał jej ojciec, ubolewający, że Anna nie podziela jego fascynacji bawarką. – Sybilla dała ci się we znaki?

– Tylko trochę. Chcieliśmy pojechać z Mikołajem do Sopotu, ale jak się dowiedzieliśmy, że połamane gałęzie pozrywały przewody trakcyjne i kolejka jeździ nieregularnie, to daliśmy spokój. Zresztą w taką zawieruchę knajpy w Sopocie pewnie pękały w szwach. A ty co porabiałas?

– Wczoraj byłam z Alą na fitnessie, potem miałam trochę spraw... do pozalutowania.

– Widziałas się z ojcem? Wrócił wczoraj wkurwiony na całego. Dawno go takiego nie widziałem. Chciał się do mnie przyczepić, ale szybko zmyłem się z chaty.

– Widziałam go tylko przez chwilę. Oczywiście nie obyło się bez awantury. – Spojrzała na syna uważnie. Była przeciwna temu, aby wciągać dzieci w sprawy dorosłych. Tylko że Filip od dawna nie był już dzieckiem. De facto przestał nim być na długo przedtem, zanim osiągnął pełnoletność. Przy takim ojcu jak Eryk musiał dorosnąć bardzo szybko.

Gdy tylko Anna odłożyła łyżeczkę na spodek, syn ujął ją za rękę.

– Mamo... On wygadywał jakieś straszne rzeczy o tobie.

– Oboje dobrze wiemy, że źle znosi rozwód. Poza tym jest... sobą.

– Mhm. – Chłopak pokiwał głową w zamyśleniu. – Ale ja go trochę rozumiem. On wie, że nie znajdzie już takiej cudownej kobiety jak ty. Myślę, że dopiero teraz zaczął to doceniać. Może... Może dałabyś mu jeszcze jedną szansę?

– Nie, Filip. On się nie zmienia. Przez tyle lat dawałam mu kolejne szanse i czekałam na cud. Ojciec mnie nie kocha i nie potrzebuje żony. Potrzebuje kucharki, sprzątaczkę i ozdoby na bankiety. On to ma w genach i nic tego nie zmienia.

– Przecież wiesz, co przeszedł w dzieciństwie... – Głos chłopaka zadrżał z emocji.

Wiedziała. I wprawiło ją w zdumienie, że Filip również to wie. Dotychczas sądziła, że była jedyną osobą, której mąż zdradził rodzinne sekrety. O ile Eryk był surowy i wymagający,

o tyle jego ojca, mecenasa Emiliana Turskiego, trzeba było nazwać tyranem. Jediną uznaną przez szanowanego prawnika metodą wychowawczą był pas. Eryk otworzył się przed żoną kilkakrotnie, za każdym razem był tak pijany, że z trudem mogła zrozumieć, co do niej mówi. Z czasem zrozumiała wszystko. Dopiero wtedy pękała marmurowa fasada idealnej rodziny Turskich i wyłaniał się obraz tyranii, jaką swojej rodzinie fundował dystyngowany pan Emilian. Bo to, że zestarzał się z godnością, nie ulegało wątpliwości. Nawet teraz, gdy dobiegał siedemdziesiątki, zachował krzepki, zdrowy wygląd. Gęste siwe włosy nosił modnie uczesane, a dżentelmeński wąs był zawsze starannie przystrzyżony. Cóż, geny w rodzinie Turskich były mocne. Anna wiedziała, że ojciec wywoływał w jej mężu mieszaninę nabożnego uwielbienia i lęku. Z jednej strony był dla niego uosobieniem sukcesu – powszechnie szanowany zarówno w środowisku zawodowym, jak i sąsiedzkim, swobodnie obracający się wśród prominentnych urzędników z całego Trójmiasta, wielokrotnie cytowany w ogólnopolskich dziennikach i magazynach. Długo nie mogła uwierzyć, że za tą fasadą kryje się psychopata, który postanowił wyćwiczyć swojego syna tak, aby stał się człowiekiem sukcesu. Przejrzała na oczy dopiero podczas tej pamiętnej partii golfa.

– Ty idioto! – ryknął Emilian, odziany w białe polo i fioletowe spodenki, tworzące idealny komplet z butami do golfa. Podrzucił trzymany w ręku kij, chwytając za jego nasadę, i zdzielił Eryka w piszczel. Wyraźnie słyszała trzask, z jakim trzonek kija golfowego uderzył w kość. Poprawił zamach i huknął syna w bark. Eryk zawył z bólu i zwał się na ziemię. Annie, siedzącej wraz ze swoją teściową w zadaszonym wózku golfowym, wypadła z ust słomka, wprost do szklanki zmrożonego mojito.

– Przepraszam, ojcze – powiedział Eryk, zaciskając zęby z bólu. Tak właśnie musiał się do niego zwracać: ojcze. – Źle się ustawiłem do piłeczki.

– Spierdoliłeś chyba każde uderzenie w tej rundzie. – Ojciec wycelował w jego stronę koniec kija. – Jeśli potrzebujesz treningu, to idź do pierdolonej szkółki. – Rzucił sprzęt pod nogi Eryka.

– Emilku, nie denerwuj się tak. – Pani Turska ostrożnie podała mu biały ręcznik do otarcia potu z czerwonej twarzy. – Skoczy ci ciśnienie. On przecież nie jest takim wytrawnym golfistą jak ty. Ale ma jeszcze dużo czasu.

– Nie broń tego partacza. – Emilian rzucił ręcznik na siedzenie pojazdu, wsiadł za kierownicę i odjechał, pozostawiając oniemiałą trójkę na środku pola golfowego.

Długo trwało, zanim szanowany adwokat odsłonił przed Anną swoje oblicze. Z elokwentnego, eleganckiego starszego pana przeistoczył się w uszczypliwego i aroganckiego patriarchę dopiero, gdy Eryk poślubił Annę. Wtedy, gdy Emilian był już pewien, że stała się częścią rodziny, w której jak wiadomo, wszystko zostaje.

Jej mąż zwykle nie chciał rozmawiać o swojej relacji z ojcem i przez długi czas nie była dopuszczona do wstydlivej tajemnicy rodzinnej. Pamiętała pierwsze awantury małżeńskie, po których Eryk wychodził, trzaskając drzwiami, do najbliższego czynnego baru. Wracał do domu pijany w sztok. Kilka razy z płaczem opowiedział wtedy Annie o swoim dzieciństwie, gdy z masą siniaków i potłuczonymi kośćmi trafiał do szpitala w towarzystwie matki, niemal uciekając przed ojcem miotającym się po domu jak rozjuszony tygrys. Emilian Turski odyskiwał panowanie nad sobą, gdy Eryk z matką stali w drzwiach, czekając na taksówkę. Chwytał oboje za karki, przyciągał do siebie i cedził do ucha to, co mają powiedzieć w szpitalu. Eryk doskonale pamiętał jego przesiąknięty alkoholem oddech. Lekarzowi posłusznie opowiadali wersję wydarzeń przedstawioną im przez ojca. Szkoda tylko, że przez lata Eryk nie widział samego siebie przenoszącego na Filipa udręki, których doświadczył w dzieciństwie. Każde odrzucenie, odepchnięcie, zniewaga czy wyśmianie bolało chłopca bardziej niż niejedną raz

pasem.

– Nie wiedziałam, że ci powiedział. – Anna odwzajemniła uścisk ręki syna.

– Pokłóciliśmy się po tym, jak się wyprowadziłaś. Nawrzucał mi i chyba miał później wyrzuty sumienia.

– Pił? – Uniosła brew.

– No w sumie chyba trochę przesadził z alkoholem, ale dzięki temu rozwiązał mu się język. Pogadaliśmy wtedy jak ojciec z synem. – Chłopak spojrział na matkę brązowymi oczami. Były dokładnie takie jak jej.

– Filip... – zaczęła, choć nie wiedziała, w jaki sposób ugryźć ten temat, nie raniąc uczuć syna. – Wiem, że przez te lata nie było ci łatwo. Staralam się ciebie chronić, ale nie zawsze mi się udawało. Wiem, jak rozpaczliwie potrzebowałeś ojca, im byłeś starszy, tym bardziej. Ale on się nie zmieni.

– Co chcesz przez to powiedzieć, mamgo? – Głos miał spokojny, ale wiedziała, że dławi go żal.

– Kochanie, gdybym wiedziała, że chociaż jest dla ciebie dobrym ojcem, to pewnie nie odeszłabym od niego. Ale nie jest. I nie będzie. Moim największym błędem było trwanie przy nim przez te wszystkie lata. Przepraszam, że mówię ci to wprost, ale robię to, bo uważam, że dojrzałeś. Nie zmuszam cię, abys się do mnie przeprowadził, ale wiesz, że moje drzwi są dla ciebie zawsze otwarte.

– Wiem, dzięki. – Tylko na tyle był w stanie się zdobyć.

Po chwili milczenia zmienili temat, ale radosna atmosfera wyparowała bezpowrotnie. Widziała, jak na twarz syna wypływa ponury, smutny grymas. Znała go od lat i wiedziała, że tylko czas może go zmasać. Porozmawiali jeszcze trochę o niezobowiązujących rzeczach, po czym Filip pożegnał się, usprawiedliwiając się spotkaniem towarzyskim. Wiedziała, że to tylko pretekst, że rozmowa była dla niego zbyt trudna. Nie czuła żalu do syna, ale bolało ją, że tak ciągnie w stronę ojca – człowieka, który nigdy nie okazywał mu miłości.

– Uważaj na siebie. – Mocno go przytuliła. Nie pamiętała, kiedy ją przerósł. Teraz wydawało się, że wieki temu.

– Zawsze uważam, mamgo. Dzięki za wszystko. Będziemy w kontakcie. – Pocałował ją w policzek na pożegnanie i zniknął za drzwiami.

Zanim zdążyła posprzątać ze stołu, rozległ się dzwonek. „Oczywiście, zapomniał czegoś”, pomyślała. Odstawiła talerzyki na blat i pobiegła do drzwi. Otworzyła je szeroko i zamarła zaskoczona, widząc, kogo ma przed sobą.

\* \* \*

Gdańsk się zmienił. Adam zastanawiał się, czy nastąpiło to w ciągu ostatnich kilku lat, czy może w ciągu dekady z małym hakiem, odkąd był tu ostatni raz. Cała ta podróż wprawiła go w sentymentalny nastrój. Spodziewał się starego autosana, obsługującego linię z Krynicy Morskiej, a został zaskoczony nowoczesnym i komfortowym autokarem. Pasażerów było niewielu, toteż mógł sobie wybrać miejsce z dala od wzroku ciekawskich. Tylko kierowca obrzucił uważnym spojrzeniem jego gojącą się rękę, na której podał mu kilka monet. Nikogo nie interesowało, gdzie Adam usiadł. Przez ostatnich kilka lat było zupełnie inaczej. To taki paradoks – był uważnie obserwowany, mimo że nikt nie chciał go widzieć. Tylko raz ulitował się nad nim jakiś facet w pociągu. Widząc zasmarkanego Adama, podał mu paczkę chusteczek higienicznych, swoje kanapki i jakiś spray do nosa. Nieznajomy uśmiechnął się i wysiadł na następnej stacji. Adam do dziś pamiętał ten przyjazny uśmiech.

Usiadł prawie na końcu autokaru. Z okna podziwiał płaski jak patelnia krajobraz

widoczny wzdłuż krajowej siódemki. Aż po horyzont rozciągały się pola poprzecinane siecią kanałów, wzdłuż których rosły niewielkie, pochylające się ku wodzie wierzby. Gdy autokar jechał mostem przerzuconym przez Wisłę, Adam podziwiał odbicie gęstych, kłębiastych chmur w spokojnej tafli wody. A może tylko wydawała się spokojna z wysokości kilkudziesięciu metrów? Miarowe kołysanie przyprawiło go o senność. Dobrze znał to uczucie, jednak nie poddawał się mu, nauczony doświadczeniami ostatnich lat. Po mniej lub bardziej nieprzyjemnych przygodach, jakie spotkały go w środkach komunikacji, nauczył się spać z jednym okiem otwartym. To była pierwsza podróż, w trakcie której mógł spokojnie zasnąć, a jednak nie chciał tego robić. Chłonał krajobraz całym sobą, jakby był w tych stronach po raz pierwszy.

Dworzec PKS w Gdańsku nie zmienił się ani na jotę, co Adam uznał za interesującą odmianę. Samo miasto przeszło jednak sporą metamorfozę. Miał niemal fotograficzną pamięć do miejsc, toteż bez trudu odnajdywał nowe drogi, wiadukty, budynki. Pamiętał doskonale te, które chyliły się ku ruinie w czasach, gdy tu mieszkał, a teraz zostały pięknie odnowione i zagospodarowane. Podśledzał rozmowę siedzących przed nim pasażerów o nowo otwartym tunelu pod Martwą Wisłą – pierwszej przeprawie w Polsce biegnącej pod dnem rzeki. Żałował, że trasa autobusu nie wiedzie tamtędy. Wprawdzie gdy jeszcze mieszkał w Londynie, często korzystał z Blackwall Tunnel pod Tamizą, ale teraz z lekkim zdziwieniem odkrył w sobie chęć zobaczenia gdańskiej przeprawy.

W nie mniejsze zdumienie wprawiła go linia tramwajowa na Morenę. Wprawdzie plany jej wybudowania istniały od zawsze, ale brak funduszy zawsze przeszkadzał w ich realizacji. Siedząc w klimatyzowanym tramwaju, podziwiał widoki rozciągające się za oknem. Z przyjemnością patrzył na gładką nawierzchnię ulicy Rakoczego. Tramwaj minął centrum handlowe, po chwili wspiął się na morenowe wzgórze, na którym wyrastały wieżowce – zarówno te sprzed czterech dekad, jak i zupełnie nowe. Ulicę Bulońską pamiętał jako drogę donikąd. Szeroką, dwupasmową, ale kończącą się w szczerym polu. Jako nastolatekowi zdarzało się mu zabłądzić tam w trakcie wagarów. Podbierał wtedy okolicznym gospodarzom jabłka, czereśnie i co tylko znalazł na drzewach, by potem zakraść się na górkę, z której widoczny był poligon. Całymi dniami obserwował manewry niewielkich oddziałów wojskowych. Z dawnej Moreny pozostał tylko pagórkowaty krajobraz dzielnicy, gęsto poprzetykanej nowymi ulicami i osiedlami. Patrząc na liczbę samochodów jadących do końca Bulońskiej i skręcających w prawo, nie miał wątpliwości, że w ciągu ostatniej dekady ta sypialnia Gdańska znacznie się rozrosła. Obiecał sobie, że kiedyś sprawdzi, jak bardzo.

Wbrew temu, czego oczekiwał, blok, w którym mieszkała Ania, był zwykłym wieżowcem. Na jednym z miejsc parkingowych stało jej żółte mini z pokiereszowaną maską i nadkolem. Raz jeszcze zerknął w jej dowód osobisty, upewniając się, że jest we właściwym miejscu. Przez niewielki hol przeszedł do windy i na wycucie wybrał piętro. Pomylił się o dwa, więc kolejne kondygnacje pokonał, przeskakując po dwa stopnie. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że jest podekscytowany i trochę zdenerwowany. Wytarłszy spocone dłonie o spodnie, ruszył ku drzwiom do mieszkania, obitym niemodną już boazerią. Podniósł rękę, aby zastukać, gdy usłyszał łoskot czegoś ciężkiego upadającego na podłogę w mieszkaniu. Albo kogoś. Serce skoczyło mu do gardła. Nacisnął klamkę i drzwi niespodziewanie ustąpiły. Gdy postąpił krok naprzód, zobaczył scenę, która sprawiła, że na moment zabrakło mu tchu.

Anna leżała na podłodze. Miała zakrwawioną twarz, jej beżowa bluzka w kwiaty była przesiąknięta krwią. Nad nią pochylało się dwóch krótko ostrzyżonych mężczyzn w brudnych i postrzępionych ubraniach. Gdy usłyszeli otwierające się drzwi, zwrócili głowy w stronę Adama. Ten błyskawicznie sięgnął do kieszeni kurtki, w której czekała Mojka. Napastnicy szybko otrząsnęli się z zaskoczenia i ruszyli w stronę mężczyzny pozbawionego swojego największego

atutu – kloszardzkiego pancerza z łachmanów i brudu.

Adam wielokrotnie uniknął pobicia tylko dzięki swojemu odrażającemu wyglądowi. Nikt nie chciał tykać brudasa i śmierdziela, w najlepszym wypadku rzucił jabłkiem lub kamieniem. Teraz Adam czuł się nagi i bezbronny. Musiał działać błyskawicznie. Nieoczekiwanie z pomocą przyszły mu słowa Eryka. Wskoczył do mieszkania i ustawił się tyłem do ściany, nie blokując otwartych drzwi. Nie miał zamiaru walczyć z dwoma większymi i silniejszymi napastnikami. Liczył, że zmusi ich do ucieczki. Wyciągnął zardzewiałe ostrze, tak by było jak najlepiej widoczne. Jeden z napastników był już bardzo blisko.

– Chcesz HIV-a? To chodź! – Machnął Mojką w powietrzu. Napastnik zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na starszego kompana, który był tuż za nim. – Jeszcze krok i cię pochlastam!

– Ja cię, kurwa... – Młodszy wyrwał do przodu, najwyraźniej nieprzyzwyczajony do grózb. To on groził innym, a nie odwrotnie. Jednak starszy mężczyzna, o ogorzalej, poznaczonej bliznami twarzy i zaciągniętym bielmem oku, chwycił go za kołnierz.

– Kurwa, stój! Nie widzisz, jaki jest chudy? To jakiś narkus. Na bank ma HIV-a albo innego AIDS-a. – Potrząsnął wyższym od niego o głowę młokosem. – Chodu!

– Pomocyyyyy! – Ryknął na całe gardło Adam.

– Jeszcze się policzymy, chuju – warknął młodszy, obchodząc uzbrojonego mężczyznę szerokim łukiem.

Starszy, bardziej opanowany i doświadczony, rzucił mu tylko spojrzenie. Nie było w nim strachu, jedynie chłodna kalkulacja i złość.

– Idź, kurwa. – Pchnął młodszego, który wciąż szukał sposobności, by rozbroić niespodziewanego intruza i dać mu nauczkę. Adam jednak świadomie wybrał narożnik przedpokoj, dzięki czemu był osłonięty z trzech stron.

Napastnicy zniknęli za załomem klatki schodowej. Doszło go jeszcze pytanie:

– Myślisz, że naprawdę miał HIV-a? Jak ten, no, Eddie Mercury?

– Freddy, debilu! – huknął starszy i chyba dodał coś, ale Adam już nie usłyszał.

Zatrzasnął drzwi i przekręcił w nich zamek, na wypadek gdyby napastnicy postanowili wrócić. Całe zdarzenie trwało kilka, może kilkanaście sekund, ale miał wrażenie, że zmarnował całą wieczność.

Doskoczył do leżącej na podłodze Anny. Była nieprzytomna, ale na szyi, którą znaczył czerwony ślad, wyczuł puls. Z rozciętej wargi i uszkodzonego łuku brwiowego obficie płynęła krew. Dwa palce lewej dłoni sterczały wygięte pod nienaturalnym kątem. Widać było, że kobieta podjęła desperacką próbę walki z napastnikami.

Rozejrzał się w panice po mieszkaniu i zobaczył leżącego na kuchennym stole smartfona. Przez chwilę mocował się z ekranem dotykowym – po raz pierwszy miał w ręku taki telefon. W końcu udało mu się go odblokować, ale nigdzie nie mógł znaleźć klawiatury numerycznej. „Jestem technologicznym kaleką, technopierdołą”, pomyślał.

Z telefonem w jednej ręce i ostrzem w drugiej wybiegł szukać pomocy. Dopiero gdy przekonał się, że napastnicy zniknęli na dobre, schował Mojkę do kieszeni. Nie był pewien, jak zareagowałyby na nią sąsiedzi.

\* \* \*

– Jak się pan nazywa? – Pielęgniarka oddziałowa spojrzała na Adama zmęczonym wzrokiem.

– Eryk Turski – skłamał bez mrugnięcia okiem.

– Jest pan mężem pacjentki?



– Tak. Kiedy będę mógł ją zobaczyć? – Zastukał nerwowo palcami o blat.

– Spokojnie, to jeszcze trochę potrwa. Pana żonę w tej chwili bada lekarz. Z tego, co wiem, ma mieć zrobione badanie RTG i tomografię. Musi się pan uzbroić w cierpliwość.

Adam usiadł zrezygnowany na jednym z krzesełek w izbie przyjęć szpitala imienia Kopernika. Niepokoił się o Anię. Odzyskała przytomność dopiero w karetce, ale dowiedział się o tym, gdy dotarł taksówką do szpitala. Kosztowała go kolejne trzydzieści złotych, ale nie zaprzętał sobie teraz tym głowy. Aby nie irytować się powolną jazdą wiekowego taksówkarza, rozmyślał o napastnikach. Przeczuwał, że Eryk maczał palce w tej napaści. Nie znał Ani aż tak dobrze, ale trudno mu było sobie wyobrazić, żeby miała jakichś wrogów.

Wydobył książkę z plecaka po ojcu Ani. Zresztą wszystko, co miał na sobie, również odziedziczył po nim. Anna nalegała, by Adam korzystał z każdej rzeczy, która może mu się przydać. Uparcie twierdziła, że ojciec na pewno chciałby tego. To, że do tej pory nie zrobiła porządku z rzeczami ojca w domku letniskowym, określiła w jednej z rozmów jako znak opatrności Bożej. Prędzej czy później i tak trafiłyby one do potrzebujących. Kilka lat zwłoki nikomu nie wadziło, a Adam był wyjątkowo potrzebujący. Chętnie skorzystał z dobytku pozostawionego przez pana profesora. Ubrania były bardzo dobrej jakości, co nie miało dla niego aż tak dużego znaczenia jak to, że pasowały na niego niemal idealnie. Od czasu zamieszkania w Jantarze dzięki regularnym posiłkom przybrał kilka kilogramów. Za jakiś czas ubrania po tacie Ani powinny na niego pasować jak ulał. Na razie ratował się paskiem do spodni.

Zanim otworzył książkę w miejscu, w którym ją skończył, długo głodził zniszczoną wielokrotnym użytkowaniem okładkę. Martwe dusze Mikołaja Gogola wciągnęły go, jednak nie zafascynowały tak bardzo jak dzieła Dostojewskiego, Tołstoja czy Bułhakowa. Starał się skupić na tekście, lecz emocje i zimne światło szpitalnych jarzeniówek powodowały, że wzrok tylko przemykał po literach. Mimo wszystko w tej chwili to był jedyny sposób na zabicie czasu, poza zamartwianiem się. Wrócił na początek strony. Nie zdążył przeczytać pierwszego akapitu, gdy z windy wytoczył się z łoskotem wielki wózek cateringowy, pchany przez młodą, drobną dziewczynę. Miała zadziwiająco dużo siły.

– To już kolacja? – zdziwiła się pielęgniarka, spoglądając na zegarek.

– Tak jest. – Dziewczyna uśmiechnęła się. Jej wesoły nastrój ewidentnie nie pasował do otoczenia. – Go! Go! Go! Trzeba głodnych nakarmić. – Puściła do Adama oko i z wysiłkiem pchnęła wózek w kierunku sal chorych.

Czy sprawił to widok wózka ze szcztokowanej stali, z jakiej projektuje się kuchnie w restauracjach, czy ciągnący się za nim zapach jedzenia, czy też wypowiedziane przez dziewczynę niczym zaklęcie ponaglenie – nagle w głowie Adama otworzył się tunel czasoprzestrzenny. Znow znalazł się w Nowym Jorku, w obszernej kuchni restauracji Picante, w której logo dwie pierwsze litery zastąpiono symbolem liczby Pi. On zastąpił.

– Dorada gotowa! – krzyknął Kaito, Japończyk specjalizujący się w rybach i wszelkich wariacjach na ich temat, unikający modnego, a według niego pretensjonalnego, sushi. Kaito uznawał jedynie sushi przygotowywane w Japonii.

– Zanieście na salę! – Głos Adama przebił się przez kuchenny gwar. Mężczyzna zabrał się do wędzonego tataru z połędwicy wołowej. To było jedno z dań, które przyrządzał sam, i każdy pracownik kuchni doskonale o tym wiedział. – Go! Go! Go! – pospieszył zmęczonego kelnera. Wszyscy byli zmęczeni. Ale tatar wymagał wykrzesania z siebie resztek skupienia.

Robił to z kilku powodów. Przede wszystkim uznawał tatar za polskie dobro narodowe, mimo że wiele narodowości rościło sobie prawo do tego dania, począwszy od Francuzów, poprzez Duńczyków, Koreańczyków i Etiopczyków, aż po mieszkańców Chile. Niemniej jednak wersja tataru, którą przygotowywał Adam, była wyjątkowa. Co pół roku zamawiał od znajomego

leśnika z Puszczy Białowieskiej skrzynię z ususzonymi igłami sosny, szyszkami, zmieloną korą bukową i dębowymi liśćmi. Zmieszane ze sobą układał na niewielkim półmisku i podpalał, nakrywając szklaną kopułą. Kiedy zebrało się pod nią wystarczająco dużo dymu, przenosił ją z pietyzmem i nakrywał nią przygotowanego wcześniej tataru, tak by mięso mogło nasiąknąć aromatem polskiego lasu. Obok mięsa na talerzu czekały też dodatki, ale Adam zawsze baczył, by tylko ono wchłonęło niezwykłą woń. To było jedno z najpopularniejszych dań Picante, trzeba było za nie zapłacić okrągłe pięćdziesiąt dolarów. Cena nie odstraszała jednak potencjalnych nabywców, wręcz przyciągała klientów jak magnes.

– Tatar gotowy! – Przesunął talerz w kierunku wydawki i wierzchem dłoni potarł oczy.

Był zmęczony. Dochodziła dwudziesta druga, a klientów w restauracji nie ubywało. Jego pracownicy uwijali się jak w ukropie. Na szczęście każdy z nich wiedział, co ma robić. Część dań Adam pozostawił w ich rękach – dobrał swój zespół tak, aby przejął część pracy. Potrawy, które uważał za najbardziej wymagające, pozostawił jednak sobie.

Zakręcił młynkiem z zamówieniami i zdjął kilka zawierających kolejny hit Picante – konfitowaną kaczkę. Mięso było gotowe – od kilku godzin dusiło się w mieszaninie tłuszczu i własnego sosu, a Adam był pewien, że będzie rozpływało się w ustach. Dzięki doświadczeniu i przezorności miał jeszcze duży zapas, choć w zadziwiający sposób potrawy nigdy nie wystarczało dla ostatnich klientów. Teraz pozostawało jedynie przygotowanie dodatków: karmelizowanych kwiatów cukinii i sosu malinowego. Każdy z nich, podobnie jak resztę serwowanych dań, starał się wzbogacać o własny, oryginalny akcent. I chyba właśnie dzięki niepowtarzalnemu smakowi i niebanalnym dodatkom jego restauracja zawdzięczała swoją popularność.

Co oznaczało, że zapowiadał się długi wieczór. „Tak jak wszystkie poprzednie”, pomyślał ze smutkiem. Patrycja i Julek zapewne już dawno spali. Za każdym razem, kiedy o nich myślał, obiecywał sobie, że to już ostatni taki rok. Że od stycznia poszuka szefa kuchni, który zrozumie koncepcję sztuki kulinarnej Adama i nie narazi Picante na utratę reputacji. W to, że kogoś takiego znajdzie, nie wątpił. W końcu to był Nowy Jork, roiło się tutaj od zdolnych ludzi. Znalezienie szefa kuchni było tylko kwestią czasu, którego teraz rozpaczliwie mu brakowało, ale wiedział, że taka jest cena sukcesu.

– Proszę pana – usłyszał głos pielęgniarki i ocknął się. – Może pan zobaczyć się z żoną. Jest w sali numer cztery. Na końcu korytarza, drzwi po prawej.

– Dziękuję – wymamrotał niczym wyrwany ze snu. Ile tak siedział? Czas rozplynął się w morzu wspomnień. Może kilka minut, a może godzinę? Domyślał się, że raczej dłużej. Dźwignął się z plastikowego krzeselka, zarzucił plecak na ramię i ruszył korytarzem.

Zanim wszedł, przystanął w niewielkim holu oddzielającym dwie sale chorych przedzielone szybą. Przez chwilę obserwował Annę przez przeszklone drzwi. Leżała w dwuosobowej sali, przykryta śnieżnobiałą pościelą. Miała obandażowaną głowę i dwa szwy na łuku brwiowym, który teraz solidnie spuchł i zabarwił się na bordowo, łącznie z powieką. Przedramię i dwa palce lewej dłoni spoczywały w usztywniaczu. Sąsiednie łóżko było puste. Gdy nacisnęła klamkę i wszedł, obróciła głowę w jego stronę. Dolna warga była spuchnięta, ale nie krwawiła.

– Adaś! – Uśmiechnęła się lekko. Ból przypominał jej o rozciętej wardze i uśmiech zgasł.

– Cśśś... – Przyłożył palec do ust w teatralnym geście. – Jakby co, jestem Eryk. Chyba się nie gniewasz?

– No coś ty! – Naprawdę się ucieszyła, że to on jest przy niej, a nie mąż. Na moment zatonała w jego oczach, które w blasku jarzeńówek przybrały lekko turkusowy odcień.

– Jak się czujesz? – Przystawił sobie krzesło i ujął ją za dłoń. Była przyjemnie chłodna.

– Nie najgorzej. – Spojrzała na niego i spróbowała się uśmiechnąć, ale zamiast tego jej usta mimowolnie się skrzywiły, a ciałem wstrząsnął szloch. Starła się go opanować, ale to było silniejsze. – Och, Adam, gdyby nie ty...

– Spokojnie, Aniu, już jesteś bezpieczna. – Pogładził ją po policzku. Uświadomił sobie nagle, że chciałby ją pocałować, ale zaraz zgaśnił się w myślach za zbytnią śmiałość. – Co powiedział lekarz?

– Mam pęknięte dwa żebra, zwichnięte palce i trochę ogólnych potłuczeń, ale poza tym jestem cała. – Otarła spływające po policzkach łzy i z wdzięcznością przyjęła od Adama chusteczkę higieniczną, w którą wydmuchała nos. – Rentgen zrobili mi od razu, ale na tomografię trzeba poczekać do jutra. Dopiero wtedy okaże się, na ile będą chcieli mnie tu zatrzymać. Przywiozłeś mi dokumenty, prawda?

– Tak. Myślałem, że się nie zorientowałaś. – Otworzył plecak i podał Annie czerwony portfel, etui z dokumentami i jej telefon.

– Odkryłam ich brak dopiero w Gdańsku. Gdybym była bliżej, to pewnie bym zawróciła. Ale spieszyłam się na spotkanie z Filipem i pomyślałam, że wrócę po nie jutro. Klucze do domu mam spięte z kluczykami do auta. Dziękuję za uratowanie życia po raz drugi. – Mocniej ścisnęła jego dłoń i spojrzała mu prosto w oczy.

– Mam nadzieję, że po raz ostatni. Co się właściwie stało? Znasz tych gości?

– Filip wyszedł chwilę przed nimi. Myślałam, że wrócił, bo czegoś zapomniał. Zamiast niego zobaczyłam w drzwiach tych dwóch osiłków. Jeden z nich chwycił mnie za gardło, zanim zdążyłam krzyknąć. Zaciągnęli mnie do pokoju i zaczęli okładać. – Kolejna łza spłynęła jej po policzku.

– Powinnaś zawiadomić policję.

– Lekarz już to zrobił. Przyjadą niedługo. Okradli mnie?

– Chyba nie. – Adam pokręcił głową, próbując przypomnieć sobie szczegóły. Działał wtedy jak w transie. Dopiero teraz z pamięci wylaniał się obraz utrzymanego w nienagannym porządku mieszkania. – Aniu, im chyba nie chodziło... – urwał, gdy zadzwonił jej telefon.

– Przepraszam. – Przyłożyła aparat do lewego, nieokrytego bandażem ucha. – Tak, słucham?

Obserwował, jak w trakcie rozmowy na twarzy kobiety pojawia się rosnący niepokój.

– Dzwonił pan Władek, właściciel domu przy głównej drodze w Jantarze. Od niego z ogrodu jest widok na nasz domek – wyjaśniła po chwili.

Adam zwrócił uwagę, że użyła słowa „nasz”, ale tego nie skomentował.

– Godzinę temu polną drogą przemknął terenowy mercedes – kontynuowała. – Zajechał pod nasz dom, wysiadło z niego kilku ludzi. Po paru minutach odjechali. Pan Władek zawiadomił policję i pojechał sprawdzić, co się stało. Powiedział mi tylko tyle, że drzwi są wyłamane, a wewnątrz wygląda, jakby przeszła tamtędy Sybilla.

– Zapisał numery tego merca?

– Niestety nie. Adam, oni szukali też ciebie. To znaczy... pewnie nie ci sami.

– Ciekawe, czyja to sprawa. – Postukał palcem w policzek, udając, że się zastanawia.

– Niemoż... – urwała. Cholera, możliwe. Ba, nawet podobne do Eryka. Lubił rozwiązania siłowe, szczególnie kiedy nie musiał sobie nimi brudzić rąk. Zwykle nie posunąłby się do takich metod, ale musiał czuć, że grunt usuwa mu się spod nóg. Nieskazitelnym wizerunkiem mecenasa Turskiego, szczęśliwego męża i ojca – przynajmniej na pozór – miał wkrótce ulec zniszczeniu. Co oznaczało, że został przyparty do muru. A Eryk przyparty do muru zachowywał się jak szczer: atakował. – Kurwa, zabiję go! – Anna zaklęła w sposób niepodobny do niej, a jej oczy pociemniały. – Przepraszam. Muszę zadzwonić do Ali i do Filipa. Możesz kupić mi parę rzeczy

w sklepiku na dole?

– Skąd wiesz, że na dole jest sklepik?

– Zawsze jest. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – Poza tym gdy rodziłam tutaj Filipa, to był. Więc pewnie wciąż istnieje.

\* \* \*

Kupił, co trzeba, licząc w myślach pieniądze. Przezornie pozostawił większość banknotów dobrze ukrytą w domku i przylegającym do niego ogródku, jednak w obliczu niespodziewanych wydatków to, co miał, kurczyło się w zastraszającym tempie. Z zamyślenia wyrwał go głos Alicji.

– Adam? – Przyglądała mu się z niedowierzaniem. – Ja nie mogę, prawie cię nie poznałam! Cóż za odmiana.

– O, Alicja. Szybko przyjechałaś. – Spojrzał uważnie na lekarkę. Gdy zaskoczenie minęło, zobaczył malujące się na jej twarzy zaniepokojenie.

– Jak Ania?

– Chyba nieźle. Trochę potłuczona i przestraszona. Ale poza tym w jednym kawałku.

– Potrzeba jej czegoś jeszcze? – Zerknęła na trzymane przez Adama zakupy, ale ten pokręcił tylko głową. – Idziemy?

– Ala, mogłabyś zanieść to Ani? Pobędziesz z nią przez jakiś czas? Chciałbym zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i poukładać sobie to wszystko.

– Jasne. Idź i niczym się nie przejmuj. Wyciągniemy ją z tego. – Poklepała go przyjaźnie po ramieniu i uśmiechnęła się tak ciepło, że uwierzył jej na słowo.

Wyszedł ze szpitala i ruszył w kierunku Głównego Miasta. Deszcz, który zaczął padać, gdy Adam wsiadał na Morenie do taksówki, zamienił się w mżawkę. Drobne krople tworzyły mgielkę wokół latarni zalewających chodniki i ulice bladopomarańczowym blaskiem. Na zegarze wieży kościoła św. Katarzyny zobaczył, że dochodzi dwudziesta druga. Jak na tę godzinę, ludzi na ulicach było wyjątkowo mało. W Gdańsku rzadko można było zaobserwować takie wyludnienie. Gdzieś tam tylko przemykał przechodzień, starając się osłonić parasolem przed wszędobylską mżawką. Daremny trud. Kropelki wirowały w powietrzu, osiadając na każdej możliwej powierzchni. Przez chwilę Adam zastanawiał się, czy niewielki ruch wywołany jest pogodą, czy może zapomniał o jakimś święcie. Znał takie dni i nawet je lubił, choć ta sympatia podszyta była goryczą. Wędrował wtedy opustoszałymi ulicami miast – Warszawy, Torunia czy Krakowa – i zaglądał w miejsca, z których zazwyczaj by go przegoniono. Przysiadł na ławkach zajętych zwykle przez turystów, oglądał wystawy zamkniętych na głucho sklepów. W Nowy Rok zbierał puszki i butelki w miejscach, do których nie dotarli etatowi czyściciele.

Tego wieczoru Gdańsk właśnie taki był, opustoszały i cichy. Mężczyzna nie spotkał ani jednej grupki podchmielonych studentów zmierzających do kolejnego pubu. Znikąd nie dobiegał znajomy szwargot Niemców, śpiewny język włoski czy wszędobylski angielski. Główne Miasto przypominało Londyn spowity mgłą. Wędrował, wsłuchując się w odgłos swoich kroków odbijany przez ściany okolicznych kamienic. Na wysokości Wielkiej Zbrojowni skręcił w Piwną. Lubiał tę uliczkę, nie tylko ze względu na nazwę. Mijając rozłokowane wzdłuż niej knajpki, z przyjemnością obserwował siedzących w środku ludzi. Ich twarze oświetlone blaskiem stojącej na stole świeczki przybierały eteryczny, półwidmowy wygląd.

Pozostawiwszy za sobą ogromny gmach bazyliki Mariackiej, której wieża tonęła w ciemnościach i mżawce, podążył ulicą Chlebnicką w stronę Motławy. Fasady wąskich kamienic zdawały się nachylać ku niemu, jak gdyby chciały szepnąć mu coś na ucho. Dobrze się czuł w tych ciasnych znajomych uliczkach i żałował, że nie zakotwiczył tu wcześniej. Zamiast

tułać się po świecie, miałby teraz rodzinę i prowadził stabilny tryb życia. Pewnie nie luksusowy, ani nawet nie dostatni, ale wypełniony wszystkim tym, czego nie da się przeliczyć na pieniądze. Może to wszystko, przez co przeszedł w ostatnich latach, nigdy by się nie wydarzyło. Jednak w tej teorii było zbyt wiele „może”, a za mało pewników. Te myśli doprowadziły Adama aż na sam brzeg Motławy.

Oparł się o barierkę, spoglądając w ciemną toń. Minęła go roześmiana para, ale nie zwrócił na nich uwagi. Znów czuł się przygnębiony, przygnieciony ciężarem wspomnień. Czarna jak smoła tafla wody nęciła go. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie skoczyć. Kilka dni wcześniej rozmyślał o śmierci. Po długich rozważaniach stwierdził, że najprzyjemniej byłoby zamarznąć w stanie upojenia alkoholowego. Tylko że panujące w Polsce temperatury nie dawały gwarancji na śmierć. Ciemne wody Motławy to co innego. Długie Pobrzeże było wyludnione. Gdyby nie krzyczał, nie wołał o pomoc, nikt by go nie uratował. W lodowatej wodzie straciłby przytomność w kilka minut. Albo utonął. Utonięcia bał się najbardziej. „Gdyby nie myśl o samobójstwie, dawno bym się zabił” – Adam przypomniał sobie ten cytat, pochodzący z książki napisanej przez rumuńskiego filozofa Emila Ciorana, zafascynowanego Nietzschem. Nie pamiętał jej tytułu, ale ten fragment kilkakrotnie podkreślił ołówkiem. W bibliotece ojca Ani znalazł jeszcze kilka dzieł Ciorana, lecz odłożył je porażony przygnębieniem emanującym z tekstu. Zapamiętał jeszcze jeden cytat, który wrył mu się głęboko w pamięć. Został wręcz wykuty w jego mózgu cioranowskim dźwiękiem. „Tylko jedno jest ważne: nauczyć się bycia przegranym”. Adam uczył się tego od dziesięciu lat. Jak długo jeszcze miała potrwać nauka?

Zacisnął mocniej dłonie na mokrej, chłodnej balustradzie. Nie był w stanie tego zrobić. Przed wskoczeniem w mroczną toń powstrzymywała go cienka, niewidzialna nić. Nić, która ciągnęła go w przeciwnym kierunku. Miała na imię Anna.

\* \* \*

Obudził ją dźwięk zbliżającego się obchodu lekarskiego. Przez dłuższą chwilę zbierała myśli. Pobicie. Szpital. Adam i Alicja. Wysłała esemesa Filipowi, ale najprawdopodobniej jeszcze go nie odczytał. Z tego, co mówił wczoraj, wynikało, że zamierzał wybrać się na koncert do gdyńskiego klubu Ucho. Miała nadzieję, że nic mu się nie stało, ale w gorszym stanie niż ona pewnie i tak nie był.

Zaniepokoiła ją nieobecność Adama. Pamiętała wczorajszą rozmowę z Alicją, która spotkała go przy szpitalnym sklepieniu. Mówiła, że postanowił się przejść i zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie niepokoiło jej to, że Adamowi mogło się coś stać. Obawiała się raczej, że on sam może stanowić źródło swoich kłopotów.

Obchód był krótki i rzeczowy, prowadził go starszy lekarz w asyście dwóch studentek i pielęgniarki. Rozmyślając o przyczynach nieobecności Adama, nie mogła się w pełni skupić na pytaniach lekarza. Denerwowało ją, że po każdej odpowiedzi studentki zapisują coś zawzięcie w swoich notesach.

Błoga cisza, która zapadła, gdy gremium lekarsko-studenckie opuściło salę, nie trwała długo. Drzwi nieznacznie skrzypnęły i ukazał się w nich Eryk. Odruchowo sięgnęła po telefon, nerwowo przerzucając ikony na ekranie.

– Co ty tu... – Anna aż zakrztusiła się z wrażenia.

– Kochanie! – powiedział jej mąż z przesadną troską w głosie. – Przyjechałem, gdy tylko dowiedziałem się od Filipka, co się stało.

– Kochanie? Filipka? – Parsknęła śmiechem. – A tobie co, nagle uczuć wyższych przybyło?

Nie dodała już, że rzekomy błyskawiczny przyjazd musiał być poprzedzony przynajmniej

godzinnym przygotowaniem. Eryk wyglądał, jakby wyszedł prosto z salonu fryzjerskiego, krawieckiego i kosmetycznego. Jego średniej długości blond włosy były doskonale ułożone. Nienagannie wyprasowane dzinsy doskonale pasowały do szarej marynarki, spod której wystawała śnieżnobiała koszula w delikatne niebieskie paski. Wraz z przybyciem mężczyzny do pomieszczenia wdarł się zapach intensywnych energetycznych perfum. Eryk należał do tych ludzi, którzy potrafili idealnie dopasować koszulę do krawata, krawat do zegarka, zegarek do perfum, a perfumy do pory dnia. W jego dłoni spoczywał wielki bukiet czerwonych róż. Anna wyobrażała sobie westchnienia pielęgniarek, gdy przechodził korytarzem. Mimo swojego parszywego charakteru jej mąż potrafił czarować i robić bardzo dobre pierwsze wrażenie. Lub bardzo złe.

– Proszę, to dla ciebie. – Wyciągnął bukiet w jej kierunku, podsuwając dojrzałe pąki pod sam nos.

– Nie wygłupiaj się – mruknęła naburmuszona, acz nieco rozbawiona jego nieporadnością. Od wieków nie przyniósł jej kwiatów, a teraz zachowywał się tak, jakby podawał jej odbezpieczony granat. – Znajdź na nie jakieś... wiadro.

Skonsternowany Eryk odłożył kwiaty na sąsiednie łóżko i spojrzał na nią jasnoniebieskimi oczami.

– Aniu, jak się czujesz?

– Najpierw mi powiedz, jak Filip? Nie odpisał na mojego esemesa.

– Żyje, ale ledwo. Pewnie dopiero leczy kaca giganta. Mikołaj go przyprowadził o piątej nad ranem. Dał mi jego telefon, dzięki temu dowiedziałem się, co z tobą. Szkoda, że do mnie nie napisałaś... – W jego głosie zabrzmiał wyrzut. – Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Jestem trochę poturbowana, ale nic poważnego się chyba nie stało. Mam wstrząśnienie mózgu i obite żebra. Mogło się skończyć znacznie gorzej.

– Co właściwie się stało?

– Cóż – westchnęła zirytowana tym, że całą historię będzie musiała opowiadać od nowa – tego próbuje się dowiedzieć policja. Był u mnie Filip. Pożegnaliśmy się, a potem usłyszałam dzwonek do drzwi. Myślałam, że wrócił po coś, ale okazało się, że za drzwiami stoją jacyś wielcy faceci. Rzucili się na mnie i zaczęli okładać...

– Co za gnoje. – Eryk podrapał się po gładkiej twarzy. – Ostrzegałem cię, żebyś nie zadawała się z tym włóczęgą, prawda? Zobacz, jak cię urządził razem ze swoimi kolesiami.

– Eryk, on mi uratował życie! I to dwa razy. – Spiorunowała męża wzrokiem.

– I ty w to wierzysz?! – Roześmiał się złośliwie. – To gdzie teraz jest? Pewnie zdążył dorobić klucze do mieszkania i teraz wynosi cały dobytek razem z tymi dwoma obszczymurami.

– A skąd ty wiesz, jak wyglądali i ilu ich było? – odparowała.

Po minie Eryka zobaczyła, że trafiła w sedno. Jej mąż rzadko bywał zmieszany, ale teraz ewidentnie powiedział o jedno słowo za dużo i dał się zapędzić w kozi róg. Czowała, że on dokładnie wie, kim byli napastnicy, i żałowała, że nie była w stanie tego udowodnić.

– A z kim on może się zadawać? Z Kulczykami?

– Eryk, jak ja się dowiem, że maczałeś w tym palce, to jesteś skończony!

– I co zrobisz? Doniesiesz na policję?

– Zatrudnię prawnika i dokopię ci w sądzie.

– Nie ma w Gdańsku takiego, który wziąłby tę sprawę.

– A założysz się? Myślę, że twój ojciec z pocałowaniem ręki wziąłby sprawę, w której mógłby cię pogrążyć – powiedziała z satysfakcją. To zawsze działało, choć tym razem nie odniosło tak piorunującego skutku, jak się spodziewała.

– Stary zgred już tańczy nad grobem. – Eryk uśmiechnął się złośliwie. – Jak będzie

trzeba, sam go do niego wepchnę. Trójmiasto robi się zbyt ciasne dla dwóch Turskich.

– Chyba trzech... – Mimo powagi sytuacji pozwoliła sobie na ironię.

– Co? – zdziwił się, ale zaraz odzyskał rezon. – Ach, on. Miałem na myśli prawdziwych Turskich.

– Wiesz co? Masz rację. Czasami żałuję, że Filip nosi twoje nazwisko. Może jednak nie odziedziczył wszystkich tych uszkodzonych genów, które wleciecie za sobą.

– Nie rób z siebie większej idiotki, niż jesteś – syknął Eryk i zmrużył oczy. Szybko jednak przełknął obelgę, po czym płynnie zmienił temat. – Wycofaj ten dumny pozew. Dobrze, wygrałaś, pokazałaś, na co cię stać. A teraz czas skończyć fochy i wracać do domu.

– Przyjmij do wiadomości, że to nie są fochy. Powiedziałam ci już, że chcę rozwodu, i zdania nie zmienię. A takim gadaniem tylko pogarszasz sprawę.

Jej mąż przez dłuższą chwilę milczał, zastanawiając się, jak rozegrać tę partię. Chrząknął w zwiniętą dłoń, jakby przygotowywał się do mowy – znała to prawnicze przyzwyczajenie aż za dobrze – i podjął temat:

– Co ty w ogóle sobie myślisz? Co może dać ci ten łach? Zabierze cię na wigilię do Brata Alberta? Sprzeda dość puszek, żeby kupić ci biżuterię z marketu? A może to ty będziesz go utrzymywała? Nie miałbym nawet nic przeciwko, gdybyś znalazła sobie kochanka, byleby był to ktoś z klasą.

– Eryk... – Anna zacisnęła zęby w bezsilnej złości. Chciała dokończyć, ale przerwał jej.

– Ja wiem, dlaczego to robisz – ze złościwości. Chcesz mnie ośmieszyć przed moimi przyjaciółmi i rodziną. To dlatego sprowadziłaś tego włóczęgę...

– Wal się! – Niewiele myśląc, napluła mu w twarz, po czym chwyciła garść kwiatów i rzuciła w niego. Nigdy nie sądziła, że jest zdolna do takiej reakcji. W myślach widziała pełen dezaprobaty wzrok swojego ojca. A może nie? Może ojciec patrzył tak na Eryka, który posuwał się do ostateczności? Czuli, że musi teraz zagrać według reguł męża. Bezwzględnych i okrutnych, ale jedynych, które znał. – Wypieprzaj stąd! Jeśli jeszcze raz wejdiesz nam w drogę, to przysięgam, że zadzwonię do twojego ojca i przedstawię mu to nagranie! – Pokazała mu trzymanego w dłoni smartfona i uśmiechnęła się triumfalnie.

– Nie zro...

– Zrobię.

Jej wzrok stwardniał, a Eryk cofnął się o krok. Wiedział, że Anna nie żartuje. Spojrzał na jej telefon, obmyślając następny ruch.

– Nawet o tym nie myśl. Wszystkie dane zapisywane są w chmurze. Nawet gdy zniszczysz telefon, to i tak odzyskam nagranie. Może i jestem naiwna, ale na pewno nie głupia. – Spojrzała na niego wyzywająco, choć jej serce kołatało jak oszalałe.

Eryk wytarł twarz chusteczką i wyszedł z sali, trzaskając drzwiami. Gdy tylko zniknął, Anna poczuła, jak po jej policzkach płyną łzy. Tym razem nie były wynikiem bezsilności, żalu czy rozpacz. Po raz pierwszy od wielu lat poczuła się silna. Po raz pierwszy od dnia ślubu postawiła się mężowi i wygrała.

\* \* \*

Adam długo zmagał się z myślami, zanim ponownie pojawił się w szpitalu. Zorientował się, że wrócił w złym momencie, gdy tylko otworzyły się drzwi windy. Przystąpił próg, obserwując rozgrywającą się na jego oczach scenę. Naprzeciwko windy znajdował się blat recepcji, przy którym stał Eryk Turski. Mężczyzna perorował podniesionym głosem, osaczając Bogu ducha winną pielęgniarkę oddziałową, która zapewne niedawno rozpoczęła zmianę. Tę samą, która pracowała w momencie przyjęcia Ani.

– Powtarzam pani, to ja jestem Eryk Turski, do cholery! – Adam dokładnie widział jego ślinę, pryskającą wokół. – Tu! Tu ma pani mój dowód osobisty! – Wyciągnął dokument i podetknął go pielęgniarce pod nos.

– Przepraszam, ale za męża pani Ani podawał się... – Oddziałowa spojrzała odruchowo w stronę zamykających się drzwi windy. – O, właśnie ten pan. Halo, może pan tu podejść? – zawołała.

Gdy Eryk zorientował się, kto za nim stoi, ruszył niczym wściekły byk. Adam gorączkowo przeszukiwał kieszenie, ale jak na złość Mojki nigdzie nie było. Wysportowany prawnik znalazł się przy nim w trzech susach, jeszcze zanim Adam zdążył wyjąć ręce z kieszeni. Eryk pchnął go na stalowe drzwi windy.

– Ty szkodniku pieprzony – syknął przez zęby i trzasnął go w szczękę, aż Adamowi pociemniało w oczach. Poczul w ustach metaliczny smak krwi. Z tyłu rozległy się krzyki pielęgniarek. – Odpiardol się od mojej żony, dobrze ci radzę. – Chwycił bezbronnego mężczyznę za kłapy kurtki i demonstracyjnie rzucił nim o ścianę. W tym momencie trzy pielęgniarki dobiegły, by uspokoić rozwścieczonego Eryka, ale ten był już chłodny i opanowany. – Wiesz, łachudro, że podawanie się za mnie jest karalne?

– Samo bycie tobą powinno być karalne. – Adam spojrzał mu hardo w twarz. Spodziewał się uderzenia i był gotów na unik, ale atak nie nastąpił.

– Dosyc tych bójek! Bo wezwę ochronę! – Pielęgniarka oddziałowa wcisnęła przycisk wzywający windę. Przyjechała zaskakująco szybko. – Niech pan już idzie, zanim narobi pan jeszcze większych problemów. – Wepchnęła zdeorientowanego Adama do windy, gdy tylko otworzyły się drzwi.

Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że kobieta prawdopodobnie chciała mu zaoszczędzić kłopotów. Wyglądało na to, że w szpitalu był spalony. Kto wie, co po tym wszystkim zrobi mąż Ani? Adam musiał znaleźć sposób, aby się z nią skontaktować.

Krażył wokół szpitala ponad godzinę, zanim obmyślił plan. W kieszeni zostało mu niecałe siedemdziesiąt złotych. Majątek, ale w obliczu nadchodzących wydatków mógł ledwie wystarczyć. W hali Dworca Głównego znalazł czynny komis. Za pięćdziesiąt złotych kupił wiekową, ale sprawną komórkę i zestaw startowy za pięć złotych. W drodze do szpitala włożył do aparatu kartę SIM i upewnił się, że telefon działa poprawnie. Tym razem skorzystał ze schodów. Uchyliwszy drzwi, ocenił sytuację. Wszystko wyglądało tak jak poprzednio, brakowało tylko Eryka Turskiego. Zebrał się w sobie i wszedł do oddziałowego korytarza.

– A pan co tutaj robi? Mało namieszal? – Pielęgniarka oddziałowa wychyliła się z pomieszczenia służbowego, gdy tylko usłyszała kroki. Jej wzrok ciskał gromy. Cudownie bezosobowa forma ubawiłaby go, gdyby nie powaga sytuacji.

– Można się zobaczyć z pacjentką? – Adam starał się sprawiać wrażenie potulnego.

– Nie można. Pacjentka potrzebuje odpoczynku. Teraz śpi, a na trzynastą ma tomografię.

– Wiem, że nabroiłem. Przepraszam. Czy byłaby możliwość, aby przekazała pani mój numer telefonu, gdy Ania się obudzi albo wróci z badania? – Wyciągnął wkładkę z numerem, którą znalazł w starterze.

Pielęgniarka przez chwilę wpatrywała się w niego, po czym wzięła kartonik.

– Dobrze panu radzę nie pokazywać się tutaj. – Ściszyła głos i dodała: – Ten Turski to jakaś szych. Poszedł do ordynatora. Jak szef zobaczy tu pana, to oboje będziemy mieli kłopoty. Numer przekażę, ale proszę tu na razie nie przychodzić.

– Dziękuję bardzo. Do widzenia. – Adam uśmiechnął się nieśmiało i z ulgą opuścił oddział.

Usiadł w przedsionku, nieopodal głównego wejścia. Obracał w dłoni telefon w nadziei, że



w końcu zadzwoni. Co chwilę wybierał numer centrum obsługi klienta, żeby sprawdzić, czy komórka działa. Po godzinie wydeptał trasę od sklepiku do automatycznych drzwi, po dwóch znał liczbę kafelek na trasie, łącznie z popękkanymi i wstawionymi z innej partii. Z monotonii wyrwał go dźwięk esemesa, ale ku jego irytacji wiadomość okazała się tylko reklamą. Gdy podniósł wzrok znad telefonu, zamarł. Przed nim stał wysoki, ciemnowłosy młodzieniec o czekoladowych oczach.

– Rany boskie, skóra zdjęta z matki – jęknął Adam, przyglądając się Filipowi.

Chłopak rzeczywiście odziedziczył to, co najlepsze, po matce. Na jego twarzy pojawiały się już twarde, męskie rysy.

Filip Turski zatrzymał się w pół kroku, próbując w myślach skojarzyć szczupłego mężczyznę z którymś ze znajomych mamy. Kiedy to nie przyniosło efektu, przypomniał sobie jadowne słowa ojca o bezdomnym, z którym się spotykała. Eryk użył znacznie bardziej dosadnego słowa, ale Filip wolał o nim nie myśleć. W końcu chodziło o jego mamę. Stojący przed nim mężczyzna był wprawdzie lepiej ubrany niż stereotypowy bezdomny, ale za to szczupły i wymizerowany. To musiał być ten, o którego tak wściekał się ojciec.

– To twoja wina! – wrzasnął chłopak i uderzył Adama na odlew, po czym kopnął go w kolano. Mężczyzna upadł, ale szybko wyciągnął przed siebie rękę w obronnym geście. Poczł bijącą od młodzieńca woń alkoholu.

– Stój! O co ci, do cholery, chodzi?! – Adam niezdarnie próbował się odsunąć, obserwując zdenerwowanego Filipa.

Chłopak może i był w bojowym nastroju, ale z emocji trzęsły mu się ręce i broda, nie mógł więc być takim bezwzględny skurwielem jak ojciec.

– To przez ciebie moja matka wylądowała w szpitalu – rzucił nastolatek, przewiercając Adama brązowymi oczami. Robił to dokładnie w taki sposób jak Ania.

– Uspokój się. Nic nie zrobiłem. Pomogłem twojej mamie, to ja wezwałem pogotowie. Zresztą sam ją zapytaj.

– Nie mów mi, co mam robić – warknął młodzieniec. – Żebyś wiedział, że zapytam. A jak będziesz tu, kiedy będę wychodził, to skopię ci dupę.

– Czy to u was rodzinne? – zapytał Adam, ocierając rozoraną ponownie wargę.

– Co? – Filip wydawał się zbity z tropu.

– Bicie Bogu ducha winnych ludzi. Poza tym i tak na razie nie zobaczysz się z mamą.

– Skąd wiesz?

Adam już zabierał się do wyjaśnień, ale przerwali mu ludzie wchodzący właśnie przez główne drzwi. Byli wyraźnie zdenerwowani. Dwoje starszych wyglądało na małżeństwo, towarzyszył im trzydziestoletni na oko mężczyzna. Gestykulowali intensywnie i głośno rozmawiali. Niemal jak na komendę obskoczyli Filipa i Adama. Młody mężczyzna zwrócił się do chłopaka:

– Excuse me, where is the maternity ward in this hospital?<sup>2</sup> – zapytał z twardym akcentem.

– Sorry? – Z onieśmielonego chłopaka jakby uszło powietrze.

– Maternity ward? You know, babies...<sup>3</sup> – Mężczyzna ułożył ramiona w geście kołysania.

– No, sorry – bąknął Filip i spuścił oczy.

– Can I help you?<sup>4</sup> – odezwał się Adam, kierując na siebie spojrzenia. Miał nadzieję, że dokładnie wytarł krew z rozciętej wargi. – Usted prefiere que hable español?<sup>5</sup> – zapytał, przechodząc płynnie na hiszpański.

– Sí, señor. Por favor, díganos ¿dónde está la sala de maternidad?<sup>6</sup> – W oczach mężczyzny zapaliła się nadzieja.

Adam wskazał przybyszom drogę, tłumacząc, jak dojść schodami i jak dojechać windą. Poprzedniego dnia przez zupełny przypadek zablądził na oddział położniczy, poszukując sali, na której umieszczono Anię. Hiszpanie serdecznie mu podziękowali i pobiegli we wskazanym kierunku.

Mężczyzna spojrział na chłopaka, który stał obok ze spuszczoną głową, szukając czegoś nerwowo w telefonie.

– Twoja mama ma mieć tomografię komputerową o trzynastej. Badanie potrwa pewnie z godzinę, więc przed czternastą nie masz się co pokazywać na oddziale. Pielęgniarki są dzisiaj nie w sosie. Przypuszczam jednak, że Ania ma się nieźle.

– Kurde, co za masakra. – Filip opadł ciężko na plastikowe krzeselko, które jęknęło pod jego ciężarem. Ukrył twarz w dłoniach i przez długi czas siedział nieruchomo.

– Chcesz pogadać? I tak musimy tu czekać...

– Niby o czym mam z tobą gadać? – prychnął chłopak, po czym wyjął słuchawki podłączone do telefonu i wetknął je w uszy.

Adam chciał coś jeszcze powiedzieć, ale poczuł w kieszeni wibrujący telefon i niemal podskoczył. „Już po badaniu, zaraz zadzwonię” – odczytał esemesa na lekko porysowanym ekranie. Siedzący obok Filip dostał widocznie taką samą wiadomość, spojrział bowiem wymownie na Adama, który skinął twierdząco głową. Tych kilka minut, dzielących go od rozmowy z Anią, ciągnęło się niemiłosiernie. W końcu poczuł upragnione wibracje w kieszeni.

– Ania?

– Cześć, bohaterze! – Głos w słuchawce był jak balsam na jego duszę. – Zwolniła się kolejka i miałam badanie wcześniej.

– To dobrze. Coś już wiadomo?

– Tak, będę musiała spędzić w szpitalu około miesiąca...

– Co?! – krzyknął Adam i poderwał się z krzeselka, czym zwrócił uwagę innych oczekujących.

– Żartuję... – Anna zachichotała do słuchawki. – Jutro mnie wypisują. Słuchaj, pielęgniarki opowiedziały mi o twojej bójce z Erykiem. Ordynator jest wściekły i zapowiedział, że do odwiedzin uprawniona jest tylko rodzina, choć mam wrażenie, że Eryk szybko się tu nie pojawi. Zaraz zadzwonię do Filipa, chciałabym się z nim zobaczyć.

– Nie musisz.

– Jak to?

– Siedzi obok mnie. – Spojrział na chłopaka z ukosa, ściągając jego pytający wzrok. – Zdażyliśmy się... poznać.

– Tak? Fajny, prawda?

– Bardzo. – Tym razem Adam uśmiechnął się do słuchawki.

– Dasz mi go do telefonu? – spytała.

Adam trącił syna Anny palcem, po czym wyciągnął w jego stronę komórkę. Filip oderwał wzrok od ekranu swojego smartfona i wyjąwszy słuchawki z uszu, wziął ją do ręki. Przez chwilę rozmawiał, a gdy się rozłączył, oznajmił Adamowi sucho:

– Dzięki. Idę do mamy.

Mężczyzna patrzył, jak Filip znika za drzwiami obszernej windy. Chłopak budził w nim mieszane uczucia. Bardzo przypominał swoją matkę. Odziedziczył po niej głęboką, czekoladową barwę oczu i gęste kasztanowe włosy, które nosił modnie podgolone i zaczesane na bok. Maskował swoją urodę zbyt dużą firmową czapką Playboya z płaskim daszkiem i pstrokatą markową bluzą, odciągającą uwagę od niezwyklej twarzy. Mimo że Filip był wściekły, Adam zobaczył w jego ruchach i mimice brak pewności siebie. Chłopak był też nerwowy. O ile drzenie

rąk, widoczne podczas obsługiwanego wielkiego smartfona, można było usprawiedliwić emocjami i niedawną bójką, o tyle obgryzione niemal do krwi paznokcie stanowiły mocniejszy dowód. Adam nie uważał się za wytrawnego psychologa, ale takie sygnały odczytywał z łatwością.

Przez chwilę bawił się bezmyślnie telefonem, dopóki nie zdał sobie sprawy, że bezwiednie wystukał na klawiaturze dawny numer telefonu rodziców. Choć minęło tyle lat, zrobił to niemal automatycznie. Ciekawe, czy ten numer jeszcze do nich należał? Nawet nie wiedział, czy żyli. Bo jeśli tak, nie wątpił w to, że nadal mieszkali w małej kamienicy we Wrzeszczu. Kiedy jeszcze mieszkanie na Białej było także jego domem, rodzice powtarzali, że tu się zestarzeją i tu umrą. Uwielbiali pobliski rynek, na którym w każdy wtorek i piątek można było dostać świeże produkty od lokalnych rolników, oraz urokliwą, nieco zaniedbaną ulicę Wajdeloty. Choć jeśli wierzyć egzemplarzowi darmowej gazety, który Adam znalazł w kolejce SKM, miasto przeprowadziło jej rewitalizację. Rodzice pewnie byliby zachwyceni. Czy jeszcze żyli? Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w widniejący na ekranie numer, po czym wdusił czerwoną słuchawkę i cyfry zniknęły. Nie był jeszcze gotowy. Wewnętrzna ośmiornica mogła rozluźnić macki, ale czuł za plecami jej obecność. Wiedział, że jeśli tylko wykona odważniejszy ruch, ta na nowo oplecie go i pociągnie w głąbiny depresji. Poza tym cholernie się wstydził.

Po godzinie wrócił Filip. Zanim Adam zobaczył go w drzwiach windy, otrzymał esemesa od Ani: „Podążaj za białym króliczkiem”. Spojrzał na czapkę chłopaka i uśmiechnął się.

– Masz jechać ze mną. Polecenie od kierowniczkę – powiedział Filip.

Adam zauważył, że jego rysy złagodniały, a nawet odniósł wrażenie, że przez twarz chłopaka przebiegł cień rozbawienia.

– Trudno. Siła wyższa. – Schował telefon do kieszeni i dźwignął się z krzeselka.

Przed szpitalem czekała już na nich taksówka. Filip podał kierowcy adres mieszkania Ani. Piętnaście minut później samochód zatrzymał się przed wejściem do klatki schodowej. Kiedy chłopak regulował należność, Adam mimochodem zauważył gruby plik banknotów, którymi wypchany był skórzany portfel.

W mieszkaniu panowało przyjemne ciepło. Powietrze przenikał delikatny zapach środków antyseptycznych, którymi załoga karetki zdezynfekowała rany Ani. Kilka poplamionych krwią gazików wciąż leżało na dywanie, tuż obok sporej plamy krwi. Filip ściągnął buty i wszedł do kuchni. Wstawił do lodówki kilka butelek piwa, które kupił w pobliskim sklepie, nie pytając Adama o zdanie. Ten zwrócił jednak uwagę, że chłopak nie wybrał popularnych piw w puszkach, ale modne ostatnio kraftowe gatunki. Dzięki obserwacji wystaw sklepowych i billboardów, na którą miał wiele czasu w trakcie swoich wędrówek po mieście, Adam zdawał sobie sprawę z piwnej rewolucji. Oczywiście w poprzednim życiu kosztował bardziej ekskluzywnych trunków, mimo to wybór Filipa wzbudził jego uznanie.

Jeszcze zanim stracił wszystko, ulubionym gatunkiem piwa Adama był lambic. Wśród wielu znawców uchodziło za damskie piwo, jednak on je uwielbiał. To jeden z nielicznych gatunków, które poddaje się spontanicznej fermentacji. Produkuje się je tylko na niewielkim obszarze położonym na zachód od Brukseli. Charakterystyczna flora bakteryjna w dolinie rzeki Zenne zawierająca dzikie drożdże nadaje mu niepowtarzalny smak i aromat. Adam najbardziej upodobał sobie kriek – lambic z dodatkiem gorzkich wiśni. Był bardzo owocowy, intensywny i przypominał raczej wiśniowego szampana niż piwo. Patrycja za nim przepadała.

Wrócił myślami do rzeczywistości, gdy syn Ani niedbale zamknął drzwi lodówki. Nagle poczuł się niezręcznie. Ściągnął buty i kurtkę, po czym nieśmiało wszedł do salonu. Chłopak już siedział na kanapie. Odchylił głowę do tyłu i przetaił palcami oczy. Wyglądał na zmęczonego, ale Adam domyślał się, że chłopak wytrzeźwiał po nocnej balandze i właśnie nadchodzi kac. Przez długi czas milczeli. Filip zasypiał w pozycji siedzącej, a Adam rozglądał się po mieszkaniu

Ani z wygodnego fotela.

– Musimy to usunąć. – Wskazał głową plamę widniejącą niemal na środku dywanu.

– Mhm. – Filip pokiwał głową w półśnie. – Ale nie dziś. Jutro zamówię ekipę.

W narożniku pokoju, tuż za kanapą, stało kilka kartonów. Widocznie Anna nie zdążyła się do końca rozpakować. Mieszkanie, przez wiele lat wynajmowane lokatorom, nosiło ślady użytkowania, jednak nie było zniszczone. Wymagało raczej niewielkiego odświeżenia niż remontu. Na ścianie sąsiadującej z oknem umieszczono sięgającą sufitu biblioteczkę. Adam nie wątpił, że zarówno mebel, jak i zawartość pamiętają czasy ojca Anny. Tak właśnie pomyślał: ojca, a nie rodziców. Już dawno zwrócił uwagę, że Ania zaskakująco często wspomina zmarłego tatę, a znacznie rzadziej żyjącą matkę. Kiedyś napomknęła mimochodem, że jej mama wyprowadziła się z nowym partnerem – emerytowanym marynarzem z Gdyni – do Las Palmas. I chyba to mocno osłabiło ich relację.

Raz jeszcze przyjrzał się biblioteczce. Znaczna część z umieszczonych w niej książek należała do klasyki literatury, jednak wielu autorów i tytułów nie rozpoznawał. Żaden z nich nie powtarzał się z tomami, które ojciec Anny umieścił w domku letniskowym.

Gdy Adam przeglądał właśnie środkową półkę, ocknął się Filip. Przez chwilę patrzył na niego nieprzytomnym wzrokiem, dopóki nie przypomniał sobie, gdzie się znajduje i z kim. Potrząsnął głową, by się ocknąć, i zagadnął Adama:

– Skąd pan zna hiszpański i angielski?

Adam zwrócił uwagę na zmianę formy. Już nie byli na ty. Uznał to za właściwe, choć nie przeszkadzałoby mu, gdyby o połowę młodszy od niego chłopak mówił mu po imieniu.

– Sporo podróżowałem. Mieszkałem przez kilka lat w Barcelonie, Sewilli, Londynie i Nowym Jorku, jeśli ma to jakieś znaczenie.

– Serio? – Chłopak otworzył szeroko oczy ze zdumienia. – A ojciec mówił, że jest pan zwykłym żulem. Kloszardem znaczy się.

– Trochę jestem. – Adam uśmiechnął się gorzko. – Tylko twoja mama mnie poratowała.

– Ona już taka jest. Zawsze była. – Filipowi zaszklily się oczy. Spróbował to ukryć, odwracając się, ale spojrzenie Adama było szybsze.

– Wyglądasz na przygnębionego. To przez ten szpital?

– Też. Ogólnie wszystko się ostatnio chrzani. Rodzice się rozchodzą, mama się wyprowadziła, matura zbliża się wielkimi krokami...

– Słuchaj, wiem, że dla ciebie jestem tylko obcym facetem. Do tego kloszardem i żulem. Ale jak chcesz pogadać, to wiesz... – Adam zawiesił głos, czekając na zachętę ze strony rozmówcy.

Filip przez długą chwilę wpatrywał się w mężczyznę, analizując to, co usłyszał. Wreszcie podniósł się ciężko z kanapy i zniknął na chwilę w kuchni, z której przyniósł dwie butelki. Piwo było przeraźliwie zimne i Adam nie miał na nie ochoty. Mimo wszystko przyjął je, traktując jak nic porozumienia. Cóż, było to znacznie lepsze niż kolejne uderzenie w twarz.

– Ojciec wyrzucił mnie dzisiaj z domu – zaczął niespodziewanie Filip.

– Dlaczego?

– Wrócił wkurzony ze szpitala. Nalał sobie szklanę whisky, potem drugą. Zapytał, czy się uczyłem do matury, a potem zaczął odpytywać jak dzieciaka. Ze wszystkiego: z dat, z polskiego, z matmy. Nigdy przedtem tego nie robił. Widziałem, że szuka zaczepki. Chciałem się zmyć, ale mi nie pozwolił. Gdy już przybrał ten swój prawniczy ton, wygłosił kazanie o tym, jaki jestem.

– A jaki? – Adam z grubsza wiedział, jak Eryk traktuje syna, jednak uznał, że warto chłopaka posłuchać.

– Nierób. Gamoń. Debil. Czasem niedorozwój albo intelektualne warzywo. Wścieka się,

że nie wiem, co chcę w życiu robić, ale tutaj akurat ma rację.

– Naprawdę? – Adam zaczepnie uniósł brew. – Cóż, jesteś w takim wieku, że chyba masz prawo nie wiedzieć. Ja przez długi czas chciałem być pszczelarzem.

– Pszczelarzem? Dlaczego?

– Bo lubiłem miód. – Mężczyzna uśmiechnął się. – Każdy czegoś próbuje, o czymś marzy.

Filip niespokojnie poruszył się na kanapie, uciekając wzrokiem. Myślał intensywnie, o czym świadczyły nerwowo wyłamywane palce. Przez chwilę trzask stawów był jedynym dźwiękiem rozpraszającym ciszę.

– Też masz coś takiego, prawda? – odezwał się w końcu Adam.

– Nie. – Filip zajrzał do butelki. Potem pociągnął łyk piwa. – To głupie...

– Tylko luźno rozmawiamy.

– Trochę rysuję – wyznał i wzruszył ramionami zawstydzony. – Od dziecka miałem dobrą rękę, chciałem nawet iść do szkoły plastycznej, ale ojciec się nie zgodził.

– Dlaczego?

– Twierdzi, że wszyscy artyści to degeneraci. Że prędzej czy później rozpiłbym się albo zaczął ćpać. I co najważniejsze, artyści umierają biedni i zapomniani. A Turski nie może tak odejść. Nie mogłem mu przetłumaczyć, że da się połączyć zamiłowanie do sztuki z biznesem.

– A da się? – spytał Adam, starając się ukryć prowokacyjny ton. Doskonale wiedział, że tak.

– Jasne. Amatorsko zajmuję się poprawianiem wizerunku firm. Wyszukuję strony internetowe różnych firm i te, które mają nieciekawe, banalne, a czasami idiotyczne logo, staram się przekonać do swojego projektu. Wysyłam im czasem na zachętę dwie, trzy propozycje.

– I są zainteresowani? – Adam naprawdę był.

– Jasne. Ludzie w końcu zaczynają rozumieć, że pierwsze wrażenie jest naprawdę ważne. Zazwyczaj zgadzają się z moim punktem widzenia, jeśli chodzi o ich logo.

Filip wyjął z plecaka tablet i uruchomił go. Przez kilka minut pokazywał swoje projekty i realizacje. Adam był pod wrażeniem jego zmysłu estetycznego. Zaprojektowane przez Filipa logotypy były naprawdę atrakcyjne.

– Są świetne i wyglądają bardzo profesjonalnie. Pewnie nie narzekasz na brak klientów?

– Z tym różnie bywa – zafrasował się chłopak, przeczesując palcami bujną czuprynę. – Czasami chętnie je kupują, ale bywa też, że obrażają się za krytykę, bo pomysł na logo był ich autorstwa. Chciałbym kiedyś rozkręcić z tego większy biznes, tak by móc pogodzić projektowanie z malowaniem.

– To dlaczego tego nie zrobisz?

– Bo nie mam nic. Wykształcenia, kapitału, zaplecza... – Filip westchnął i upił kolejny łyk.

– Ale masz pomysł i pasję, a to najważniejsze. Resztę da się zdobyć, ale tego akurat nie.

– No nie wiem... – mruknął chłopak, ponownie wpatrując się w butelkę, i oboje na jakiś czas umilkli.

W końcu Adam przerwał milczenie.

– Słyszałeś kiedyś o Cliffie Youngu z Australii? – Historia o ultramaratończyku przyszła mu nagle do głowy i uznał, że warto, by Filip ją poznał.

– Nie, chyba nie.

– Niezła historia. Wiesz, ile wynosi dystans maratonu?

– Coś koło czterdziestu kilometrów, nie?

– Nieco ponad czterdzieści dwa kilometry. – Adam pokiwał w zamyśleniu głową. –

Wyobraź sobie, że w Australii organizowany był ultramaraton, najbardziej zabójczy bieg na świecie. Rozgrywano go pomiędzy Sydney a Melbourne, na dystansie ośmiuset siedemdziesięciu pięciu kilometrów. Biegło się tydzień.

– Jaja sobie robisz, prawda? – Filip spojrział na niego, oczekując puenty dowcipu, ale ta nie nastąpiła.

– Nie. Dalsza część tej opowieści jest jeszcze bardziej niewiarygodna, choć prawdziwa. Najlepszym biegaczom przebiegnięcie tego dystansu zajmuje prawie tydzień. Średnia wieku poniżej trzydziestki, starsi nie dają rady. Jest rok 1983. Na starcie zjawia się niejaki Cliff Young. Wygląda jak chłopak-roztropek, wszyscy sądzą, że to jeden z miejscowych farmerów. Ma sześćdziesiąt jeden lat, jest ubrany w roboczy drelch i kalosze. Gdy podchodzi do stolika, żeby odebrać numer, ludzie myślą, że to żartowniś albo wariat. Padają pomysły, że to prowokator albo aktor z kampanii reklamowej. W najlepszym wypadku głupek, który odpadnie po kilometry. Półtorej setki zawodowych, utytułowanych biegaczy pokłada się ze śmiechu. Za to media go uwielbiają, węsząc sensację, nawet kosztem śmierci zawodnika w trakcie biegu. Dziennikarze przeprowadzają z nim wywiad. Facet mówi, że nazywa się Cliff Young i wraz z matką prowadzi duże rancho w okolicach Melbourne, na którym hodują owce i uprawiają kartofle. Pada pytanie: „Chyba nie myślisz, że dasz radę przebiec cały ultramaraton?”, na co Cliff odpowiada: „Jasne, że dam. Od dziecka żyję i pracuję na farmie, gdzie hodujemy dwa tysiące owiec na ośmiuset hektarach ziemi. Całe życie ganiałem za owcami, czasami dwa albo trzy dni bez przerwy, dopóki wszystkich nie zagoniłem. Równie dobrze mogę przebiec ten maraton, to tylko dwa, trzy dni więcej”. Jak myślisz, co się stało dalej?

– Umarł po drodze? – Filip wyglądał na wyraźnie zaintrygowanego.

– Człowieku małej wiary! – wykrzyknął Adam i się roześmiał. – Na początku rzeczywiście Cliff został daleko w tyle za biegaczami, w dodatku bawił wszystkich swoim śmiesznym kaczym truchtem. Cała Australia zamarła przed telewizorami, modląc się, aby ktoś powstrzymał wariata, zanim umrze. Profesjonalni biegacze wspierani przez światowe korporacje i sztaby medyczne wiedzieli, że aby ukończyć maraton i przeżyć, trzeba spać minimum sześć godzin na dobę. Wiedzieli o tym wszyscy z wyjątkiem pana Younga. Wyobraź sobie zdziwienie kibiców i uczestników, kiedy okazało się, że „dziadek” nie odpadł po pierwszym dniu. Co więcej – zbliżył się do czołówki. Biegł i biegł, i biegł. Każdego dnia w niezrozumiały dla uczestników sposób zbliżał się do nich. Ostatniej nocy wyprzedził całą światową czołówkę zawodników zdolnych do udziału w ultramaratonie.

– Wygrał?

– Wygrał – przytaknął Adam i pociągnął z butelki. – Pobił dotychczasowy rekord trasy o dwa dni! Australia zwariowała na jego punkcie, okrzyknięto go bohaterem narodowym. Był najstarszym człowiekiem, który wygrał ultramaraton. Zwyciężył, bo nikt mu nie powiedział, że można – ba! trzeba – spać. Po dogłębnych analizach jego śmieszny kaczmy trucht okazał się najbardziej korzystnym pod względem aerodynamiki stylem biegania długodystansowego na świecie i do dzisiaj jest wykorzystywany przez ultramaratończyków.

– Rzeczywiście, niezła historia. – Filip uśmiechnął się szczerze.

– Facet nawet nie wiedział, że jest jakaś nagroda za zwycięstwo. A była, całe dziesięć tysięcy dolarów. Young podzielił je pomiędzy wszystkich, którzy ukończyli bieg. Wiesz, po co ci to wszystko opowiadam?

– Trochę się domyślam...

– Jeśli masz pomysł i chęci, to nie patrz na innych, tylko próbuj. Sukces – jeśli go osiągniesz – będzie tylko produktem ubocznym twojej pasji. Niech cię nie zrażają negatywne komentarze, śmiech, drwiny, tak jak Cliffa Younga. Po prostu rób to, czego pragniesz.

Filip w zamyśleniu pokiwał głową. Przez dłuższą chwilę milczeli, popijając piwo. Adam lubił tę historię, choć wersja opowiedziana Filipowi nie do końca odpowiadała prawdzie. Young nie biegł w kaloszach, spał po kilka godzin w nocy, a w wyścigu brało udział nie stu pięćdziesięciu zawodników, lecz jedynie jedenastu. Jednak ta podkolorowana wersja była popularna w mediach i bardzo ją lubił właśnie za jej baśniowo-romantyczny wydźwięk. Dla kogoś, kto miał marzenia, ale nie był pewny, jaka droga wiedzie do ich realizacji, była idealna.

– Dzięki. – Filip uśmiechnął się po raz kolejny. Wyciągnął rękę do Adama. – Jest pan w porządku. Przepraszam, że nazwałem pana żulem i kloszardem.

– Mów mi po imieniu. – Mężczyzna uścisnął wyciągniętą dłoń i uśmiechnął się ciepło. – Adam.

Rozmawiali, dopóki pora nie zrobiła się wczesna, a lodówka pusta. W sposobie mówienia Filipa i jego głosie można było dostrzec podobieństwo do ojca, choć w jego gestykulacji kryło się sporo nerwowości. Kiedy chłopak poczuł się już swobodniej w towarzystwie Adama, porzucił nieco irytującą młodzieżową manierę. Anna miała rację. Jej syn był wrażliwym, inteligentnym młodym człowiekiem, rozpaczliwie pragnącym akceptacji ojca. Każde zaniedbanie ze strony Eryka Filip natychmiast usprawiedliwiał jego trudnym dzieciństwem, zapracowaniem, specyficznym charakterem relacji Eryka z Emilianem.

Adam dostrzegł wyraźnie, w jakiej kwestii Anna się myliła. Filip nie pozostał w domu z Erykiem dlatego, że został przekupiony, że imponował mu luksus, jakim otaczał się ojciec. Był w nim dlatego, że w niezrozumiały, irracjonalny i rozpaczliwy sposób próbował zbliżyć się do ojca. Kiedy Adam spróbował mu to delikatnie zasugerować, chłopak się nastroszył.

– Nie wiedziałem, że jesteś ekspertem od rodzicielstwa – powiedział ze zmarszczonym czołem. – Masz dzieci?

Adam w ułamku sekundy znalazł się siedem tysięcy kilometrów od miejsca, w którym siedział. Był w swojej sypialni w nowojorskim domu. Poczł zapach gotowanej przez Patrycję owsianki. Z nastawionego zbyt głośno radia dobiegały dźwięki piosenki Beatlesów. Irytowało go, gdy tak głośno słuchała muzyki. Ostatnio wiele rzeczy wprawiało go w ten stan. Naciągnął na siebie kołdrę i przewrócił się na drugi bok. Łagodne światło poranka wpadało przez duże okno dachowe, co nie przeszkadzało mu spać dalej. Był już na granicy snu, kiedy usłyszał dobiegający z korytarza tupot stóp obutych w sandały o rozmiarze dwadzieścia pięć. Patrycja znów nie zamknęła bramki na schodach. „Kiedyś skończy się to tragedią”, pomyślał. Chwilę później niewielka ciepła rączka wsunęła się pod kołdrę, szukając ogromnej – jak na standardy trzylatka – dłoni Adama.

– Tato, chooodź! – Głosik Julka wdarł się przemocą do jego umysłu.

Adam otworzył jedno oko. Zobaczył przed sobą niebieskookiego chłopczyka o włosach tak jasnych, że niemal białych. Ze swoich zdjęć z dzieciństwa i opowiadań matki Adam wiedział, że również miał jasne włosy, ale z synem nie mógł się równać. Oczy malca miały jaśniejszy, weselszy odcień niebieskiego. Po Patrycji odziedziczył zaś ich niesamowity, migdałowaty kształt.

– Tato, chooodź! – Julek wyciągnął dłoń ojca spod kołdry.

Adam jęknął. Wrócił z restauracji o czwartej nad ranem. Uniósł spuchnięte powieki i zerknął na elektroniczny zegar stojący na komodzie. Ogromne zielone cyfry wskazywały kwadrans po ósmej. Nie był w stanie się ruszyć. Zmęczone i zeszywniałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Co on, do cholery, zrobił ze swoim życiem? Była niedziela, ósma rano. Normalni ojcowie o tej porze siedzieli w piżamach na ganku, chrupali tosty z dżemem figowym, popijając poranną kawę, i czytali weekendowe wydanie gazety, podczas gdy ich pociechy skakały na trampolinie. Dopóki słyszeli ich radosne krzyki, mogli w spokoju oddawać się lekturze. Po

dziesiątej zwykle cała rodzina wyruszała na mszę rozpoczynającą się o godzinie jedenastej. Po skończonym nabożeństwie spędzali jeszcze dłuższą chwilę na pogawędkach z pastorem i dawno niewidzianymi znajomymi, po czym niespiesznym krokiem udawali się na lunch albo barbecue u znajomych. Potem następował podział na kibiców baseballu, koszykówki, futbolu amerykańskiego i lacrosse'a. Część ojców wraz z synami szła na hale lub stadiony, by oddać się szaleństwu kibicowania, część zostawała w domu przed telewizorami.

Adam nie zaliczał się do żadnej z tych grup. Nie dlatego, że Julek miał dopiero trzy latka. Po prostu po całym tygodniu harówki mężczyzna przez trzy czwarte następnej doby był pozbawiony sił i energii. Nawet Patrycja dała już sobie spokój z gotowaniem niedzielnych obiadów. Uznała – zresztą słusznie – że nie ma sensu przygotowywać dużego posiłku dla niej i Julka. Adam i tak zwykle nie wstawał przed siedemnastą. Nie pomagała ani piekielnie mocna kawa, ani napoje energetyczne.

– Tato, chooodź! – Trzylatek nie ustępował. Potrafił być wyjątkowo uparty, ale to akurat mógł odziedziczyć po obojgu rodzicach. – Tatusiu, autobus ceka. – Malec ciągnął Adama za rękę, zaciskając drobne paluszki na dwóch palcach jego dłoni.

W pokoju syna stał autobus zbudowany z kartonu po kosiarce. Patrycja postarała się nawet o lusterka, naklejając na kawałki kartonu folię aluminiową. Pojazd miał wycięte drzwi i okna. W środku ustawiono dwa maleńkie krzeselka. Problem z „autobusem” był jednak taki, że znajdował się on w sąsiednim pokoju. A w tej chwili Adamowi wydawał się on odległy o lata świetlne.

Nie poszedł. Następnej nocy wyciągnął z wanny zimne, martwe ciało syna. Wiedział, że wołanie Julka będzie towarzyszyło mu już do końca życia.

– Miałem – odpowiedział Adam ze ściśniętym gardłem, po czym głos mu się załamał.

Filipa aż wcisnęło w fotel. Oczy mężczyzny były ciemne niczym rozjuszony sztormem ocean i wydawały się nie mieć dna. Chłopak przełknął głośno ślinę i zamrugał, wlepiając wzrok w Adama. O nic więcej już go nie zapytał. Nie był w stanie znieść bólu widocznego na zmęczonej twarzy mężczyzny.



## Rozdział 8

Noc przyniosła wszystkim ukojenie. Adam zasnął szybciej niż Filip i teraz wciąż spał na kanapie, przykryty ulubionym kocem Anny. Nie obudził go ani szum prysznic, ani donośne warczenie ekspresu wypływającego z siebie gorącą kawę, której Filip desperacko dziś potrzebował.

Chłopak stał przez chwilę przy oknie, wpatrując się w poranny ruch. Dwa pasy Bulońskiej szczerlnie wypełnione samochodami i autobusami pustoszały z każdą zmianą świateł, by po chwili wypełnić się ponownie. Padający od wielu dni deszcz dał chwilowe wytchnienie kanalizacji burzowej i ludziom zmęczonym jesienią w zimnym i mokrym wydaniu. Filip nie łudził się jednak, że opady ustały na dłużej. Szare chmury gęsto zaścielały niebo, a wiatr niemal wypychał jedno na drugie. Podobnie jak większość ludzi Filip tęsknił już za skrawkiem błękitnego nieba, który odegnałby jesienną deprechę.

Spoglądał właśnie na nowo wybudowane wieżowce u wylotu Bulońskiej, których górne piętra skrywały nisko wiszące chmury, gdy z zamyślenia wyrwał go dźwięk wibrującego na kuchennym stole telefonu.

„Wypis o 12. Odbierzesz mnie?”.

Sunąc szybko palcem po ekranie, odpisał matce, że przesadzili z alkoholem i próbują właśnie wrócić do świata żywych. Do południa miał nadzieję zupełnie wytrzeźwieć. Zanim skończył, usłyszał skrzypnięcie kanapy w dużym pokoju. Schował telefon do kieszeni i ponownie włączył ekspres do kawy. W korytarzu ukazał się Adam przeczesujący palcami zmierzwiłone włosy. Wydał mu się starszy niż poprzedniego dnia. Filip wyraźnie widział bruzdy przecinające jego czoło i zmęczone, smutne oczy. Spojrzał na trzymany przez mężczyznę telefon.

– Cześć. Też dostałeś esa od mamy?

– Też. Napisała, że mam przyjechać z tobą – odpowiedział Adam głosem wciąż zachrypniętym od snu.

– Chcesz kawę? – Filip wskazał ruchem głowy na ekspres. Nie czekając na odpowiedź, odstawił swój kubek na parapet i podszedł do rozgrzanej maszyny. – Jaką pijesz?

– Podwójne espresso, jeśli można. Pójdę się odświeżyć.

Mężczyzna zniknął w łazience. Gdy wrócił, filiżanka z parującą zawartością stała już na stole kuchennym. Obok na dużym okrągłym talerzu piętrzył się stos kanapek, na których widok zaburczało mu w żołądku.

– Nie jestem mistrzem. W ogóle to rzadko jadam śniadania. – Chłopak zrobił przepraszającą minę. – Mamę zawsze to wkurzało. Chleb jest trochę czerstwy.

– Nie szkodzi. Głód jest najlepszym kucharzem.

– Dobre! – Filip uśmiechnął się, sięgając po kanapkę. – Tego nie znałem.

– Powiedzenia czy głodu?

Zapadła niezręczna, przedłużająca się cisza, a na twarzy Filipa zaczął wykwitać rumieniec. Adam odkrył jego czułe miejsce. Kiedy ktoś chciał mu dopiec, robił aluzję do jego pochodzenia. Znajomi wiedzieli, że Filip wścieka się na łatkę chłopaka z bogatego domu. Bo zdaniem znajomych właśnie taki był: rozpieszczony, delikatny, wychuchany jedynak.

„Turski!” – warknęła kiedyś matematyczka, zirytowana nieuwagą Filipa, który wpatrywał się w okno. – To, że jesteś z zawodu synem, nie wystarczy do skończenia tej szkoły”.

Przez długi czas Filip znosił uszczypliwe uwagi tej nauczycielki. Tym razem kropla przelała czarę goryczy. Potem wszystko potoczyło się w ekspresowym tempie. Tylko dzięki wstawiennictwu innych pedagogów nie wyleciał ze szkoły. Do końca roku został zawieszony

w prawach ucznia i przeniesiony do klasy, w której matematyki nauczał kto inny.

– Przepraszam. Uraziłem cię? – zapytał Adam, zaniepokojony wyrazem twarzy chłopaka.  
– Nie chciałem...

– Wiem. – Filip się rozpogodził. – Po prostu trafiłeś w mój czuły punkt. Jak ktoś chciał mi w szkole dowalić, to nazywał mnie Rockefellerem. Albo dzieciakiem z bogatego domu. Tak, zawsze dzieciakiem.

– Dlaczego tak się tym przejmujesz?

– Bo wszyscy utożsamiają mnie z nierobem, któremu brakuje ambicji. – Chłopak wbił wzrok w kubek z kawą. – No dobra, przyznaję, że lubię korzystać z pieniędzy ojca. Czasami przeginałem z szastaniem hajsem. Tata często powtarza, że jeśli nie mogę się pochwalić niczym innym, to chociaż pieniędzmi powinienem. Pewnie ma rację, chociaż chciałbym, żeby ludzie szanowali mnie za to, co robię, a nie za grubość portfela...

– To zrób coś, daj im powód do szacunku. Zaczynaj od podstaw, tak zdobywa się najcenniejsze doświadczenia. Na zmywaku, na magazynie, na ulicy. Polacy zazdroszczą bogatym, ale ich nie szanują. Sądzą, że za każdą fortuną kryje się przekręt, za każdym majątkiem – złodziej. Amerykanie uwielbiają historie w stylu „od zera do milionera”. Tutaj bardziej cieszy „od milionera do zera”. Twój ojciec jest tego dobrym przykładem. Widziałem ten błysk w jego oku, kiedy mógł sobie ulżyć i nazwać mnie obszcymurem, brudasem, łachudrą.

– Pewnie gdyby wiedział, ile świata zwiedziłeś, potraktowałby cię inaczej.

– Teraz to bez znaczenia, ale szacunek należy się każdemu, nawet najbardziej sponiewieranemu przez życie. – Adam upił łyk espresso i zapatrzył się w okno.

Przez chwilę milczeli. Zatopieni w myślach, obserwowali niewielki ruch uliczny. Kiedy wrócili do rozmowy, po niedawnym napięciu nie było już śladu. Przez następnych kilka godzin rozmawiali na wszystkie możliwe tematy. Filip wyjaśnił Adamowi różnicę pomiędzy „noobem” a „pro”, SWAG-iem a hashtagiem, jak daje się lajki, a jak hejtuje. Chłopak wydawał się początkowo rozbawiony niewiedzą Adama, dopóki nie zrozumiał, że wynika ona z wyizolowania mężczyzny ze społeczeństwa, a nie z jego ignorancji. Dzięki biegłej znajomości języka angielskiego Adam był w stanie bez trudu rozszyfrować popularne wśród młodzieży skrótowce, takie jak YOLO, LOL, ROTFL czy ASAP.

Adam z kolei wyjaśnił Filipowi różnice pomiędzy tortillą hiszpańską a meksykańską, śledziem bałtyckim a atlantyckim oraz pomiędzy papryczkami jalapeño, habanero a tabasco. Syn Anny był ciekawy świata i chłonał opowieści mężczyzny, niemal zapominając o otaczającym świecie.

– Czy jest coś, czego nie byłeś w stanie zjeść podczas swoich podróży? – zapytał Filip z zainteresowaniem.

– W zasadzie starałem się spróbować wszystkiego. Niestety, niektóre regionalne potrawy są dość... odpychające.

– Jak te kiszony śledzie ze Szwecji?

– Na przykład, choć nie są najgorsze. – Adam zaczął szperać w pamięci w poszukiwaniu najbardziej obrzydliwego jedzenia, jakiego miał okazję spróbować. – Niektóre dania odrzucają już na wstępie, gdy widzisz, jak są przygotowywane. W Mongolii popularna jest potrawa, którą miejscowi nazywają boodog. To kozina gotowana wewnątrz wypatroszonej kozy, do której – niczym do skórzanego garnka – wrzuca się rozgrzane w ognisku kamienie. Zupa z nietoperza w Tajlandii wygląda fatalnie. Ale nie trzeba daleko sięgać. Na Sardynii przysmakiem jest casu marzu – ser owczy z żywymi larwami much. Jeśli larwy się ruszają, to ser jest dobry, a jak są martwe, to raczej nie nadaje się do spożycia.

– Dobra – Filip odsunął od siebie talerz z niedokończoną kanapką – żałuję, że spytałem.

\* \* \*

Filip Turski był rozdarty. Od kiedy poznał Adama, nie tylko uważnie go obserwował, ale także intensywnie o nim myślał. Choć pamiętał o obietnicy złożonej swojej mamie, to wiedział, że jeśli zajdzie taka konieczność, będzie musiał stanąć w jej obronie. Mimo pozornie nonszalanckiego i swobodnego tonu wewnątrz był napięty jak struna, wyczekując momentu, w którym jego rozmówca się wyłoży. Musiało się to przecież kiedyś zdarzyć. W normalnych okolicznościach nie zwracałby sobie gościem głowy, chociaż musiał przyznać, że jeśli choć część jego opowieści była prawdziwa, to Adam mógłby nimi zapełnić niejedną książkę. Filip spokojnie czekał na jego potknięcie, uważnie analizował każde słowo mężczyzny, starał się znaleźć najmniejszą lukę w jego historii. Spodziewał się, że Adam odsłoni w końcu prawdziwy cel znajomości z jego matką. Właściwie chłopak oczekiwał ataku, jednak ten nie następował. Było wręcz przeciwnie.

Filip kochał swoją matkę nadzwyczaj mocno i wiedział, że cokolwiek zrobi, zawsze pozostanie jej ukochanym synem. Już dawno zrozumiał, że miłość matczyna jest bezwarunkowa, w przeciwieństwie do ojcowskiej, na którą w taki czy inny sposób trzeba zasłużyć. Do pewnego momentu miał nadzieję, że jest bliski osiągnięcia celu. Liczył, że ojciec wreszcie dostrzeże potencjał, jakim dysponował jego syn. Widocznie jednak Eryk Turski zawiesił poprzeczkę ojcowskiej miłości wyjątkowo wysoko. Kiedy mama wyprowadziła się z domu, chłopak dostrzegł w tym szansę na poprawę relacji z ojcem. Przez pierwsze miesiące łudził się nadzieją, że rozstanie da Erykowi do myślenia, jednak tak się nie stało. Jedyne, co zmieniło się w ich relacji, to pieniądze z ojcowskiej kieszeni, które zaczęły płynąć szerokim strumieniem. Chłopak naiwnie sądził, że nieumiejętność okazywania przez ojca uczuć wynika z bolesnych doświadczeń z dzieciństwa.

Dzięki ostatnim wydarzeniom Filip zrozumiał, jak bardzo się mylił. Eryk Turski był pozbawiony wszelkich ludzkich odruchów. Mama miała rację. Ojciec próbował go sobie zjednać w najbardziej bezpośredni i prosty sposób – za pomocą kasy. A on, głupi, dał się na to nabrać. Im więcej o tym myślał, tym bardziej było mu wstyd wobec mamy. Powinien był się wyprowadzić razem z nią. Teraz czuł się, jakby ją zdradził i zawiódł jej zaufanie. Dlatego postanowił bezwarunkowo wypełnić jej prośbę, wyjątkowo wyraźnie wyartykułowaną przez nią podczas odwiedzin w szpitalu.

– Co zrobiłeś?! – wrzasnęła Anna, aż echo rozległo się pod sufitem szpitalnej sali.

– Uderzyłem go. – Chłopak spuścił wzrok, wpatrując się w splowiały emblemat szpitala na pościeli.

– Filip, co się z tobą dzieje, do cholery? Od kiedy to bijesz ludzi?

– Mamo... – Ukrył twarz w dłoniach. I tak miał już ogromne poczucie winy wobec chudego mężczyzny ze szpitalnej poczekalni. Kiedy podniósł oczy na matkę, szklily się lekko. – Ja już nie daję rady z tym wszystkim.

– Wiem, kochanie. – Anna dźwignęła się z pozycji półleżącej i przyciągnęła do siebie syna, całując go w bujną czuprynę. Jej głos złagodniał. – Musimy jakoś przez to przejść. Chcę jednak, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Mam go przeprosić?

– Nie tylko. Adam uratował mi życie, i to dwa razy. To dobry człowiek. Chcę, żebyś zabrał go do mieszkania na Morenie i zaopiekował się nim przez kilka dni, dopóki nie wyjdę – poinstruowała syna, patrząc mu głęboko w oczy.

– Mamo... czy ty i on...? – zapytał Filip, wspominając słowa ojca.

– Kochanie, jesteśmy tylko znajomymi. Oboje mamy za sobą trudne przejścia. Nie

wybiegajmy zbyt daleko w przyszłość, bo na razie nie wiemy nawet, co czeka nas jutro. No, zmykaj już.

O nic więcej nie pytał, tylko starał się spełnić prośbę matki co do joty. Był jej to winien. To i o wiele więcej. Gdzieś w połowie wieczoru zaczął opuszczać gardę. Adam był typem człowieka, którego nie sposób było nie lubić. Filip miał wrażenie, że starszy od niego mężczyzna jest idealnie poukładany i wyważony. Był spokojny, ale nie nudny. Powściągliwy, ale nie mruk. Pewny siebie, ale nie zadufany w sobie.

Tego ranka Filip zebrał się w sobie i spytał wprost:

- Adam, i co dalej?
- Pojedziemy po twoją mamę w południe. A później się zobaczy.
- Nie o to pytam. Co dalej z tobą? Wiesz, że mama chce sprzedać domek w Jantarze?
- Wiem – odpowiedział Adam bez zastanowienia, jakby pytanie dotyczyło błahej sprawy.
- Zobaczymy. Pewnie pójde swoją drogą. Widzisz, w życiu kogoś takiego jak ja każdy dzień to zagadka. Znam takich, dla których najważniejsze pytanie nie brzmi „jak będę żył jutro?”, tylko „czy będę żył jutro?”. Ja, odpukać, jakoś się trzymam. Byle do wiosny. Wiosną jest łatwiej.

Filipowi zrobiło się go żal. Jakkolwiek miał wobec Adama mieszane uczucia, z każdą chwilą stawały się one cieplejsze. Z jednej strony wydawało się niemożliwe, by zaufać komuś i polubić go w ciągu kilku godzin. Z drugiej strony przez ten czas nieznanemu mężczyźnie rozmawiał z nim dłużej niż jego ojciec w ciągu całego życia. Mimo że głos rozsądku podpowiadał, że to szaleństwo, postanowił zaufać matce, której intuicja nigdy nie zawodziła. Poprawka – zawiodła ją jeden jedyny raz, ale gdyby nie ta pomyłka, Filipa nie byłoby na świecie.

– Spoko, coś ogarniemy – stwierdził chłopak i niespodziewanie dla siebie poklepał Adama po ramieniu. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, rozumiejąc się bez słów. W końcu starszy mężczyzna spojrzął na zegar w kuchni.

– Dobra, czas się zbierać. Dzwonię po taksówkę.

O wpół do dwunastej byli już w drodze do szpitala.

\* \* \*

Anna obudziła się o szóstej, co zadziwiło ją samą. Zwykle gdy miała taką możliwość, spała do dziewiątej lub dziesiątej. Dziś była dziwnie podekscytowana. Otworzyła oczy, słysząc ruch na korytarzu, gdy jeszcze za oknem panowała ciemność. Pomimo bólu pękniętych żeber, pulsującego przy każdym ruchu, nigdy nie czuła się lepiej. To, jak rozegrała wczorajsze spotkanie z Erykiem, napawało ją nieskrywaną dumą. Czuła, jakby z jej rąk i nóg spadły niewidzialne kajdany. Gdyby nie jej stan fizyczny, rzuciłaby się w wir pracy. Zabrałaby się do sprzątania mieszkania i wyczyściła je na błysk. Podobnie chciała uporządkować swoje życie, choć zdawała sobie sprawę, że jest dopiero na początku drogi. Wbrew popularnej ostatnio feministycznej propagandzie – jak to określał Eryk – sprzątanie miało dla Anny dużą wartość. Kiedy po sześciu godzinach padała zmęczona na skórzaną kanapę w ich olbrzymim salonie, czuła się równie oczyszczona co meble, podłogi i okna trzystumetrowego domu.

Zjadła z apetytem śniadanie, choć chleb nie był pierwszej świeżości, a dżem na pewno nie należał do niskosłodzonych. Przed siódmą była spakowana, zdążyła także spotkać się z ordynatorem, jeszcze zanim ruszył na obchód. Ostatnie dni znacząco wzmocniły jej pewność siebie. Starszy mężczyzna próbował ją przekonać, że zbyt wcześnie chce opuścić szpital. Uważał, że powinna zostać jeszcze kilka dni na obserwacji. W końcu, widząc błysk w oku Anny, ustąpił pod warunkiem, że niecierpliwa pacjentka podda się badaniu kontrolnemu przeprowadzonemu przez lekarza dyżurującego. Z tym nie mogła już dyskutować.

Pozostały do wypisu czas poświęciła na uporządkowanie spraw zawodowych. Jej

przełożona Wiktoria, z którą łączyły Annę bardziej koleżeńskie niż oficjalne relacje, wykazała się dużym zrozumieniem. Wiedziała już wcześniej o wypadku, jednak teraz Anna mogła ze szczegółami opowiedzieć szefowej o tym, co się stało. Nie ze wszystkimi oczywiście. Wiki nie tylko ze spokojem przyjęła informację o zwolnieniu lekarskim, ale także bez problemu zgodziła się na dłuższy niż zazwyczaj urlop wypoczynkowy, o który wystąpiła podwładna. Zimowa kampania reklamowa była prawie ukończona i zespół, nawet pozbawiony jej pomocy, powinien sobie poradzić. Poza tym kto bierze trzytygodniowy urlop w listopadzie?

– Cześć, mammo.

Głos Filipa wyrwał ją z zamyślenia, gdy przez szpitalne okno obserwowała moknących przechodniów. Oczywiście padało. Od wielu tygodni aura przypominała zdartą płytę, odtwarzającą w kółko ten sam utwór.

Spojrzała na syna, który miał w oku figlarny błysk. Za Filipem w drzwiach ukazał się Adam z tym swoim nieodgadnionym wyrazem twarzy, który jednocześnie ją intrygował i irytował. Ufała synowi i wiedziała, że jeśli obiecał jej traktować Adama z należyтым szacunkiem, to słowa dotrzyma. Miała tylko nadzieję, że należyty szacunek oznacza dla nich mniej więcej to samo.

– Cześć! – Rozpromieniła się na ich widok. – Wypaliście się?

– Tak... – odpowiedział Filip, wymieniając znaczące spojrzenie z Adamem.

– Chyba nie poszłicie na miasto? – Anna zrobiła nachmurzoną minę, chociaż w zasadzie nie miałyby nic przeciwko temu. Była dziwnie spokojna, gdy wiedziała, że jej syn jest z Adamem. To raczej napięcie między nimi się obawiała, choć sądząc po ich minach – najwyraźniej niepotrzebnie.

– Pewnie, że nie, mammo. Słowo harcerza. – Filip dwukrotnie uderzył się pięścią w tors.

– Przecież ty nigdy nie byłeś harcerzem. – Uśmiechnęła się i puściła do niego oko. – No, chyba możemy się zbierać.

– Aniu, na pewno wiesz, co robisz? – odezwał się milczący dotychczas Adam. – Może faktycznie powinnaś zostać jeszcze dzień czy dwa na obserwacji? Wiesz, nie wszystkie urazy dają objawy od razu...

– Czuję się świetnie! – Zgromiła go wzrokiem. – A jeszcze lepiej poczuję się, gdy tylko stąd wyjdę. Chodźmy po dokumenty.

Opuszczając szpital, Anna rozglądała się uważnie i z ulgą stwierdziła, że nigdzie nie widać Eryka. Co prawda miała go w garści, ale wiedziała, że ten człowiek jest nieobliczalny. Na Morenę dotarli jeszcze przed korkami, które niepogoda w niezrozumiały sposób potęgowała.

Z czułością spojrzała na zaparkowane pod blokiem żółte mini, którego uszkodzenie kłuło ją w oczy niemałą skargą. Mijając zepsuty domofon, Anna obiecała sobie, że jak najprędzej zatelefonuje do administracji z prośbą o naprawienie go. I drzwi. O tak, nowe, solidne drzwi. Lista rzeczy do zrobienia rosła, co wbrew pozorom ją ucieszyło.

Wchodząc do mieszkania, walczyła z irracjonalnymi myślami, że zobaczy to miejsce takim, jakim było zaraz po napadzie. Wszystko znalazło się jednak z powrotem na swoim miejscu, pozostałości po szklanym stoliku starannie wysprzątano. Nawet dywan, który musiała pobrudzić krwią, wyglądał jak nowy. Odetchnęła z ulgą, choć niedawne wydarzenia pozostawiły w niej okrucieństwo niepokoju. Rozejrzała się, układając w głowie plan działania.

– Mammo, co ty robisz? – zainteresował się Filip, gdy po wypiciu kawy Anna wyciągnęła z szafy sporą walizkę.

– Pakuję swoje rzeczy. Przenoszę się do Jantaru. Wszyscy się przenosimy. – Spojrzała na syna znacząco. Coś w jej wzroku sprawiło, że chłopak zaprzestał dalszych pytań i dyskusji.

O tym, jak będzie wyglądało jej życie po wyjściu ze szpitala, myślała długo. Wydarzenia

ostatnich dni były tak niewiarygodne, że na ułożenie ich w logiczną całość potrzebowała wiele czasu, którego w szpitalu na szczęście nie brakowało. Pomimo dobrego samopoczucia nadal wymagała opieki i pomocy w niektórych czynnościach, choć przyznanie się do tego przed samą sobą kosztowało ją wiele wysiłku. Drugą rzeczą, której potrzebowała, było towarzystwo Adama. Przez ostatnie tygodnie spędzali ze sobą tak wiele czasu, że zdążyła się przyzwyczać – ba, uzależnić! – od obecności tego spokojnego, pełnego dobrej energii mężczyzny.

– To moje życie i moja decyzja – mruknęła do siebie, gdy biła się z myślami w szpitalnej sali.

To właśnie wtedy postanowiła zrobić coś, co jeszcze rok temu wydałoby się całkowitym szaleństwem – złamać wszystkie konwenanse. Bo w końcu dlaczego nie? Nawet jej matka, która przez sześćdziesiąt lat wiodła przykładne życie pani profesorowej, leżała teraz na plaży w Las Palmas na Wyspach Kanaryjskich i popijała piña coladę. Bardzo przeżyła śmierć męża, na kilka lat zamknęła się w domu i nie udzielała się towarzysko. Ale gdy poznała Romka – emerytowanego ochmistrza z promów do Szwecji – po roku znajomości wyprowadziła się na Kanary. I choć wiele dzieliło obie kobiety, to Anna musiała przyznać, że jej matka potrafiła zadbać o swoje szczęście. Więc dlaczego i ona nie miałyby zrobić wreszcie czegoś, co ją uszczęśliwi? Zapewne niejedną osobę ten przewrót w życiu Anny Turskiej wprowadziłby w zdumienie lub zgorznienie, lecz nie dbała o to. W tej chwili dbała tylko o siebie, Filipa i Adama. Cała reszta mogła nie istnieć.

Wiadomość, że Eryk wyrzucił syna z domu, nie zaskoczyła jej, choć wywołała mieszane uczucia. Jej mąż był do tego zdolny, ba, nie musiał się nawet specjalnie wysilać. Takie impulsywne działania przychodziły mu łatwo. Z jednej strony współczuła synowi, bo wiedziała, jak wiele wysiłku włożył w próbę zbliżenia się do ojca i jak wiele poniżeń był w stanie znieść w oczekiwaniu na akceptację, której nigdy nie zyskał. Mimo zawodu, jaki Filip musiał odczuwać, cieszyła się jednocześnie, że chłopak wreszcie ujrzał ojca takim, jakim był naprawdę, choć zapewne minie wiele czasu, zanim uda mu się z tym pogodzić. W sytuacji, w której się znaleźli, obecność syna upewniła ją w słuszności decyzji podjętej w szpitalnej sali.

\* \* \*

W czasie, gdy Anna pakowała walizkę, Adam milczał, wpatrując się w okno. Sytuacja zaskoczyła ich obu – Filip również wyglądał na zmieszanego. W ciągu kilku dni wydarzenia przybrały nieoczekiwany obrót i Adam poczuł, jak grunt usuwa mu się spod nóg. To, że Ania była właścicielką domu i do niej należała decyzja, kto w nim mieszka, nie ulegało wątpliwości.

Znalazł się w potrzasku. Wiedział, jak wiele jej zawdzięcza, a najcenniejszym, co mu ofiarowała, było zaufanie. Bo przecież gdy się poznali, był obrazem nędzy i rozpacz. Większość ludzi nie obdarzyłaby go nawet kubkiem gorącej herbaty. Z drugiej strony bał się tego, jak bardzo może zawieść zaufanie Anny teraz, kiedy mieli zamieszkać pod jednym dachem. Byle drobiazg mógł spowodować katastrofę, a zbliżające się święta Bożego Narodzenia były ku temu idealną okazją. Tak jak wtedy, sześć lat temu.

Pamiętał każdy szczegół tego dnia. Śniegowe błoto, w którym od rana grzęzły samochody. Kolędy dobiegające z wewnątrz sklepów, gdy tylko otworzyły się drzwi. Zabiegani ludzie, spieszący się do swoich domów. Im szybciej zapadał zmrok, tym bardziej puste stawały się ulice. Adam był głodny, zmarznięty i przygnębiony. Był na dnie. Gdyby nie ten człowiek, który znalazł go w bramie swojej kamienicy, gdyby nie ten szczególny czas, pewnie by tam umarł. Nie miał już siły walczyć.

– Jak się pan nazywa? – zapytał gospodarz, który niemal siłą wciągnął go do swojego mieszkania. Cała sytuacja w świetle ostatnich, wyjątkowo ciężkich dni wydawała się Adamowi

wręcz surrealistyczna.

– Adam. Adam Kort – mruknął, unikając wzroku wpatrzonych w niego domowników. Wiedział, że jeśli tylko spojrzy im w oczy, to i oni poczują się zażenowani.

– Panie Adamie, w takim razie proszę przyjąć od nas wszystkich najlepsze życzenia imienninowe. – Ku zdumieniu domowników mężczyzna energicznie potrząsnął brudną ręką Adama, po czym wskazał mu miejsce przy obszernym stole. Kilkunastu gości poruszyło się niespokojnie na swoich miejscach. – Proszę, proszę usiąść.

Wytrzymam, jakoś to wytrzymam, obiecywał sobie Adam.

Gdy tylko usiadł do stołu, uderzyła go feeria zapachów. Woń zupy grzybowej mieszała się z aromatem lasek cynamonu i suszonych plasterów pomarańczy, luźno rozrzuconych na suto zastawionym stole. Gdzieś w tle wyczuwał delikatny zapach żywej choinki. Znajome świąteczne zapachy przywodziły wspomnienia, które chwytaly go za gardło. Wtedy od stołu wstała dziewczynka. Miała siedem, może osiem lat. Przez swoje zaropiałe, posklejane powieki Adam ledwie ją widział. Wysoki głosik poniósł się aż pod sufit, niemal wprawiając w drżenie kryształowy żyrandol.

„Cicha noc, święta noc

Pokój niesie ludziom wszem...”.

Z każdym wyśpiewanym słowem Adam rozpadał się na kawałki. Z najwyższym trudem powstrzymywał wzbierający płacz. Wiedział, że gdyby wybuchnął nim tu, przy tym świątecznym stole, wylałby z siebie cały żal, odkładający się w jego duszy przez ostatnie lata.

Jakoś przetrwał. Gospodarz złożył wszystkim życzenia. Adam domyślił się, że rezygnując z tradycyjnego łamania się opłatkiem, mężczyzna chciał zapobiec kolejnej krępującej sytuacji, w której trzeba byłoby się podzielić nim także z nieoczekiwanym gościem. Bo to, że gospodarz zaskoczył wszystkich, łącznie ze swoją żoną, nie ulegało wątpliwości.

Nalano mu grzybowej. Zgrabiały od wielogodzinnego tkwienia na mrozie palce zaczęły powoli odtajać. Czuł na sobie wzrok reszty domowników oraz zaproszonych gości. Ujął wielką łyżkę, pochodzącą zapewne z rodowej srebrnej zastawy. Rozejrzał się dyskretnie – zamieszanie wywołane nakładaniem jedzenia rozładowało wiszące w powietrzu napięcie i przez chwilę nikt nie zwracał na niego uwagi. Dopóki nie spróbował nabrać zupy.

Łyżka stuknęła o bulionówkę z ceramiki bolesławieckiej, wydając donośny brzęk. Potem kolejny raz i kolejny. Powstały przed chwilą zgiełk ucichł. Zgromadzeni przy stole spojrzeli na Adama w oczekiwaniu, że zamierza coś powiedzieć, być może złożyć życzenia lub wznieść toast. Przez dłuższy czas nikt się nie zorientował, że rytmiczny dźwięk jest efektem drżączki wywołanej osłabieniem i emocjami.

Adam czuł, jak wzbiera w nim potworny wstyd. Gdyby nie to, że twarz miał nadal czerwoną od mrozu, zapewne pokryłby ją rumieniec. Zablokował się w tym krępującym stanie, nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu. Pomimo całej życzliwości gospodarzy czuł się jak piąte koło u wozu.

Błądząc nieobecny wzrokiem po mieszkaniu Anny, bał się teraz dokładnie tego samego.

## Rozdział 9

Obudziła się kwadrans po dziewiątej. Od kiedy przeniosła się do domu w Jantarze, sypiała znakomicie, choć wstawanie o późniejszej porze mogło być również wynikiem nocnych posiadówek z Adamem. Uchyliła okno, wpuszczając do pokoju mroźne, rześkie powietrze, po czym zeszła na dół. Nowe drzwi wciąż jeszcze wydzielały przyjemny żywiczny zapach.

Ekspres zafurkotał głośno, wypływając strumień gorącej wody oczyszczającej dysze przed właściwym parzeniem. Anna sprawdziła poziom wody i wybrała funkcję podwójnego espresso. Z satysfakcją pomyślała o chwili, gdy wbrew sugestiom chłopaków uparła się, by zapakować ekspres do niewielkiego bagażnika samochodu. Ziewnęła przeciągle i rozejrzała się po domu. Adama nie było. Na kanapie leżał starannie złożony gruby i bardzo ciepły koc, który mu kupiła, jeszcze zanim przeniosła się do Jantaru. Adam nie należał do osób przesadnie porządnym, jednak po kilku jej delikatnych sugestiach przestał zostawiać rozgrzebane posłanie. Za każdym razem, gdy oglądała pustą kanapę, zastanawiała się, gdzie zniką każdego ranka.

Od dwóch tygodni wychodził, zanim zdążyła się obudzić, nieważne, jak wcześnie starała się wstać. Nastawianie budzika na szóstą w czasie urlopu zakrawało na szaleństwo, jednak nawet wtedy okazywało się, że Adama już nie ma.

– Gdzie ty znikasz? – zapytała trzeciego dnia, poirytowana jego nieobecnością. Pachniał morzem, choć mogła przysiąc, że czuje też zapach dymu papierosowego.

– Chodzę nad morze – odpowiedział wymijająco. Widząc niezadowoloną minę Anny, dodał: – Morskie powietrze mi służy. Poza tym na stare lata zrobiłem się rannym ptaszkiem.

– Stare lata! – parsknęła. – Nie masz jeszcze czterdziestki, kolego...

– Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje, jak mawiał klasyk. W każdym razie morze jest piękne o tej porze roku.

Przyznała mu rację. Było piękne. Ze względu na skąpą ilość słońca woda w zatoce była zwykle ciemna, granatowa, miejscami wpadała w czerni. W zetknięciu z jasnym piaskiem, który z czasem pokrył się cienką warstwą śniegu, tworzyła piękny kontrast. Podobnie jak Adam Anna woląла oglądać nadmorski krajobraz zimą.

Usiadła przy kuchennym stole, napawając się głębokim aromatem espresso wypełniającym całe pomieszczenie. Odtworzyła w myślach listę rzeczy do zrobienia i stwierdziła, że podobnie jak w ciągu poprzednich dni jest tego niewiele. W zasadzie pozostawało jej tylko ugotowanie obiadu. Mając w pamięci niezwykle umiejętności kulinarne Adama i walory smakowe przygotowywanych przez niego potraw, początkowo trochę się krępowała. Nie była wybitną kucharką. Preferowała proste, domowe dania, jednak Adam za każdym razem z uznaniem wypowiadał się o tym, co właśnie zjadł.

Nie musiała robić zakupów, wszystkie produkty znajdowały się w niezłe zaopatrzonej spizarni. Przez pewien czas Anna dziwiła się – mimo że omijała sklepy szerokim łukiem, zapasów nie ubywało. Gdyby była mniej spostrzegawcza, pewnie nie domyśliłaby się prawdy. Wszystko wydało się za sprawą słoiczka jej ulubionego koncentratu pomidorowego. Można go było dostać tylko w warzywniaku w Jantarze, a żadne z nich tam ostatnio nie było. Albo tylko ona tak sądziła. Nagle wszystko zaczęło się układać w spójną całość.

– Pani Krysia dała ci rabat? – zagadnęła Adama, przyłapawszy go na dokładaniu kilku produktów do spizarki. Obserwowała go uważnie od kilku dni i kiedy już sądziła, że wymyśla sobie teorie spiskowe, jej podejrzenia się potwierdziły.

– Pomogłem jej nosić skrzynki z towarami z samochodu i mi to dała – mruknął Adam, nie odwracając głowy w jej stronę. Czerwień na jego policzkach była aż nadto wymowna.



– A dlaczego nie pomógł jej mąż?  
– Widocznie nie mógł. Może jest chory?  
– To dziwne. Bo to on zajmuje się zaopatrzeniem sklepu. Krysia nie jeździ dostawczakiem. – Zaciekle drążyła temat. – Adam, powiedz mi, skąd masz te rzeczy?

– Kupiłem je, Aniu.

– Ale umawialiśmy się, że ja będę finansowała zakupy, prawda?

– Prawda, prawda – przytaknął.

Mogła przysiąc, że usłyszała w jego tonie nutę rozbawienia, która ją zirytowała.

– Adam, jeżeli potrzebujesz pieniędzy na zakupy, to wiesz, gdzie są. Nie chciałabym się wstydzić, kiedy pójdę do miasteczka – rzekła dosyć enigmatycznie, ale miała nadzieję, że domyśli się, o co jej chodzi.

– Chyba już i tak musisz, skoro zadajesz się ze mną. Nie ukradłem ich, jeśli o to ci chodzi...

– Oj, nie zaczynaj. Nie wstydzę się znajomości z tobą i nie będę – ucięła dyskusję i odwróciła się na pięcie, nieusatisfakcjonowana jego wyjaśnieniami.

Była coraz bardziej zdeterminowana, by poznać prawdę. To, że nie była rannym ptaszkiem, utrudniało sprawę. Któregoś wieczoru postanowiła zmienić taktykę. Przygotowała sobie zapas kawy, trochę słodczy i podręcznik do psychologii. Buty i kurtkę zostawiła pod łóżkiem. Umyśliła sobie, że nie położy się spać, co powinno wyeliminować problem z budzeniem. Kryzys przyszedł około drugiej w nocy, ale przetrwała go. Później było już z górki, choć nie mogła się skupić na treści podręcznika. Mimo wszystko towarzyszyło jej przyjemne uczucie odświeżania dawno zapomnianej wiedzy. Około czwartej usłyszała, jak Adam krząta się na dole. Poruszał się niczym kot. Każdego wieczoru przygotowywał sobie wszystko, czego potrzebował, tak by rano nie robić zbyt wiele hałasu.

Wymknęła się z domu, gdy tylko zniknął za wzgórzem. Jasno świecący księżyc sprawił, że doskonale widziała wysoką sylwetkę Adama podążającego w kierunku Jantaru. Wiatr gnał po niebie ciężkie chmury, które co chwilę przysłaniały srebrny okrąg. W tych momentach postać ginęła jej z oczu, by za moment pojawić się ponownie. Podbiegła, bacząc, by ukryć się tuż przed szczytem niewielkiego wzgórza. Kiedy wychynęła zza kępy suchego krwawnika, zobaczyła, jak mężczyzna dochodzi do szosy, zostawiając za sobą chmury dymu. Cóż, każdy ma swoje małe sekrety, nawet jeśli wydaje mu się, że nikt o nich nie wie. Ostrożnie pospieszyła do drzew rosnących wzdłuż drogi prowadzącej z Krynicy Morskiej do Mikoszewa. Gdy Adam skręcił w ulicę Morską, prowadzącą od centrum miejscowości do przystani rybackiej i plaży, śledzenie go stało się łatwiejsze, o ile księżyc jej sprzyjał. Mężczyzna szedł chodnikiem, ona zaś podążała za nim, idąc lasem. Namoknięte po tygodniach opadów liście skutecznie tłumiły jej kroki. Co jakiś czas wychylała się spomiędzy drzew, aby upewnić się, że nie zgubiła Adama.

Do wschodu słońca było jeszcze daleko, ale gdy mężczyzna dotarł do przystani rybackiej, widziała go wyraźnie, tym razem dzięki światłu lampy umieszczonej na niewielkim budynku, z którego zwykle sprzedawano ryby. Zaniepokoiła się, gdy zniknął jej z oczu na dłuższy czas. Wiedziała, że musi zaryzykować i podkraść się do budynku. Wyszła z lasu i pobiegła wzdłuż straganów i restauracyjek, które w sezonie przeżywały obłężenie, a teraz były puste niezależnie od pory dnia. Poczula, że nogi zaczynają ją boleć. Uszkodzone żebra, które jeszcze się nie zagoiły, również dały o sobie znać. Pomimo bólu zmusiła się do truchtu, zwalniając dopiero na podjeździe. Obawiała się, że zdradzi ją odgłos kroków na betonie. Na szczęście jej obawy okazały się przesadzone. Wyjrzała zza rogu budynku. Adam przebierał się w jaskrawożółty kombinezon rybacki. Towarzyszył mu niski, krępy mężczyzna, w którym Anna rozpoznała miejscowego rybaka, pana Stasia.

– A więc to tak – szepnęła do siebie i zmrzyła oczy, zadowolona z przebiegu śledztwa. Jednocześnie zawstydziła się, że podejrzewała Adama o kradzież, podczas gdy on najwyraźniej pracował u pana Stasia. Poczekala jeszcze chwilę skulona za rogiem, patrząc, jak wyciągają kuter na czarne wody zatoki, na których połyskiwało światło księżyca. Diesel zaterkotał i pchnął naprzód wysłużoną żółto-niebieską łódź rybacką, która mozolnie pokonywała niewielkie fale.

Anna obserwowała, jak kuter maleje i stopniowo zmienia się w świetlny punkcik na horyzoncie. Pierwsze kichnięcie przypomniało jej, jak bardzo zmarzła. Spojrzała na zegarek: było dwadzieścia po piątej i do świtu zostały jeszcze ze trzy godziny. Przez chwilę zastanawiała się, czy wyznać Adamowi, co widziała, uznała jednak, że każdy ma prawo do małych sekretów.

Z dnia na dzień ustalił się pewien rytuał. Adam wracał z pracy zazwyczaj około południa. Czasem przynosił garść bursztynów, czasem świeżego dorsza, a Anna była zadowolona, że nie musi się już zastanawiać, skąd Adam je bierze. Po obiedzie siedzieli dłuższą chwilę, rozmawiając, potem Adam zmywał naczynia i kładł się na kanapie z książką. Siadała w fotelu i obserwowała znad stron, jak zasypia. Potem przykrywała go kocem. Mogła godzinami patrzeć, jak śpi. Czasami mamrotał coś przez sen lub jego ciałem wstrząsał dreszcz, innym razem budził się zlany potem. Z reguły jednak spał jak niemowlę.

Przez te wszystkie dni zerkala na śpiącego mężczyznę za każdym razem, gdy przewracała stronę książki, i czuła wzbierający niepokój. To, że Adam włóczył się od samego rana i wędrował bez celu, a drugą część dnia przesyłiał, początkowo brała za objaw nawracającej depresji. Z każdym dniem obserwowała go bardziej wnikliwie. Martwiła się, lecz czuła, że to nie jest jeszcze odpowiedni moment na rozmowę. Widziała, że mężczyzna przyjmuje leki i nie podejrzewała, by co do tego ją oszukiwał. Obawiała się jednak, że choroba Adama jest tak głęboka, iż wyleczyć go może tylko równie dogłębna psychoterapia. A o niej nie chciał na razie słyszeć. Od kiedy dowiedziała się, że podjął pracę, kamień spadł jej z serca, choć wiedziała, że musi zachować czujność. To nie musiało oznaczać, że wy dostał się ze szponów choroby. Nawyk obserwowania go między kolejnymi stronami powieści pozostał.

Najprzyjemniejszą częścią dnia był zmierzch. Gdy zapadał, stali zwykle na pustej plaży, wpatrując się w ciemne wody zatoki, dopóki morze i niebo nie zlały się w jedno. W drodze powrotnej oświetlali sobie drogę niewielką latarką. Anna ujmowała wtedy Adama pod ramię, rozkoszując się przenikającym przez grube kurtki ciepłem jego ciała. Nie wydawał się speszony ani zaniepokojony, przeciwnie – miała wrażenie, że przyciska jej rękę do ciała, zacieśniając uścisk.

– Jak sprawy? – Tym pytaniem Adam zwykle otwierał rozmowę, gdy wyruszali w drogę powrotną.

– Cóż, chyba bez spektakularnych zmian. – Anna zamyśliła się, obserwując krążące nad wodą mewy. Początkowo ich zgiełk jej przeszkadzał, ale teraz trudno jej było wyobrazić sobie zimowy pejzaż bez nich. – Filip daje sobie radę, chyba całkiem poważnie wziął sobie do serca świeżo osiągniętą dorosłość.

Miała nadzieję, że syn żyje czymś więcej niż pizzą i piwem. Filip wytrzymał z nimi zaledwie tydzień. Szybko znudziło go podziwianie jesiennych krajobrazów. W najdelikatniejszy możliwy sposób przekazał im, że takie życie nie jest szczytem marzeń nastolatka. Przypuszczała również, że nie chciał się czuć jak piąte koło u wozu, co odczytała jako cichą akceptację dla jej znajomości z Adamem. Zdawała sobie sprawę, że udzielenie osiemnastolatkowi zgody na to, aby mieszkał sam, może i było wariactwem, ale nie większym niż wszystko inne, co się ostatnio wydarzyło. Poza tym Filip był dojrzały jak na swój wiek i najwyraźniej postanowił właściwie wykorzystać okazane mu przez matkę zaufanie. Anna modliła się, by chłopak nie dał się omotać ojcu.

– Podobno był u niego Eryk i próbował się usprawiedliwiać.  
– Przeprosił go? – Adam pogładził gęstą brodę.  
– Eryk?! – parsknęła. Myśl o mężu przepaszającym kogoś szczerze i bezinteresownie była tak abstrakcyjna, że nie umiała sobie tego wyobrazić. Owszem, zdarzało się, że Eryk kajał się przed nią, jednak za każdym razem chciał dzięki temu osiągnąć określony cel. – Raczej się usprawiedliwiał albo zrzucał winę na kogoś lub coś innego.  
– Co na to Filip?  
– Wydawał się poruszony i mile zaskoczony postawą ojca. Eryk chciał, żeby chłopak wrócił do domu, na co na szczęście się nie zgodził. Przypuszczam, że dobrze mu się mieszka samemu. Zresztą Ala mówiła, że widziała go ostatnio z jakąś dziewczyną. – Na twarzy Anny pojawił się grymas niepokoju.  
– To chyba dobrze, prawda?  
– Pewnie tak. Mam nadzieję, że nie zrobi nic głupiego. Żałuję, że nie chciał z nami dłużej zostać, ale z drugiej strony trochę go rozumiem. Pomyślał pewnie, że matka zwariowała na stare lata. Chyba cię polubił. Za każdym razem, gdy rozmawiamy przez telefon, pyta, co u ciebie, i prosi, aby cię pozdrowić.  
– Fajnie. – Adam uśmiechnął się ciepło. On również bardzo lubił syna Anny.  
– Chciałabym zaprosić go razem z tą dziewczyną w sobotę na obiad. Co ty na to?  
– Pytasz mnie o pozwolenie, czy możesz zaprosić syna do swojego domu? – Mężczyzna wydawał się rozbawiony.  
– Nie... – zawiesiła głos, spoglądając na wody zatoki.  
Wyczuł ją bezbłędnie.  
– Aniu, jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to mów śmiało. – Tym razem to Adam ujął ją pod rękę.  
– Może ty... Czy ugotowałbyś coś dla nas? – Spojrzała na niego z nadzieją w oczach, które lśniły blaskiem odbitym od zachodzącego słońca, przywodząc na myśl bursztyny.  
W gotowaniu dla innych osób było coś tak bardzo osobistego i tak bezpośrednio nawiązującego do przeszłości Adama, że niemal drgnął z niepokoju. Wiedział jednak, że prędzej czy później przyjdzie mu się zmierzyć z tym problemem. Zaskoczyło go, jak szybko to nastąpiło. Długo milczał, ważąc w myślach argumenty za i przeciw. W końcu pokiwał głową. Wobec tego spojrzenia musiał skapitulować.  
– Jasne.  
– Dziękuję! – Przytuliła się do niego.  
Był od niej znacznie wyższy. Jego nos znajdował się tuż ponad linią jej włosów i doskonale czuł zapach jej kosmetyków. Początkowo takie gesty nieco go krępowały, z czasem przyzwyczaił się do jej spontaniczności. Nadal nie mógł jednak się przemóc, by uściskać lub przytulić Annę tak, jak ona robiła to coraz częściej.  
– Czy Filip może przywieźć nam kilka produktów? – zapytał.  
– Pewnie, co tylko chcesz. Tylko określ dokładnie, czego potrzebujesz. Fifi nie jest zbyt kreatywny podczas zakupów.  
– Na pewno sobie poradzi.  
– Mhm, na pewno – mruknęła, przewracając oczami. – Mój syn jest z tych, którzy wysłani po koperek, przynoszą szczypiorek.  
Oboje roześmiali się głośno, płosząc mewy, które przysiadły nieopodal przystani rybackiej. Milczeli przez chwilę, aż w końcu Adam się odezwał.  
– Wiesz już, prawda? – Dał jej żartobliwego kuksańca w ramię.  
– O czym? – spytała, czując, że się rumieni. On wiedział!

– O mojej pracy. – Spojrzał na nią bez gniewu.  
– Skąd... Jak się domyśliłeś?  
– Gapisz się na kuter Stacha, od kiedy zawróciliśmy na plaży. Poza tym przestałaś się dopytywać, skąd mam ryby. Nawet się nie zdziwiłaś, gdy przyniosłem łososia – dodał rozbawiony.

– Adaś, nie musisz tego robić. Mogę załatwić ci porządną pracę. – Spojrzała mu w oczy, wspinając się lekko na palce.

Długo nad tym myślała. Na początku uznała, że nie powinna ingerować. Adam podjął pracę i skoro uznał, że to dobry wybór, nic jej do tego. Przypomniała sobie jednak o jego niezwykłym wyczuciu smaku, o wiedzy kulinarnej. Mógłby przecież znaleźć bardzo dobrze płatną pracę w gastronomii. Miał tak ogromny talent, że nie mogła spokojnie patrzeć, jak się marnuje.

– A ta nie jest porządna? – W jego głosie zabrzmiała nuta irytacji.

– No jest. Znam pana Stasia i wiem, że jest uczciwym człowiekiem. Tylko wyobrażam sobie, jaka to musi być ciężka praca. Z twoim doświadczeniem każdy restaurator przyjmie cię bez wahania. Nie bądź zły, że się wtrącam. Po prostu się martwię.

– Niepotrzebnie, Aniu. – Jego głos złagodniał. – To rzeczywiście wyczerpująca robota, ale dzięki niej wiele się nauczyłem. Stach to fantastyczny gość, prawdziwy człowiek morza. Mógłbym pracować u niego za darmo, byleby tylko słuchać jego opowieści. Szkoda, że potrwa to jeszcze tylko kilka dni. Jego syn się rozchorował i tylko dlatego mogłem ze Stachem popracować. W poniedziałek syn wraca na kuter.

– A co z tą pracą w restauracji?

– Nie chcę do tego wracać. Jeszcze nie teraz – rzekł, ciągnąc ją delikatnie w stronę Jantaru.

Wiedziała, że rozmowa jest zakończona.

\* \* \*

Mijały dni podobne do siebie jak krople wody, ale Annie to nie przeszkadzało. Osiągnęła coś, co nazwała w myślach małą stabilizacją. Składał się na nią odpoczynek od pracy, a co ważniejsze – odpoczynek od dotychczasowego życia. Była na siebie zła, że czekała z tą decyzją tak długo. Może gdyby odważyła się na ten krok kilka czy kilkanaście lat temu, ona i Filip byłiby teraz innymi ludźmi. Z dnia na dzień nabierała coraz większego dystansu do całej sytuacji i utwierdzała się w przekonaniu, że za lata gehenny z Erykiem przyjdzie im obojgu zapłacić długą psychoterapią.

Na razie cieszyła się z każdego spokojnego dnia i stopniowo zaczynała dostrzegać drobiazgi, obok których kiedyś przeszłaby obojętnie. Ogień trzaskający w kominku, kubek grzanego wina opróżniony nad interesującą książką, wreszcie długie jesienno-zimowe spacery z fantastycznym, inteligentnym rozmówcą w bajecznej scenerii Zatoki Gdańskiej. Tak, mogłaby tak żyć. Całe swoje dorosłe życie, spędzone w luksusie i blichtrze, zamieniłaby na ten wiejski dom.

Sielankę przerwał telefon od Eryka. Początkowo chciała odrzucić połączenie, ale pomyślała, że może pogodził się z rozwodem i chciałby omówić sprawy z nim związane. Już po pierwszych słowach przekonała się, jak bardzo była w błędzie.

– Nic już na mnie nie masz, szmato – wycedził do słuchawki. Niemalże czuła jego zimny gniew.

– Eryk? O co ci chodzi? – Głos byłego męża podziałał na nią jak uderzenie młotkiem. Poczowała, że ze strachu miękła jej noga, a serce przyspiesza.

– Dobrze wiesz. Mógłbym cię teraz zniszczyć w sądzie, puścić z torbami albo i bez. I nawet mój ojciec by ci nie pomógł.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Nieważne – wybełkotał. Chyba był pijany. – Filip ma wrócić do mnie, rozumiesz? Nie będzie dziadował z tobą i tym lumpem.

– Posłuchaj. – Starła się być opanowana, ale głos jej drżał. Pomimo odległości miała wrażenie, jakby Eryk trzymał ją za gardło. Słowa ledwo wydobywały się z jej krtani. – Filip przejrzał na oczy i zobaczył, jaką jesteś gnidą. Nigdy nie zależało ci ani na nim, ani na mnie, bo potrafisz myśleć tylko o sobie. Możesz zabierać cały ten swój pieprzony dobytek, jedyne, czego chcę, to żebyś się od nas odpiardolił! – wrzasnęła na koniec. Usłyszała w słuchawce obłąkańczy śmiech Eryka i rozłączyła się.

Poczuła, że zaczyna boleć ją głowa, i postanowiła wziąć tabletkę. W połowie drogi do kuchni natknęła się na Adama, niedbale opierającego się o ścianę w sieni.

– Słyszałeś? – zapytała.

Kiwnął głową.

– Przepraszam, że musisz wysłuchiwać takich rzeczy. Nie powinnam była odbierać od niego telefonu. Po rozprawie zmienię numer. – Z nadzieją pomyślała o zbliżającym się styczniowym terminie.

Adam nic nie odpowiedział. Zdjął kurtkę i buty, po czym włożył ciepłe filcowe kapcie, które odziedziczył po ojcu Anny. Były nie tylko wygodne, ale też ciche, co ułatwiało mu poranne wymykanie się z domu. W ceramicznym czajniczku zaparzył zieloną herbatę, wyciągnął drożdżówkę, którą Anna upiekła poprzedniego dnia, i bez pytania nałożył im obojgu.

Czekała na niego przy stole w kuchni. Ten właśnie rodzaj niewerbalnej, prawie telepatycznej komunikacji elektryzował ją najbardziej. Zanim o czymś pomyślała, Adam już to robił. Rzadko bywało tak, że to ona zgadywała jego myśli.

– Miałem kiedyś mieszkanie w Warszawie – powiedział, siadając naprzeciw niej. Spojrzał Annie głęboko w oczy. – Pracowałem wtedy w małej restauracji na Starym Mieście. Mieszkanie było przy ruchliwej ulicy. Wiesz, okna brudne od spalin, mały balkon przypominający betonową wannę. Mimo to lubiłem na nim siadać z kubkiem porannej kawy i gazetą w ręce albo ze szklaneczką whisky, jeśli miałem wolny wieczór. Czasami czytałem, czasami godzinami gapiłem się na niezliczone samochody. Któregoś dnia postanowiłem, że trochę ożywię swój „taras”. Kupiłem korytko, wsypałem do niego ziemię i posiałem maciejkę. Pamiętałem z dzieciństwa te podłużne roślinki zakończone małymi, fioletowymi i obłędnie pachnącymi kwiatkami. Otwierały się wieczorem i pachniały tak mocno, że nie dało się spać przy otwartym oknie.

– Też je lubię. – Anna uśmiechnęła się, zaglądając do kubka z herbatą. – Był taki czas, że wysiewałam je co roku. Kojarzą mi się z latem.

– Właśnie. Ale do rzeczy. Maciejka szybko wykiełkowała i urosła, a w samym środku, pomiędzy jej łodygami, ukazała się jeszcze jedna, wyraźnie inna. Najpierw chciałem ją wyrwać, sądząc, że to chwast, ale pomyślałem, że może to nasiono innej rośliny ozdobnej, które przypadkowo dostało się do torebki z maciejką. Później o tym zapomniałem. Dużo pracowałem, a lato było tego roku tak deszczowe, że nie musiałem martwić się o podlewanie. Kiedy po tygodniu powróciła dobra pogoda, a ja miałem czas, by znów usiąść na balkonie, zobaczyłem, że wszystkie kwiatki uschły. W donicy panoszył się olbrzymi, metrowej wysokości chwast. Miał grubą jak palec łodygę i okazały, choć brzydki kwiat. Wyrwałem go i z ciekawości pokazałem sprzedawcy w sklepie ogrodniczym. Potwierdził moje przypuszczenia – nie była to żadna roślina ozdobna, tylko zwykły, wyrosnięty ponad normę chwast. Wiesz, dlaczego ci to opowiadam?

– Chyba tak.

– To samo, co wydarzyło się w tej doniczce, dzieje się też między ludźmi. Ignorowany, tolerowany bądź wzięty za roślinę szlachetną chwast często wyrasta ponad inne rośliny uprawne. Z czasem pozbawia sił witalnych wszystkich wokół.

– Dokładnie tak jak Eryk... – szepnęła Anna, spuszczać wzrok.

– Cóż, chyba właśnie zabrałaś się do wyrwania chwastu. – Spojrzał na nią, upewniając się, że nie poczuła się dotknięta tym porównaniem. Bądź co bądź mówił o jej mężu. – To, że jest okazały, nie znaczy, że nie da się go usunąć. Potrzeba tylko dużo siły. – Adam ujął ponad stołem jej dłoń i uścisnął ją.

Kobieta podniosła wzrok i lekko się uśmiechnęła.

Po raz pierwszy, od kiedy poznał Annę, Adam zobaczył w jej oczach nadzieję. I coś jeszcze, czego nie rozpoznał. Spojrzał na nią pytająco.

– No co?

– Nic... – Ponownie posłała mu uśmiech i odwzajemniła uścisk. – Jesteś mądrym facetem, wiesz? Czasami zastanawiam się, ile twojej mądrości życiowej wypływa z inteligencji, a ile z czytania. Gdzieś ty zdążył przeczytać te wszystkie książki? – Wróciła myślami do ich niedawnej dyskusji o literaturze. Niewieloma tytułami potrafiła go zaskoczyć, głównie tymi z literatury współczesnej. Klasykę miał w małym palcu.

– W bibliotece.

– Oj, Adam. Pytam poważnie. – Skarciła go wzrokiem.

– A ja poważnie odpowiadam. Kilka lat temu zaszyłem się na zimę w nieczynnej bibliotece w małym mieście. Niedaleko otworzyli jedną z tych nowych, multimedialnych, a o starym budynku jakby zapomnieli. Wlazłem przez okienko w piwnicy i urządziłem sobie w niej dom i czytelnię. Wychodziłem do miasteczka po jedzenie, a po książki wspinałem się na górę.

– I całą zimę czytałeś?

– Tak. – Adam pomasaował bliźnię na rękę. – Wiosnę i lato też. Dopiero jesienią przypomnieli sobie o nieużywanym budynku. Na szczęście znudził mi się już żywot mola książkowego i zbierałem się do wyprowadzki. Ale co przeczytałem, to moje.

– Ile tego mogło być?

– Nie wiem, może nawet kilkaset tomów. Dużo czytałem także w czasie podróży po świecie. Co nie znaczy, że w jakikolwiek sposób przełożyło się to na moją – jak ty to nazywasz – mądrość życiową. Gdybym był taki mądry, to nie skończyłbym w ten sposób, prawda?

– A nie pomyślałeś, że może właśnie to, jak potoczyło się twoje życie, nauczyło cię patrzeć na świat inaczej niż wszyscy?

\* \* \*

Adam długo się zastanawiał, czy nie podjął pochopnej decyzji, ale dał już słowo i wiedział, że Ania byłaby bardzo rozczarowana, gdyby teraz się wycofał.

Jeszcze zanim świt przywitał sobotę, napalił w kominku, wypił podwójne espresso i z wprawą skrzył papierosa, którego nabił kończącym się tytoniem. Wypalił go w drodze do przystani. Dziś nie musiał wypływać. Pan Stanisław w sobotę wypływał tylko na krótki połów, z którym – jak twierdził – dawał sobie radę. Przywoził ryby jedynie dla siebie, najbliższych znajomych i sąsiadów, więc opłaciwszy Adama, musiałby dokładać do interesu.

Kilka minut po ósmej mężczyzna zobaczył zbliżający się kuter. Pomógł wyciągnąć go na brzeg i rozładować skrzynki z rybami, dzięki czemu mógł wybrać dla siebie dwa okazałe dorsze.

Powrócił chwilę przed dziesiątą, upewniwszy się, że smród dawno wypalonego papierosa zdążył już wywietrzeć. Wiedział, jak bardzo Anna tego nie lubiła. Dumą napawał go fakt, że

ograniczył palenie do jednego, dwóch skrętów dziennie. Obiecał sobie, że kończąca się paczka tytoniu będzie już tą ostatnią.

Ku swojemu zdumieniu ujrzał, że brama posesji jest otwarta na oścież, a na podjeździe stoi niewielki srebrny hatchback. Był przekonany, że Filip wraz ze swoją dziewczyną przyjadą dopiero około południa. Świadomość, że cała trójka będzie najprawdopodobniej patrzyła mu na ręce, była stresująca. Jeszcze zanim otworzył drzwi, usłyszał salwę śmiechu, która wywołała w nim odruch ucieczki. O ile przyzwyczał się do towarzystwa Ani i Filipa, o tyle dodatkowa osoba zmieniała układ sił w grupie. Mimo to ściągnął welnianą czapkę, przeczesał palcami włosy i brodę, po czym nacisnął klamkę. Reklamówkę z rybami zostawił tuż obok schodków. Panująca na zewnątrz temperatura powinna dobrze im zrobić. Gdy tylko przekroczył próg domu, uderzył go oszałamiający zapach szarlotki.

– O, Adaś! – zawołała Ania rozparta wygodnie w fotelu, z kubkiem parującej herbaty w dłoni. Kremowy sweter z wysokim kołnierzem zdawał się otulać ją całą. Jej swobodna poza klóciła się ze zmartwionym wyrazem twarzy. – Teraz jesteśmy już w komplecie.

Gdy Adam oderwał od niej wzrok, zauważył, że z kanapy podniósł się Filip i szczupła blondynka o delikatnej, nienachalnej urodzie. W koszuli w kratę i pikowanej kamizelce chłopak wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Być może chciał dorównać swojej wybrance. Na podstawie samochodu Adam wywnioskował, że może być starsza od Filipa. Zdjął kurtkę i podszedł, by się przywitać.

– Cześć. – Filip uśmiechnął się do Adama. Uścisk dłoni mężczyzny był mocniejszy, niż zapamiętał. – To jest Klaudia.

– Dzień dobry. Miło mi pana poznać. – Dziewczyna wyciągnęła rękę, która okazała się chłodna i nadzwyczaj miękka w dotyku.

– Mnie również. Możemy mówić sobie po imieniu?

– Jeśli panu to odpowiada. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Eee... tobie.

– Opowiadajcie, co u was?

– Wszystko dobrze. – Filip objął dziewczynę w talii. Promieniał. – Klaudia studiuje na drugim roku, trochę pomaga mi w nauce matmy. Tak się zresztą poznaliśmy.

– Dziwię się, że ktoś ma tyle cierpliwości, aby cię czegoś uczyć – wtrąciła kąśliwie Anna. Dobry humor syna najwyraźniej jej się nie udzielił. – Mnie rzadko jej wystarczało.

– Coś się stało? – Adam rzucił jej uważne spojrzenie.

– Mama zdenerwowała się tym atakiem hakerskim na jej konto...

– A więc to prawda? – Wrócił myślami do dnia, kiedy Anna odebrała telefon od Eryka. Od razu domyśliła się, że musiał coś majstrować przy jej koncie w chmurze, czyli na wirtualnym dysku, na którym jej smartfon zapisywał wszystkie dane. Nie korzystała z tego rozwiązania zbyt często, gdyż mu nie ufała. Po czasie okazało się, że słusznie.

– Niestety tak. Mam kumpla na polibudzie, który w tym siedzi. Mówi, że to profesjonalna robota. Dane nie do odzyskania. – Chłopak spojrzał z troską na matkę.

– Miałaś tam coś ważnego, Aniu? Oprócz tego nagrania?

– Właściwie to nie. – Energicznie potrząsnęła głową. – Trochę zarchiwizowanych zdjęć rodzinnych, ale nadal je mam, więc żadna strata. Sprawy zawodowe są na szczęście w systemie bankowym.

Pogawędzili jeszcze przez chwilę, po czym Anna zaprosiła wszystkich do stołu. Dopiero gdy Adam wszedł do części salonowej, zauważył, że zapanował w niej niezwykły porządek. Książki, które odkładali na stopy „przeczytane” i „do przeczytania”, zniknęły równie tajemniczo jak kurz z półek. Na stole pyszniła się szarlotka, przykryta bezową pianką i wiórkami kruchego ciasta. Pachniała obłędnie.

Po kilkunastu minutach rozmowy atmosfera stała się bardziej swobodna. Anna z każdą chwilą odzyskiwała dobry humor. Po kolejnym kwadransie śmiała się już razem ze wszystkimi. Zarówno Adam, jak i Klaudia zaczęli się odprężyć i coraz częściej włączać się do dyskusji. Dziewczyna okazała się bardzo sympatyczna, jednak Adam cały czas zastanawiał się, jak wiele powiedział jej Filip. I ile Filipowi powiedziała jego mama. Zanurzył widelczyk w szarlotce i rozkoszował się kolejnym jej kęsem. Wypieki Anny były znakomite, aromatyczne i niezwykle w smaku, co przypomniało mu, że sam powinien zabrać się do przygotowania obiadu.

Odszedł od stołu i rzucił okiem na niewielką plastikową skrzynkę, w której Filip dostarczył zamówione produkty. Wbrew obawom Anny chłopak świetnie się sprawił. Limonki, papryczka chilli, pietruszka, bataty – wszystko świeże i znakomitej jakości. Adam otworzył frontowe drzwi i sięgnął po półprzezroczystą reklamówkę, wpuszczając nieco chłodnego powietrza. Rozłożył okazałego dorsza na kuchennym blacie i przez dłuższą chwilę szukał noża odpowiedniego do filetowania. Z szuflady wy dobył szarą, kamienną osełkę, którą kilkoma pewnymi ruchami przeciągnął po ostrzu. Raz jeszcze zważył nóż w dłoni, po czym zabrał się do cięcia.

Trzy pary oczu przyglądały się z zachwytem, jak Adam filetuje rybę. Operował nożem sprawnie, z każdą sekundą pewniej, pomimo świeżych blizn na przedramieniu, którym intensywnie przyglądała się Klaudia. Kilka razy złowił jej spojrzenie i dziewczyna zawstydziła się, odwracając wzrok. Z zadziwiającą szybkością naciął kilkakrotnie płat mięsa, po czym oddzielił od skóry, wykrawając równe małe kostki. Z podobną sprawnością poszatkował chilli oraz czerwoną cebulę. Wycisnął sok z trzech limonek i zmieszał wszystkie składniki. Myślami już był w Peru.

Miasteczko Mala gdzieś na południe od Limy, zwykle przykurzone drobnym, piaszczystym pyłem, dziś oczekiwało na deszcz. Miejscowi zdążyli pochować już co lżejsze przedmioty. Gęste ciemnoszare chmury kłębiły się nad niewielkimi budynkami, a wiatr szarpał tanie plastikowe markizy. Adam wytarł spieczone żarem poprzednich dni czoło i pociągnął solidny łyk chicha morada – peruwiańskiego napoju przygotowywanego z purpurowej kukurydzy z dodatkiem owoców. Chłodny płyn cudownie orzeźwiał, choć po trzeciej szklance czuł już ucisk na pęcherz. Gdy wrócił z toalety, kelnerka stawiała właśnie na jego stoliku danie pachnące rybą i cytrusami. Nagle usłyszał głos Anny.

– Słucham? – Momentalnie wrócił do rzeczywistości. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że szatkuje nać pietruszki z szybkością robota kuchennego.

– Pytałam, czy wyciągnąć ci patelnię do ryby?

Anna i goście nie odrywali wzroku od błyskawicznie pracującego ostrza. W powietrzu czuć było napięcie. Adam przestał kroić i wytarł ostrze z resztek.

– Przepraszam, zamyśliłem się.

– Zauważyliśmy. – Malująca się na twarzy kobiety troska złagodniała. – Opowiesz nam, co będziemy jedli?

– Ceviche. To taka peruwiańska potrawa.

– Będziesz ją smażył?

– Nie. – Adam uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Piekł? – Tym razem Filip spróbował szczęścia.

– Też nie.

– Ale chyba nie poda... nie podasz jej nam na surowo? – Klaudia wpatrywała się w niego niebieskimi oczami.

– Nie. Cały sekret ceviche polega na tym, że ryba jest ugotowana pod wpływem kwasu zawartego w soku z limonki. Będzie wam smakowała, sami zobaczycie, jaka jest delikatna.



Kwadrans później, gdy tylko pieczone bataty nabrały właściwej miękkości, Adam wyłożył porcje na talerze, skromnie je przyozdabiając. Wcześniej krążył od stołu do lodówki, sprawdzał smak ceviche i doprawiał je nieznacznie. Za każdym razem miał wrażenie, że wyszedł z wprawy, że stracił smak i to przyprawiało go o ból żołądka.

„Raz kozie śmierć”, pomyślał i postawił talerze przed gośćmi, żałując, że nie może tego zrobić ktoś inny. Miał wrażenie, że wszyscy przyglądają się bliznom na jego ręce, choć wiedział, że Annie i Filipowi zdążyły się już opatrzyć. W końcu sam zasiadł do stołu i wsunął widelec do ust.

Nie było to takie ceviche, jakie podano mu tamtego popołudnia w Mala. Po skończonym posiłku udało mu się porozmawiać z kucharką, która je przygotowywała. Była zachwycona, że mu smakowało, i chętnie podzieliła się sekretami sprawiającymi, że narodowa potrawa miała niezapomniany smak. Do ceviche używała mięsa z soli lub okonia morskiego, a to, co Adam wziął za chilli, było papryką Aji Panca – specjalną odmianą uprawianą w Peru i chętnie dodawaną do wielu dań. Był ciekawy, co o wariacji, którą zaproponował dziś swoim gościom, powiedziałyby kucharka z Mala.

Przyjemnie byłoby znów znaleźć się pomiędzy Andami a Oceanem Spokojnym. Rzucił szybkie spojrzenie na zgromadzonych przy stole. Nie miał wątpliwości, że też tam właśnie byli.

\* \* \*

Opierając się o blat, obserwował nadciągające ciemne chmury. Wprawdzie już zmierzchało, mogły się więc wydawać ciemniejsze, niż były w rzeczywistości, ale Adam był prawie pewien, że sygnie z nich sporo śniegu. Co w zasadzie miało swój urok. Oderwał wzrok od krajobrazu za oknem, gdy Anna zapaliła lampę stojącą w rogu części salonowej. Dopiero teraz zobaczył, jak pięknie wygląda. Widocznie myśli o przygotowaniu posiłku spełniającego oczekiwania gości pochłonęły go tak bardzo, że przysłoniły mu wszystko inne.

Przyglądał się kobiecie, gdy nalewała do kieliszka wino. Jej oczy emanowały blaskiem, który z dnia na dzień wydawał się mu jaśniejszy. Kaskada kasztanowych włosów łagodnie spływała po wysokim kołnierzu swetra, kończąc się na piersiach, wyraźnie zarysowanych pod materiałem. Obserwował, jak rozchyła usta, dotykając krawędzi kieliszka. Prawda była taka, że myślał o Annie niemal cały czas, ale im bardziej nieprzyzwoite myśli krążyły mu po głowie, tym bardziej się wstydził i ganił się za zbyt dużą śmiałość. Mimo że żyli w niemal idealnej symbiozie od kilku tygodni, nadal pamiętał, że stanowią dwa odrębne światy, które tylko momentami się zazębiają. Uważał, że poza swoim towarzystwem nie miał tej pięknej kobiecie nic do zaoferowania.

Szum wody płynącej z kranu ustał nagle, wyrrywając go z ponurych myśli. Klaudia i Filip skończyli zmywać po obiedzie, co zajęło im znacznie więcej czasu niż powinno, głównie przez wygłupy przy sprzątaniu. Gdy tylko przeszli do części salonowej i zajęli się rozmową z Anną, Adam otworzył szafkę pod zlewem i ze stojącego tam śmietnika wyciągnął butelki po piwie. Odkręcił strumień wody, nastawiając maksymalną temperaturę. Woda momentalnie zaczęła parzyć ręce. Po chwili zobaczył z zadowoleniem, że klej trzymający etykiety się rozpuszcza. Oczyszczył butelki i odstawił je do niewielkiej wnęki pomiędzy lodówką a parapetem.

– Zawsze to robisz, prawda?

Drgnął na dźwięk głosu za plecami, upuszczając ręcznik kuchenny. Odwrócił się powoli.

– Od dawna wiesz? – zapytał.

Anna stała przed nim z kieliszkiem w ręku i nieodgadnionym wyrazem twarzy, choć mógłby przysiąc, że w jej oczach tli się iskra rozbawienia.

– Od pierwszej butelki. Zapomniałeś, że jestem spostrzegawcza?

Nie zapomniał. Tak jak wtedy, gdy nakryła go na dokładaniu produktów do szafek. Poczuł, jak zaczyna się czerwienić.

– Poza tym przypadkiem zawędrowałam za dom. Widziałam, że gromadzisz je w wózku. Po co to robisz? Zamierzasz się zwinąć, gdy uzbierasz cały? – Nie kryła goryczy w głosie. Owszem, była proekologiczna i zżymała się, gdy ktoś traktował środowisko jak wspólny śmietnik, ale złościł ją niepokój, który to chomikowanie w niej wywołało. Niepokój o każdy kolejny dzień spędzony z Adamem. O to, czy w ogóle nastanie.

Mężczyzna nie musiał długo myśleć nad odpowiedzią. Brzmiała: z obawy o jutro. Z tego samego powodu jego babcia, z którą wojna obeszła się okrutnie, zawsze miała w zanadrzu wiadro ziemniaków i kilka bochenków chleba, nawet jeśli musiała później zjadać wykiełkowane bulwy i czerstwe pieczywo. Przeczytał potem, że ludzie, którzy przeżyli wielki głód, robią takie rzeczy nieświadomie. Do teraz nie zdawał sobie sprawy, że to dotyczy także jego.

– Z przyzwyczajenia. – Wzruszył ramionami i spuścił wzrok.

Kobieta spojrzała na niego zatroskana.

– Adam... Mówiłam ci, że już nie musisz – powiedziała łagodniejszym głosem. Podeszła i ujęła jego dłoń, wciąż jeszcze gorącą od wody.

– Widzisz, człowiek może wyjść z biedy, ale bieda z człowieka nie wychodzi łatwo.

– To daj sobie pomoc...

– Nie. Muszę się uporać z tym sam – oznajmił stanowczo i odwrócił wzrok. W progu ujrzał Filipa, który trzymał Klaudię za rękę. Jak długo tam stali? Mógł tylko zgadywać.

– To my będziemy się już zbierać, zanim na dobre zacznie padać śnieg.

– Dziękuję za wszystko. Bardzo miło było państwa poznać. – Klaudia uściskała się z Anną i wyciągnęła rękę do Adama. – To było niezwykle doświadczenie. Powinieneś iść do MasterChefa. Wygrałbyś, bez dwóch zdań.

– Dzięki – mruknął, odwzajemniając delikatny uścisk dłoni. – Cieszę się, że ci smakowało.

– Smakowało!? – Filip klepnął go w ramię i wyszczerzył zęby. – Stary, to było boskie! Klaudia ma rację, powinieneś coś z tym zrobić. Pamiętasz Younga? – Mrugnął do niego.

Adam skinął głową. Słyszac tyle komplementów, czuł się niezręcznie, choć kiedyś stanowiły jego codzienność. A może właśnie dlatego.

Goście na tyle długo się żegnali, stojąc w drzwiach, że zimne powietrze zdążyło skutecznie ochłodzić wnętrze domu. Mężczyzna zabrał się do rozpalania w kominku. Kamienna obudowa była jeszcze ciepła, choć ogień dawno wygasł. Zanim skończył, Anna postawiła na stoliku szklankę do piwa i butelkę portera.

To był ich wieczorny rytuał. On siadał z lampką wina na kanapie, okrywając się kocem w szkocką kratę. On zajmował fotel i delektował się ciemnym, niemal czarnym gęstym piwem. W dawnych czasach gdy tylko nadchodziła jesień, przerzucał się z jasnego, orzeźwiającego piwa na cięższe gatunki, które znacznie bardziej smakowały mu w chłodne dni. Nie był zaskoczony, że Anna nie podzielała jego fascynacji i zostawała przy winie. Czasami pozwalała Adamowi oczarować się grzańcem. Siedzieli do późna i czytali, przerywając ciszę, gdy natrafili na wyjątkowo interesujący fragment, wymagający głośnego przeczytania, albo chcieli coś przedyskutować.

\* \* \*

Było po północy i trzeci porter szumiał Adamowi w głowie o wiele bardziej, niżby sobie tego życzył. Zwykle kończyło się na jednym, ale dziś Anna była wyjątkowo milcząca. Zamiast z nią rozmawiać, coraz częściej sięgał po szklankę, obserwując ze zdumieniem, jak ubywa

czarnego płynu. Doskonały nastrój Anny, wywołany wizytą syna, szybko prysł. Wydawała się zamyślona i nieobecna.

– Wszystko w porządku? – zapytał, odkładając powieść Nabokova na oparcie fotela.

– Sama nie wiem. – Wzruszyła ramionami. W jej oczach po raz pierwszy od dawna zobaczył smutek. – Nie chcę być taką wścibską żoną, ale...

Wiedział, o co chce go zapytać. Od wielu dni musiał lawirować w rozmowach, by nie poruszyć tematu swojego życia. Teraz miał w głowie taki mętlik, że nie wiedział już, dlaczego to robił. Chciał chronić ją czy może siebie? Prędzej czy później ten moment musiał nadejść.

Potarł palcami powieki, zamknął oczy i dłuższą chwilę milczał, zastanawiając się, od czego rozpocząć swoją opowieść. Kiedy je otworzył, Anna siedziała na kanapie po turecku, owinięta kocem. Spojrzenie miała uważne i skupione. Wiedział, że nie wyłga się krótką historyjką.

– Powinienem chyba zacząć od czasów technikum, chociaż smykałkę do gotowania miałem niemal od urodzenia. Jako trzylatek stałem na taborecie w babcinej kuchni i wrzucałem warzywa do wielkiego gara, w którym gotował się rosół. Moja babcia to była święta kobieta – nigdy mnie nie skrzyczała, nawet gdy coś schrzałem. Zawsze spokojnie tłumaczyła: że schabowy tylko na smalcu, że wątróbkę solić na końcu, że lubczyk do zupy. I tak dalej. W domu też pomagałem, ale do pierwszej prawdziwej kuchni trafiłem dopiero w szkole średniej. Po skończeniu pierwszej klasy postanowiłem pójść do pracy w wakacje. Zatrudniłem się na kuchni w małej restauracji w Brzeźnie. Miałem głównie smażyć frytki i przez pierwszy tydzień tak było. Któregoś razu jeden z kucharzy zapił i nie przyszedł do roboty. Zaproponowałem, że mogę go zastąpić, a szef nie miał wyboru, więc się zgodził. Po godzinie zostałem wezwany na salę. Spodziewałem się solidnej reprimendy za przesoloną, przeciągniętą, niedoprawioną czy jakkolwiek inaczej zepsutą rybę, a zamiast tego dostałem propozycję pracy.

– Pracy? – Anna uniosła brwi zaintrygowana.

– Tak. Gość zamówił flądre. Zjadł ją i mnie wezwał. Powiedział, że flądra to zwykła ryba, najbardziej pospolita na całym Wybrzeżu. Ale tak niezwykle nie jadł nigdzie i nigdy, a jest synem restauratora specjalizującego się w rybach. Wstąpił do nas, żeby wybać konkurencję. Zapytał, czy chciałbym pracować w prawdziwej restauracji i od kiedy mógłbym zacząć. Okazało się, że jego ojciec prowadzi w Sopocie znaną restaurację. Zgodziłem się z miejsca. Rzuciłem szkołę, rodzice oczywiście się wściekli. Do tego stopnia, że po ostrej kłótni wyprowadziłem się z domu. Dla nich nauka była na pierwszym miejscu, a mnie oszołomiła kasa, jaką mogłem zarobić.

Na początek stary Wawrzyniak dał mi trzy razy tyle, ile zarabiał mój ojciec. I to nie za pracę, ale za naukę. Naukę smaku. Wysłał mnie do Władysławowa, gdzie znajomy rybak i hurtownik zaopatrywał go w świeży towar. Przez trzy miesiące oglądałem, wąchałem i smakowałem ryby. Po powrocie potrafiłem odróżnić zapach i smak flądry zrzuconej z kutra o świcie od flądry zrzuconej w południe. Z zamkniętymi oczami odróżniałem łososia dzikiego od norweskiego, flądre od turbota, węgorza europejskiego od amerykańskiego czy japońskiego. Filetowałem, wędziłem, smażyłem, a nawet suszyłem ryby. Gdy wróciłem do Sopotu, miałem osiemnaście lat. Pewnie myślisz, że na sam widok ryb chciało mi się rzygać? Mylisz się, do dziś je lubię.

Wiedziałem, że to, czego nauczyłem się przez te trzy miesiące, to tylko maleńki wycinek lokalnej kuchni. A ja chciałem więcej. Wawrzyniak w sezonie wykorzystywał mnie bez oporów. Pracowałem po osiemnaście godzin na dobę, bo szybko rozeszła się wieść, że serwujemy najlepszą rybę w Polsce, a może nawet w Europie. Ale kiedy nadchodziły jesień i zima, to ucziwie muszę przyznać, że szef dawał mi długi urlop – dwa, czasami trzy miesiące z rzędu. Za

zarobione pieniądze jeździłem po świecie i poznawałem lokalną gastronomię. Syn Wawrzyniaka miał rozległe kontakty, więc przy każdej mojej podróży załatwiał mi robotę na kuchni, niezależnie od tego, czy był to Wietnam, Hiszpania, Chile, czy Samoa. Uczyłem się też języków. Głównie angielskiego i hiszpańskiego, ale zawsze zapamiętywałem kilka zwrotów w języku miejscowych, choćby tak egzotycznym jak urdu.

Zanim skończyłem dwadzieścia pięć lat, pracowałem w najlepszych restauracjach w Warszawie, Barcelonie i Londynie. Pogodziłem się nawet z rodzicami, choć długo mieli mi za złe porzucenie szkoły. Chyba odczuli to jako osobistą porażkę. W końcu zrozumieli, że moje życie to kuchnia, smaki i zapachy oraz ludzie, których dzięki swoim umiejętnościom mogę zabrać do innego, magicznego świata. Zmartwili się, kiedy postanowiłem, że pojadę do Nowego Jorku. Gdy pracowałem w Europie, widywaliśmy się co kilka tygodni. Było mnie stać na opłacenie rodzicom biletów i noclegów. A jednak pognało mnie za ocean. Teraz myślę, że byłem głupi. Zgubiły mnie pycha, młodość i ambicja.

Za zarobione pieniądze otworzyłem restaurację na Manhattanie, z widokiem na Central Park. Nazwałem ją Picante – z liczbą pi w nazwie. W zasadzie miałem tę nazwę w głowie od zawsze. Wiesz, że pikantny to właściwie nie jest smak? To po prostu ból odczuwany przez neurony czuciowe w jamie ustnej. Chciałem, aby moi klienci odbierali to, co im oferowałem, każdym neuronem. No i ta wielość smaków, które mogłem im zaproponować – nieskończona niczym pi.

Skompletowanie załogi zajęło mi trochę czasu, wcześniej wszystko robiłem sam, prócz kelnerowania. Nie przeszkadzała mi praca po kilkanaście godzin dziennie. Robiłem to, co kochałem. Ponieważ zainwestowałem w restaurację wszystkie swoje oszczędności, przez pierwsze miesiące nawet w niej spałem, bo nie stać mnie było na wynajęcie mieszkania. Uwielbiałem Picante bez reszty. Tam właśnie poznałem Patrycję... – Adam urwał, a jego oczy posmutniały. Po chwili podjął opowieść: – Pewnego dnia przed południem przyszedł do mnie Jamal, mój host, wiesz, facet zajmujący się wprowadzaniem gości na salę i obsługą rezerwacji w Picante, z którym zresztą przyjaźniłem się poza pracą. Powiedział, że jakaś kobieta nalega na spotkanie ze mną i za nic nie chce opuścić lokalu. Normalnie kazałbym mu ją spławić – restauracja była jeszcze zamknięta – ale tym razem coś mnie tknęło. Jak się okazało, słusznie. Przy wejściu czekała na mnie śliczna dziewczyna. Z rozmowy wynikało, że jest córką polskich emigrantów, urodzoną w Stanach Zjednoczonych. Nazywała się Patrycja Kamińska. Wspomniała, że niedawno ukończyła fizykę molekularną na Uniwersytecie Columbia, choć jej uroda pasowała bardziej do modelki niż pracownika naukowego. Przez chwilę w osłupieniu przyglądałem się, z jaką gracją zajmuje wskazane miejsce, jak odgarnia za ucho kosmyk włosów. Mógłbym tak gapić się bez końca, ale chrząknięcie Jamala przywróciło mnie brutalnie do rzeczywistości. Roześmiała się, jakby czytała mi w myślach, a ten śmiech całkowicie mnie oczarował. Po krótkiej rozmowie przeszła do meritum. Zależało jej na zarezerwowaniu stolika na najbliższy piątek i zmartwiła się, gdy Jamal powiedział jej, że termin trzeba rezerwować z trzytygodniowym wyprzedzeniem.

Zanim podjąłem decyzję, wysłuchałem historii jej rodziny. Pan Kamiński, operator koparki z Podlasia, przeniósł się do Stanów w latach osiemdziesiątych, poznał Polkę, też emigrantkę, mieszkającą na Greenpoincie, i założył rodzinę. Wiodło im się nie najgorzej, czasem udawało im się nawet coś odłożyć z myślą o studiach córki. Dziewczyna nie powiedziała tego wprost, ale domyśliłem się, że jest jedynaczką. Musiała być ich oczkiem w głowie. Zbliżały się właśnie sześćdziesiąte urodziny jej ojca, które postanowiła uczcić kolacją w Picante. Albo dobrze zarabiała na uniwerku, albo długo oszczędzała – nie należeliśmy wtedy do tanich knajp. Ujęło mnie to, w jaki sposób mówiła o ojcu i matce, ujęła mnie jej szczerść i szacunek. Widziałem

wręcz wzruszenie w jej oczach, gdy opowiadała, jak ciężko harowali rodzice, by opłacić jej studia. Poza tym była onieśmielająco piękna. Jak się domyślasz, nie mogłem się nie zgodzić. Tym bardziej że dostawienie stolika tylko niezauważalnie zmniejszyło przestrzeń w lokalu.

Chciała poprosić o coś jeszcze, ale najwyraźniej nie miała śmiałości. Prawie siłą wydusiłem z niej, że marzy, by jej ojciec powrócił do smaków, do których tęsknił. Między wierszami wyczytałem, że Kamiński wyjechał do Stanów w nieprzyjemnych okolicznościach i od tego czasu nie odwiedził ojczystego kraju. Obiecałem, że zrobię, co się da, by solenizant był zadowolony.

Zarezerwowałem im stół na piątek. W środę zamówiłem najlepszej jakości produkty, jakie można tu dostać. W piątek rano odebrałem dostawę – ryby pachniały polskim jeziorem, warzywa naszą ziemią, grzyby lasem. Nawet ja poczułem się jak w domu. Koszt składników był bez porównania niższy niż opłaty celne i za transport, ale już wtedy wiedziałem, że nie robię tego dla zysku. Podobał mi się sam pomysł. No i podobała mi się Patrycja.

Jamal dał mi znać, że przyszli. Wyjrzałem dyskretnie. Patrycja wyglądała zniewalająco w seledynowej koktajlowej sukience i szpilkach w takim samym kolorze. Strój stanowił niezwykłą oprawę dla jej zielonych oczu ukrytych za stylowymi okularami. Uderzało jej podobieństwo do matki. Pani Kamińska była elegancką, zażywną kobietą o twarzy noszącej ślady dawnej urody. Jej mąż, ojciec Patrycji, był od obu kobiet wyższy o głowę, i to mimo noszonych przez nie szpilek. Ubrany w kraciatą koszulę o eleganckim kroju i stylową marynarkę, czuł się chyba trochę nieswojo. Postanowiłem dać z siebie wszystko. Już dawno obmyśliłem sobie, co i jak przygotować. Oczywiście zżerał mnie stres i przeklinałem swoje drżące dłonie. Wydawałem dania jak w transie. Po deserze dygotałem jak w febrze. Chciałem wyrzucić na rodakach, a głównie na dziewczynie, jak najlepsze wrażenie.

Kwadrans później na kuchnię wpadł Jamal. Zwykle tego nie robił, szanując moją przestrzeń. Wydawał się poruszony. Powiedział, że jestem proszony na salę, a minę miał, jakbym mu psa przejechał. Włożyłem czysty fartuch i poszedłem. Patrycja wraz z matką wpatrywały się w ojca. Tak jak mówiłem, był to potężny mężczyzna, miał prawie dwa metry wzrostu i ważył może ze sto dwadzieścia kilo. W wielkiej jak bochen chleba zaciśniętej dłoni trzymał zmiętą serwetkę. Po jego pobrużdżonej zmarszczkami twarzy płynęły łzy wielkie jak grochy. Skapywały z obfitych wąsów wprost do talerza po głównym daniu. Serce skoczyło mi do gardła.

– No i widzi pan, co pan narobił? – Dziewczyna zwróciła w moją stronę duże, wykrojone na kształt migdałów oczy. Ku mojemu zdumieniu zauważyłem w nich błysk rozbawienia, nie złości.

– Prze... – przełknąłem głośno ślinę. – Przepraszam – wydusiłem, czując wypełzający na twarz rumieniec. Byłem na siebie zły, że nie podołałem zadaniu. Przemknęło mi przez myśl, że może mu nie smakowało albo był na coś uczulony. Podszedłem i nachyliłem się nad mężczyznę. – Czy coś się stało? Nie smakowało panu?

– Chłopcze – powiedział po dłuższej chwili, gdy już wytarł twarz chusteczką, w którą potem wydmuchał wielki nochal. – Toż to nasza Polska na talerzu! – Ujął moją rękę i na oczach gości bezceremonialnie ucałował wierzch mojej dłoni. – Sprawileś mi wielką, wielką przyjemność. Do dziś marzyłem, żeby jeszcze choć raz zobaczyć naszą polską ziemię albo chociaż spróbować polskiej kuchni. A ona była tutaj, na tym właśnie talerzu. Teraz mogę umrzeć spokojny.

– Oj, tato! – skarciła go córka. – Przyszliśmy tu świętować twoje urodziny. Nie opowiadaj, proszę, takich rzeczy. Chociaż trudno się z tobą nie zgodzić. – Uśmiechnęła się do mnie, ukazując równe, białe zęby. – Jedzenie, które pan przygotował, nie było dobre. Było cudowne. Choć mam wątpliwości, czy można to w ogóle nazwać jedzeniem. To było tak, jakby

rozłożył pan moje kubki smakowe na atomy, a potem złożył w całość w zupełnie innej konfiguracji.

– Pati, pan chyba nie rozumie, o co ci chodzi – wtrąciła matka dziewczyny, widząc moją minę. – Albo jest pan bardzo zdolny, albo ma pan niebywałą wiedzę. Ja również jestem pod wrażeniem tego, co pan podał. Takiego sandacza nie jadłam od lat – dodała. Dopiero teraz zauważyłem, że ma rozmazany makijaż, a oczy nadal jej się szklą.

– Przestaje mnie dziwić popularność pańskiej restauracji, choć nigdy nie sądziłem, że będę mógł być pana gościem. – Kamiński po raz pierwszy się uśmiechnął. – Dobrze wiedzieć, że nasz rodak odniósł taki sukces w Nowym Jorku. Jeśli będzie chciał nas pan kiedyś odwiedzić, to zapraszamy. Mieszkamy na Greenpoincie, nad Apteką Mazowiecką. Znajdzie pan na pewno.

– Cieszę się, że państwu smakowało – odetchnąłem z ulgą. Polubiłem tę rodzinę i dyskretnie nakazałem Jamalowi zmniejszenie ich rachunku o połowę.

I tak zaczęła się nasza znajomość. Patrycja regularnie rezerwowała stolik w Picante, przychodząc ze swoimi współpracownikami z uniwersytetu. Z czasem poznaliśmy się lepiej i szybko okazało się, że jesteśmy jak dwie połówki jabłka. Była niezwykła. Z jednej strony jako naukowiec twardo stąpała po ziemi, a z drugiej – bujała w obłokach. Była piękna, inteligentna i zakochana we mnie po uszy. Z wzajemnością. Spędzaliśmy ze sobą tyle czasu, ile się dało, choć pochłaniały nas obowiązki zawodowe. Zgadaliśmy się prawie we wszystkim, poza chęcią posiadania dziecka. Ja czułem, że to mój najlepszy zawodowy czas, a Patrycja marzyła o dziecku, które dopełni naszego szczęścia. Po roku się oświadczyłem, po dwóch latach byliśmy małżeństwem. Po trzech stało się coś, co było kluczowym momentem naszego życia – urodził się nam syn Julek. Nasi rodzice byli wniebowzięci. Moi wzięli kredyt, by kupić bilety lotnicze. Nigdy nie widziałem ich tak szczęśliwych. Traktowali Patrycję jak córkę, której nie mieli, a Julka jak największy skarb. Byłem pewien, że pokochali go bardziej niż mnie, i nie miałem im tego za złe. – Adam westchnął ciężko. Pokręcił się niespokojnie w miejscu i kiedy już znalazł wygodną pozycję, kontynuował opowieść: – Chciałbym powiedzieć, że maluszek był dla mnie całym światem, ale tak nie było. Konkurencja odebrała mi pracowników i znów musiałem harować w restauracji sam. Został wprowadzić Jamal, z którym się przyjaźniłem, ale nie miał serca do pracy w kuchni. Pracowałem więc po szesnaście godzin dziennie, prawie nie wiedząc, co dzieje się w domu. Powtarzałem sobie, że to tylko na pewien czas, że niedługo znajdę pracowników. Swoją nieobecność wynagradzałem rodzinie nowymi nabytkami: dom, samochód, meble, kino domowe. Zawsze było coś nowego, czym można było zagłuszyć wyrzuty sumienia. Gdyby wtedy ktoś, na przykład rodzice Patrycji, dał mi w pysk i kazał się opanować, pewnie bym to zrobił. Ale oni cieszyli się z każdej nowo zakupionej rzeczy, jakby kupili ją sami. Wreszcie ich córka miała wszystkiego pod dostatkiem, miała wszystko to, na co ich nigdy nie było stać. Dla ich córki spełnił się amerykański sen. Nawet nie sądzili, jak dalecy są od prawdy.

Dzień po dniu obiecywałem sobie i swojej rodzinie, że to nie potrwa długo. Wracalem, gdy już spali, wychodziłem, gdy jeszcze spali. Byłem tak wyczerpany, że nie słyszałem ani płaczącego Julka, ani Patrycji wołającej, że maluch ma gorączkę lub kolkę. A Julek często chorował. Rozwiałą się marzenia Patrycji o powrocie na uniwersytet. Rodzice próbowali jej pomagać, ale Patrycja była ambitna. Nie chciała pomocy, reagowała alergicznie na każdą dobrą radę. Z czasem zaczęła się od nich oddalać. Ode mnie zresztą też. Nie zauważyłem, kiedy przestała mi opowiadać o molekułach, atomach, chemii kwantowej. Prawie przestała się odzywać. Nie zauważyłem tego, jak gasła.

Tamtej pamiętnej nocy nad miastem szalała burza, znacznie groźniejsza od polskich burz. W pewnym momencie wyłączono prąd, więc pożegnałem klientów i zamknąłem restaurację. W domu było cicho i ciemno. Zapaliłem latarkę, którą trzymaliśmy w kuchni. To był pierwszy

wieczór od urodzenia Julka, kiedy wróciłem przed dwudziestą drugą. Zacząłem szukać żony i syna. Mieliśmy duży, piętrowy dom, z mnóstwem pokoi, sypialni i zakamarków. Otwierałem pomieszczenie po pomieszczeniu, zaczynając od pokoju Julka, a kończąc na garderobie Patrycji. Co jakiś czas przez okna wpadał błysk pioruna. Na końcu korytarza była łazienka. Już otwierając drzwi, czułem, że to, co za nimi zastanę, zmieni moje życie na zawsze.

W wypełnionej wodą wannie leżała Patrycja. Nad jej brzuchem, z twarzą zanurzoną w wodzie, unosił się Julek. Szybko wydobyłem ich ciała. Oni... oni... – Adamem wstrząsnął szloch.

Anna nie wiedziała, czy powinna go pocieszyć, czy też pozwolić, aby dał upust tłumionym emocjom. Wybrała to drugie, a Adam z każdą chwilą stawał się spokojniejszy. Wreszcie otarł wierzchem dłoni lzy płynące mu po twarzy.

– Przeraziłem się, gdy zobaczyłem, jak chuda jest Patrycja. Nigdy nie zapomnę widoku ich oczu. Było w nich wszystko – strach, ból, cierpienie i żal. Żal zapamiętałem najbardziej, bo to ja byłem jego adresatem. Nie pamiętam, czy próbowałem ich reanimować. Ratownicy medyczni twierdzili, że tak. Krzyczałem, aż ochryłem, gdy przyjechała policja. Dopiero na przesłuchaniu dowiedziałem się, że moja żona od kilku lat cierpiała na anoreksję, którą zapijała alkoholem. W momencie śmierci ważyła trzydzieści siedem kilogramów. W jej krwi wykryto znaczną ilość alkoholu i leków przeciwdepresyjnych. Podobno od dwóch lat leczyła się psychiatrycznie u kilku różnych specjalistów. Widziałem pogardę w oczach policjantów, gdy okazało się, że o niczym nie wiedziałem.

Pogrzeb pamiętam jak przez mgłę. Było mnóstwo ludzi. Gdy zobaczyłem rodziców Patrycji, nie poznałem ich. Wyglądali jak para osiemdziesięciolatek. On po zawale, ona po udarze. Trzęsące się ręce, zaciśnięte usta, tiki nerwowe. Nieobecne oczy, jakby nafaszerowano ich lekami, zresztą pewnie tak było. Wielki mężczyzna wyglądał jak pozbawiona powietrza piłka plażowa. Mnie przyprowadził Jamal, po tym jak postawił mnie na nogi porządną porcją kokainy. Zmusił mnie do włożenia garnituru, który sam znalazł w mojej szafie.

– Ty skurwysynu! To twoja wina! – krzyczał stojący po drugiej stronie trumny ojciec Patrycji. W mgnieniu oka znów stał się potężnym, groźnym facetem. Był tak wściekły, że ślina kapłała mu na klapy garnituru, a oczy niemal wychodziły z orbit. – To przez ciebie nasza córeczka i wnuczek nie żyją! Obyś gnił w piekle!

Uszedłem z życiem tylko dlatego, że przytrzymali go inni żałobnicy. Szkoda, powinienem był dać się wtedy zabić. Oni mieliby poczucie sprawiedliwości, a ja wieczny spokój. Jamal odciągnął mnie, gdy tylko opuścili trumnę. Dopiero wtedy zobaczyłem, jak wiele wrogich oczu wpatruje się we mnie.

I znów nadeszła mgła. Tym razem alkoholowa. Po trzech tygodniach byłem odwodniony, ciało znaczyły odleżyny powstałe od ciągłego przebywania w przesiąkniętej rzygowinami i fekaliami pościeli. Nie jadłem, nie myłem się, nie myślałem. Moja codzienna aktywność ograniczała się do pokonania drogi między sypialnią a drzwiami wejściowymi, w których czekał taksówkarz z siatką pełną alkoholu. Za którymś razem był to jednak Jamal wraz z trzema postawnymi mężczyznami w białych uniformach.

Wylądowałem w ośrodku psychiatrycznym New York State Psychiatric Institute z rozpoznaniem ciężkiej depresji reaktywnej. Przez prawie pół roku faszerowali mnie życiodajnymi kroplówkami i środkami przeciwdepresyjnymi. Bezskutecznie. Jest tylko jedna rzecz, która może wyciągnąć cię ze szponów osobistej tragedii. To świadomość, że istnieje na świecie większa tragedia. O ile otworzysz się na tyle, by dostrzec obarczonego nią człowieka. Mnie się to udało.

Nazywał się Ethan Gabriel Jones. Zobaczyłem go po raz pierwszy po jakichś pięciu

miesiącach leczenia, kiedy zaczęło ustępować moje katatoniczne otępienie. Później dowiedziałem się, że przyjęto go na oddział, zanim ja tu trafiłem. Nie wyglądał jak typowy pacjent szpitala. Ubrany w koszulkę moro i szare spodnie dresowe siedział wyprostowany przy stoliku, wpatrując się w okno. Któregoś razu pielęgniarka Betty – największa gaduła i plotkara na całym oddziale – wiozła mnie na wózku, bym zażył nieco wieczornego powietrza na ogrodzonym szpitalnym patio. Ethan odwrócił się od okna, spojrzał na mnie i posłał mi lekki uśmiech. Mógłbym przysiąc, że to był uśmiech, choć podobno mężczyzna nie uśmiechał się do nikogo.

Ethan Gabriel Jones był katolikiem, żołnierzem marines i Amerykaninem. Dokładnie w tej kolejności. Jego fanatyczni rodzice wychowali czterech niemal tak samo radykalnych synów. Ethan jako jedyny w kilku sprawach nie podzielał ich fanatyzmu. Był za to całkowicie oddany armii, w której służył, i krajowi. Gdy wracał z jednej misji, tego samego dnia na biurku dowódcy łądował wniosek o wyjazd na następną. Kiedy tylko komisja kwalifikacyjna zatwierdziła jego podanie, pakował się i leciał. W ciągu siedmiu lat dwa razy został ranny i pięć razy odznaczono go medalem za wybitną służbę. W trakcie misji do Pakistanu uczestniczył w odbijaniu zakładników Al-Kaidy. Wtedy poznał Yasmin, pakistańską chrześcijankę, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia.

Trzy lata zajęło mu sprowadzenie jej do Stanów. Trzy lata wydeptywania ścieżek do przełożonych, do urzędów imigracyjnych, do oficjeli państwowych. Żyli miłością i mejlami, które do siebie pisali. Oboje doskonale wiedzieli, że ich korespondencja jest sprawdzana, ale mimo to pisali do siebie codziennie czułe listy. Dzięki znajomości ważnych oficerów, którzy znali jeszcze ważniejszych, Ethanowi udało się w końcu dopiąć swego. Gdy po trzech latach odebrał ukochaną z lotniska, był to najszczęśliwszy dzień jego życia. Rodzina Ethana bardzo ciepło przyjęła jego ukochaną, z wyjątkiem ojca. Już pierwszego dnia Jones senior w obecności wszystkich nazwał ją dzikuską i terrorystką. Matka Ethana pocieszała syna, że ojcu przejdzie, że ma ostatnio trochę problemów z alkoholem, przyjmuje silne leki, jednak Ethan widział w jego oczach nienawiść głęboko wżartą w mózg i serce. Kiedy nie pojawił się na ich ślubie, Ethan wiedział, że owa nienawiść pomieszana ze starczym szaleństwem pochłonęła ojca całkowicie.

Po pięciu latach mieli już czwórkę cudownych dzieci: najstarszy był Noe, po nim urodziły się bliźnięta Michael i Gabriel, a potem najmłodsza Maria, która była oczkiem w głowie tatusia. Ethan wręcz oszalał na jej punkcie. Sielanka trwała, dopóki w pobliżu nie pojawiał się jego ojciec, który na widok rodziny pluł w ich stronę albo rzucał tym, co miał pod ręką. Ethan pracował w jednostce, na magazynie i po każdym telefonie od zaniepokojonej Hajam błyskawicznie przyjeżdżał, aby sprawdzić, czy rodzina jest bezpieczna. Zwykle jego żona niepotrzebnie panikowała, ale kilka razy widział tył olbrzymiego pikapa ojca, znikającego za rogiem ulicy, na której mieszkali.

W wieku trzech lat Maria zachorowała. Początkowo dziewczynka skarżyła się, że widzi obłoczki. Dopiero trzeci okulista rozpoznał rzadki przypadek czerniaka złośliwego, trawiącego oboje oczu. Na pierwsze kosztowne zabiegi złożyła się rodzina i pół miasteczka, w którym mieszkali. Żeby zdobyć środki na następne operacje, Ethan postanowił pojechać na kolejną misję. Tym razem szczęście go opuściło. Dwa tygodnie po wylądowaniu w Afganistanie został pojmany i uwięziony. Stanowił dla terrorystów kartę przetargową – nie dość, że doświadczony żołnierz, to jeszcze bohater. Wielokrotnie poddawano go torturom. Przy życiu utrzymywała go tylko myśl o rodzinie i modlitwa. Nawet nie wiedział, że dzięki nagłośnieniu sytuacji jego rodziny w mediach mała Maria przeszła trzy operacje usunięcia nowotworu, które zakończyły się sukcesem. Po dwóch latach piekła został uwolniony przez siły specjalne. Wracał do domu okaleczony psychicznie i fizycznie, a mimo to wdzięczny Bogu, że dał mu siłę, aby przetrwać.



Gdy w samolocie dowiedział się, że jego córeczka jest zdrowa, płakał jak dziecko. Klęcząc w przejściu, całował ręce przełożonego, który mu o tym powiedział. Wierzył, że teraz wszystko się ułoży.

Jeszcze przed wylądowaniem media ponownie okrzyknęły go bohaterem. Na lotnisku zaplanowano uroczyste powitanie, oczekiwano przybycia żony z dziećmi. Hajam wraz z czwórką maluchów wyjechała trzy godziny przed czasem, aby nie spóźnić się na przylot ukochanego męża. W połowie drogi na lotnisko w ich osobówkę wjechał trzytonowy pikap wylądowany ziemią ogrodniczą. Matka wraz z trójką dzieci zginęła na miejscu, zmiażdżona jak w prasie hydraulicznej. Ciężko ranną Marię przewieziono śmigłowcem do szpitala w stanie krytycznym. Za kierownicą pikapa siedział ojciec Ethana. Zrobił to, bo nie mógł znieść myśli, że jego syn – bohater – będzie na lotnisku witany przez ciapatą rodzinę. Wolał ich zabić niż dopuścić do publicznego pohańbienia syna.

Powracającego bohatera przywitani na lotnisku przełożeni i biegły psychiatra. Czterech żołnierzy żandarmerii wojskowej okazało się zbyt małą eskortą. Oszalały z rozpaczy Ethan był gotowy dać się zastrzelić, byleby jak najszybciej dostać się do szpitala, do ukochanej córeczki. Wszyscy bali się, że w tym stanie weteran może być nieobliczalny. Sprawę rozwiązano za pomocą paralizatora i zastrzyku. Pod silną eskortą i opieką psychologiczną zawieziono go do umierającej Marii. Lekarze robili wszystko, co w ich mocy, by dziewczynkę uratować. Nie pomogły transfuzje krwi ani śpiączka farmakologiczna. Tego samego dnia, gdy umarła, Ethan kazał zamknąć się w szpitalu psychiatrycznym. Dlaczego podjął taką świadomą decyzję, Betty nie wiedziała. Być może wiedzieli to lekarze, ale ostatecznie wyjaśnił mi to sam Ethan.

To był upalny czerwcowy wieczór. Lepkie i gęste powietrze przyklejało się do skóry. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, dało się odczuć ciepło oddawane przez nagrzone mury szpitala. Mimo to pielęgniarz Steven regularnie wyprowadzał nas na patio. Ethan jak zwykle siedział wyprostowany, ze wzrokiem wbitym w jeden punkt. Steven postawił mój wózek tuż obok jego ławeczki i zaciągnął hamulec.

Przez długi czas siedzieliśmy w milczeniu i pewnie wyglądaliśmy jak dwa manekiny. Kontrast między nami musiał być porażający. Ja chudy, z podkrążonymi oczami, niemogący utrzymać się na nogach. On zawsze idealnie ogolony, z włosami przystrzyżonymi w typową fryzurę marines. Postawny, wyprostowany, sztywny jak kij od szczotki. W tle brzmiała piosenka Sweet Home Alabama. Obserwowałem, jak linia cienia wędruje po ścianie wyżej i wyżej. Kiedy była mniej więcej w połowie drogi do dachu, Ethan obrócił głowę niczym sowa i zapytał mnie zachrypniętym, odwykłym od mówienia głosem:

– Czemu wciąż tutaj jesteś?

– Słucham? – wydusiłem zaskoczony.

Wcześniej wiele razy siedzieliśmy blisko siebie i nigdy nie dał nawet najmniejszego znaku, że zdaje sobie sprawę z mojej obecności.

– Dlaczego wciąż tutaj jesteś? – powtórzył, wlepiając we mnie wzrok.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Pewnie dlatego, że wciąż nie jestem zdrowy. Może nigdy nie będę.

– To zależy od ciebie. Twoja dusza należy do Boga, ale właścicielem ciała jesteś ty. Choruje twoje ciało czy dusza?

– Chyba jedno i drugie – odparłem. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym. – A co to ma do rzeczy?

– Wiem, przez co przeszedłeś – powiedział, a widząc mój zaskoczony wzrok, dodał: – Nie tylko Betty jest tu straszną plotkarą. Dziwię się, że nie próbujesz naprawić wyrządzonego zła.

– A ty? Ty przecież też straciłeś rodzinę.

Jego oczy na chwilę pociemniały, a może to było tylko złudzenie.

– Moją winą, podobnie jak twoją, była nieobecność, gdy rodzina najbardziej mnie potrzebowała. Wiesz, dlaczego kazałem się tu zamknąć? Nie dlatego, że zwariowałem. Chciałem mieć pewność, że w chwili słabości nie dopuszczę się morderstwa swojego ojca, choć zasługuje na to jak nikt na świecie. Bo widzisz – gdy zabijesz mordercę, liczba morderców na świecie pozostanie taka sama.

– To prawda. – Skinąłem głową. Wiara i głębia przemyśleń tego człowieka mnie poraziły.

– Ale co ja mogę zrobić? – Wzruszyłem ramionami.

– Możesz oddać dług, jaki zaciągnąłeś u Boga w chwili urodzenia. Otrzymałeś czystą duszę. Dlaczego chcesz oddawać mu ją pokiereszowaną, zniszczoną i brudną? Wyjdź stąd. Zrób coś dla innych. Oddaj czas, który ukradłeś. Zapanuj nad swoim ciałem. I zacznij naprawiać duszę.

Ten wieczór zmienił moje życie. Przez następny tydzień biłem się z myślami, odpychałem od siebie słowa Ethana, ale w głębi serca wiedziałem, że miał rację. On naprawiał swoją duszę, pomagając takim jak ja. To była jego pokuta. Nigdy więcej nie odezwał się do mnie, choć zagadywałem go wielokrotnie. Dokładnie tydzień po naszej rozmowie zjadłem pierwszy posiłek. Po miesiącu byłem już dobrze odżywiony, regularnie ćwiczyłem i uczęszczałem na psychoterapię. Na moją prośbę Jamal podjął starania, by wyciągnąć mnie ze szpitala. Spędziłem tam dokładnie dziewięć miesięcy i dziewięć dni. Gdy zamknęły się za mną główne drzwi, był 29 sierpnia 2005 roku i w Nowy Orlean uderzył właśnie huragan Katrina. Usłyszałem o tym w radiu, kiedy Jamal wiozł mnie do domu.

Trzydziestego sierpnia jako ochotnik akcji humanitarnej wylądowałem na lotnisku imienia Louisa Armstronga. To, co zobaczyłem w Nowym Orleanie, było przerażające. Przez moment pomyślałem, że nie dam rady, że chcę wrócić do szpitala. Albo Bóg opuścił to miejsce, albo szatan się tu wprowadził. Strzaskane domy, na których dachach można było znaleźć wszystko, łącznie z samochodami, przyczepami kempingowymi i łózkami. Zalane wodą ulice, powalone drzewa. Setki ciał napuchniętych od wody i gorąca.

Jako że miałem doświadczenie, przydzielono mnie do kuchni polowej. Miałem pod sobą trzydziestu ochotników. Harowaliśmy po kilkanaście godzin dziennie, wydając tysiące posiłków. Spaliśmy, gdzie się dało, każdy kął był dobry. Po jakimś czasie zacząłem odczuwać pewną ulgę. Uśmiechy wdzięcznych mieszkańców, klepanie po plecach, chmara dzieciaków biegnących za mną. Ethan miał rację – oddając się pomocy innym, odkupywałem swoje winy. Spędziłem w Nowym Orleanie prawie trzy miesiące, z czego ostatni w domach zaprzyjaźnionych mieszkańców.

Tuż po Nowym Roku wróciłem do domu. Był pusty i obcy. Otoczony rzeczami należącymi do Patrycji i Julka popadałem w rozpacz. Straciłem motywację, by poszukać kolejnej misji humanitarnej. Znowu przestałem o siebie dbać, przestałem jeść, a zacząłem pić. Coraz rzadziej odwiedzałem grób żony i synka. Każda wizyta otwierała świeżą ranę, staczałem się na dno. Zlicytowanie zadłużonej restauracji było jak cios w serce. Po raz kolejny Jamal postawił mnie na nogi. Zdecydował, że muszę wrócić do Polski, do bliskich, inaczej czeka mnie kolejny pobyt w psychiatryku. Skontaktował się z moimi rodzicami, jeszcze kiedy byłem w szpitalu, i wszystko im opowiedział. Mama płakała przez tydzień, a ojciec postanowił, że weźmie następny kredyt i przyjedzie po mnie. Jamal zapewnił ich, że niedługo wyjdę i pewnie przyjadę do Polski. Kiedy zauważył, że po powrocie z Luizjany znowu się załamam, zadzwonił do nich i wspólnie ustalili, że muszę wrócić.

Dopadło mnie już w samolocie. Strach i potworny wstyd. Nie wiedziałem, jak po tym

wszystkim mógłbym spojrzeć swoim rodzicom w oczy. Pewnie gdyby nie zrządzenie losu, byłbym teraz w innym miejscu. Z powodu złych warunków pogodowych lot przekierowano z Warszawy do Poznania. Z duszą na ramieniu przeszedłem przez kontrolę paszportową. Wypełniona pasażerami sala przylotów szybko pustoszała. Na zewnątrz czekał autokar, który miał ich zabrać do Warszawy. Długo patrzyłem, jak moja walizka przemieszcza się na taśmie. Zostawiłem ją i zniknąłem na zaśnieżonych ulicach Poznania. Mimo wszystko chciałem pozostawić moim rodzicom jakiś ślad.

Co było dalej, możesz się domyślić. Tułałem się z miejsca na miejsce. Początkowo gdy przycisnął mnie głód, podejmowałem różne prace. Ale moje fatum wracało, przykuwając mnie do łóżka. Odczuwałem lęk tak paralizujący, że nie potrafiłem ruszyć się z miejsca. Im gorzej się czułem, tym mniej pracowałem. Im mniej pracowałem, tym bardziej podupadałem na zdrowiu. Pieniądze szybko się skończyły i zacząłem nocować gdzie popadnie. Zbierałem złom, grzebałem w śmietnikach, dojadłem resztki pozostawione w restauracjach. Wcześniej myślałem, że stoczyłem się na dno. Myliłem się. Dopiero teraz znalazłem się na dnie, zagrzebany w mule na metr. Po ośmiu, nie, dziewięciu latach takiego życia spotkałem ciebie...

Kiedy Adam skończył, zapadła przejmująca cisza, jakby cały dom wsłuchiwał się w jego opowieść.

– O cholera... – Anna wytarła chusteczką rozmazany tusz i pociągnęła nosem. Gestem poprosiła go, aby usiadł obok niej na kanapie. Przyszedł bez słowa. Gdy go objęła, poczuł delikatny zapach jej perfum. – Przepraszam, że tak nalegałam. Nie wiedziałam...

– Nie, Aniu. To ja przepraszam – odpowiedział Adam łamiącym się głosem. – Nie powinienem był cię tym obciążać.

– Adaś, to wszystko... – Nie wiedziała, jak przekazać mu to, co czuła. – Nie chciałabym, abyś sobie pomyślał, że pochopnie oceniam sytuację, ale chyba nie powinieneś przypisywać całej winy sobie.

– Nie! – krzyknął Adam, zerwał się z kanapy i cofnął o krok. Wpatrywał się w Annę, a jego oczy pociemniały. – Wszystko, co się zdarzyło, to moja wina!

– Adam, ja nie...

– Moja! Rozumiesz?! – Jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie. Zacisnął pięści, a twarz wykrzywił mu grymas. – Moja! I nic tego nie zmieni!

Po raz pierwszy wystraszył Annę. Zawsze był ostoją spokoju i nie spodziewała się po nim takiego wybuchu. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ruszył w kierunku drzwi. Czują, jak ciepłe łzy płyną jej po policzkach. Adam wzuł gumofilce, kurtkę i wybiegł na dwór. Dopiero powiew chłodnego powietrza wyrwał ją ze stuporu. Pobiegła za nim, lecz gdy dotarła do drzwi, ujrzała znikającą w ciemności sylwetkę.

– Adam! – krzyknęła, ale wiatr wepchnął jej krzyk z powrotem w usta.

## Rozdział 10

Ocknęła się z krótkiego, przerywanego nerwowym nasłuchiowaniem snu, gdy było jeszcze ciemno. Adam nie wrócił. Zazwyczaj nie martwiła się o niego, ale tym razem zadrżała z niepokoju. Po emocjach ubiegłego wieczoru i nieprzespanej nocy czuła się tak, jakby ostatnią dobę spędziła, pracując fizycznie. Głowa ómiła ją od płaczu, miała spuchnięte powieki i obolałe mięśnie. Domyślała się, że Adam ma za sobą trudne życie, ale czegoś takiego się nie spodziewała.

Ogień w kominku już dawno wygasł. W pomieszczeniu zaczynało robić się nieprzyjemnie chłodno. Wyjęła z szafy wełniane poncho i otuliła się nim szczelnie. Przez kuchenne okno wychodzące na podjazd zobaczyła ślady na śniegu. Wsunęła stopy w zimne kozaki i wyszła na ganek. Ślady wiodły za furtkę i ginęły na zaśnieżonej drodze. W powietrzu unosił się jeszcze zapach palonego tytoniu.

Anna wróciła do środka. Po raz pierwszy ogarnęły ją wątpliwości. Polubiła tego małomównego, skromnego mężczyznę i była pewna, że jest w stanie mu pomóc. Cóż, zamierzała nawet nie sprzedawać domu w Jantarze, dopóki nie będzie do tego zmuszona. Do tego czasu Adam mógłby tu mieszkać.

– Na co liczyłaś, ty kretynko? – powiedziała do siebie, czując narastającą złość.

Nie musiała się zastanawiać, dobrze wiedziała na co. Od jakiegoś czasu patrzyła na Adama inaczej. Ujmował ją swoim spokojem i przewidywalnością. Chociaż znali się krótko, nigdy się go nie bała, ba, z każdym dniem darzyła go coraz większym zaufaniem. Podobał jej się również dlatego, że krańcowo różnił się od Eryka. Był człowiekiem z krwi i kości, nie marmurowym posągim o idealnych rysach i równie zimnym wnętrzu. Był opiekuńczy i troskliwy, zawsze najpierw myślał o niej, dopiero potem o sobie. Mimo braku gruntownego wykształcenia znał życie i świat lepiej niż wszyscy jej znajomi, był inteligentny i odcytany. Żałowała, że nie stanął na jej drodze kilkanaście lat temu zamiast Eryka, nawet jeśli musiałyby walczyć o pierwszeństwo z jego pasją kulinarną.

Zapakowała do torebki tylko kilka drobiazgów, zdjęła z wieszaka płaszcz i zamknęła za sobą drzwi. Odśnieżając szyby samochodu, poczuła, że żebra jeszcze jej dokuczają. Z dachem dała sobie spokój, licząc na to, że zgubi śnieg po drodze. Zanim ruszyła, wybrała w telefonie numer Ali.

– Halo? – Zaspany głos przyjaciółki nie pozostawiał wątpliwości. W końcu była siódma rano w niedzielę.

– Obudziłam cię, przepraszam...

– Nie szkodzi. Co u ciebie? – Alicja szybko oprzytomniała.

– Ala, ja... Musimy pogadać, to nie jest rozmowa na telefon.

– Jasne, kiedy będziesz?

– Za jakieś czterdzieści minut, może godzinkę. Zależy od warunków na drodze.

– Okej. Jedź ostrożnie.

– Będę. Pa. – Anna zakończyła połączenie, wyjeżdżając na asfaltową drogę wiodącą do Mikoszewa. Rozglądała się za Adamem, czując narastające wyrzuty sumienia. Nie chciała go tak zostawiać, ale zdążyła się już przyzwyczaić, że w pewnych momentach musiał być sam.

Pod dom Alicji zajechała dopiero o wpół do dziewiątej. Drogi rzeczywiście były słabo odśnieżone, ale Anna zahaczyła jeszcze o ich ulubioną cukiernię. Pączki z toffi stanowiły niemal obowiązkowy punkt ich babskich spotkań.

Ala nie próżnowała. Pomimo wczesnej pory w mieszkaniu czuć było zapach środków

czyszczących, a sama gospodyni przywitała Annę w nienagannym stroju, na twarzy zaś miała staranny makijaż. „Cóż, singielki mają pewną przewagę w życiu”, pomyślała Anna, choć sama nie mogła narzekać. Filip już dawno wyrósł z jedzenia śniadań, a Eryk nigdy rano nie zawracał sobie głowy jedzeniem, wypijał tylko poranną kawę. Wprawdzie ostatnio było zupełnie inaczej, ale... O tym musiała właśnie porozmawiać z przyjaciółką.

– Matko święta, Anka! Jak ty wyglądasz?! – Alicja zakryła usta dłonią. – Co się stało?

Anna położyła reklamówkę z pączkami w korytarzu.

– Ala... – Zabrakło jej słów.

Nieoczekiwanie dla samej siebie przytuliła się do przyjaciółki. Owionął ją dobrze znany zapach wyrazistych perfum Ali. Przez długi czas łkała, nie mogąc wydusić ani słowa. Alicja nie nalegała, nie poganiała jej, dopóki Anna nie się uspokoiła.

– Ala, ja się rozsypuję... – zaczęła, gdy udało się jej nieco opanować emocje.

– Chodź, skarbie. – Alicja pomogła jej zdjąć płaszcz. – Wszystko mi opowiesz.

Pomimo wczesnej pory na stoliku obok kawy i pączków znalazły się również dwie wypełnione niemal po brzegi lampki porto. Na oparciu skórzanej kremowej kanapy usadowiły się dwa koty Alicji – Brad i Pitt. Anna najpierw pomyślała, że chętnie by któregoś przytuliła. Słyszała, że koty mają doskonały wpływ na samopoczucie człowieka. Później jednak przypomniała sobie, jak wredny charakter mają zwierzęta przyjaciółki. Sama Alicja twierdziła, że w niczym jej nie ustępują pod tym względem.

Zanim Anna przeszła do wydarzeń ostatniej doby, opowiedziała Alicji wszystko, co wydarzyło się od ich ostatniego spotkania w szpitalu. Aż trudno było uwierzyć, że tak długo się nie widziały. Ala usprawiedliwiała się nawałem pracy, lecz Anna podejrzewała ją o ukryte zamiary – przyjaciółka chciała dać jej i Adamowi czas na rozwój znajomości.

Rozkleiła się, gdy zaczęła opowiadać o mężczyźnie. Długo mówiła o wszystkim, czego w ostatnich tygodniach doświadczyła. Alicja słuchała z uwagą, a gdy Anna skończyła relacjonować historię Adama, zobaczyła, że przyjaciółka też ma oczy mokre od łez. Na Alę zawsze mogła liczyć. Nawet jeśli przyjaciółka nie zgadzała się z pewnymi decyzjami Anny, zawsze starała się je zrozumieć. Potrafiła słuchać jak mało kto, choć miała wybuchowy temperament i cięty język. Adam zażartował kiedyś, że jest kobietą, u której krokodyl mieszka w każdej szufladzie. O dziwo, Ala tylko roześmiała się, słysząc to porównanie. Teraz uważnie wpatrywała się w oblicze przyjaciółki.

– Wiedziałaś, że Adam ma za sobą jakąś historię. Nikt nie zostaje bezdomnym, bo mu się powiodło w życiu – stwierdziła i ugryzła pączka. Był świeży i pachnący. Na ich ulubioną cukiernię można było liczyć nawet w niedzielę o ósmej rano.

– Niby tak, ale teraz już sama nie wiem, na co liczyłam. Mam wyrzuty sumienia, że tak to z niego wycisnęłam.

– Nie żartuj, Adam nie wygląda na kogoś, kogo można do czegoś zmusić. Skoro ci opowiedział, to znaczy, że był gotowy. Pytanie tylko, czy ty byłaś?

– Nie wiem. Strasznie wczoraj wyglądał... Boję się, że zniknie na dobre.

– Rozmawiałaś z nim potem?

– Niestety nie. Nie wrócił, a telefon zostawił w domu. Napisałam mu tylko liścik. Porozmawiam z nim po południu, gdy wrócę.

– O nie, nigdzie dzisiaj nie jedziesz. Nie w tym stanie. – Alicja spojrzała wymownie na drżące dłonie przyjaciółki.

– I tak miałam zapytać, czy nie przygarnęłabyś mnie na kilka dni. Muszę poukładać sobie kilka spraw, a nie chcę wracać na Morenę. Wiesz, Filip...

– Wiem, wiem. – Ala uśmiechnęła się ciepło i objęła Annę. – Możesz tu mieszkać, jak

długo chcesz. Przyda mi się towarzystwo. Poza tym kiepsko wyglądasz, skarbie.

– Nic mi nie jest, Aluś.

– Akurat – prychnęła lekarka niczym jeden z jej kotów. – Nawet nie ruszyłaś pączka.

Mimo ponurego nastroju Anna się roześmiała.

\* \* \*

Alicja dwoiła się i troiła, ale nie zdołała namówić Anny ani na masaż, ani na wizytę u kosmetyczki czy fryzjera. Wprawdzie po wielogodzinnych namowach Anna dała się uprosić na wyjście do galerii handlowej, ale chodziła po niej jak w transie, błędząc nieobecny wzrokiem po wystawach. W końcu Alicja dała za wygraną. Uważała, że w trudnych chwilach nie ma nic lepszego niż wizyta w SPA czy przepuszczenie sporej sumy na głupoty. Ania była jednak zupełnie inna i Ala ze smutkiem stwierdziła, że przez lata nic się nie zmieniło. „Najwyraźniej niektóre kobiety nigdy nie dojrzewają”, pomyślała w duchu.

Anna coraz częściej przyłapywała się na tym, że nie słucha, co Ala do niej mówi. Raz za razem wracała w myślach do ubiegłej nocy, analizując każde słowo wypowiedziane przez Adama. Trzykrotnie zrywała się, by pojechać do Jantaru, i tylekroć dawała się przekonać przyjaciółce, by tego nie robiła.

– Anka, daj spokój. Jak miał zamiar zniknąć, to zniknął. A jeśli chce zostać, to potrzebuje czasu na przemyślenie sytuacji. Tak samo jak ty – perorowała Alicja, podziwiając swoje hybrydowe paznokcie. – Chcesz drinka?

– Cholera, wpędzisz mnie w alkoholizm. – Przyjaciółka spojrzała na nią wilkiem. – Poproszę martini ze sprite'em. Albo nie, margaritę.

– Się wie. Anka, ja muszę rano pędzić na dyżur. Obiecuj mi, że nie zrobisz nic głupiego. – Ala zabrała się do przygotowywania drinka.

– Nie jestem dzieckiem – fuknęła obrażona Anna. – Nie musisz mnie tak pilnować. Zresztą nie wiem, co masz na myśli.

Alicja podała przyjaciółce kieliszek przyozdobiony na brzegu solą. Zapachniało cytrusami.

– Na przykład to, że nie pognasz do Jantaru, gdy tylko przekręcę klucz w zamku. Obiecuj!

– No dobra, dobra... – Anka upiła łyk i skrzywiła się, gdyż przyjaciółka nie żałowała tequili. Chuchnęła i dodała: – Poczekam przynajmniej do twojego powrotu.

Alicja pożegnała się około północy. W zasadzie to Anna wygnała ją do łóżka, obserwując z rosnącą irytacją jej maraton ziewania. Teraz przysunęła barowy stółek do blatu umieszczonego pod obejmującym całą ścianę oknem. Alicja pochodziła z bardzo bogatej rodziny gdańskich handlarzy nieruchomościami i loft, który zamieszkiwała, był wspaniale wyposażony. Nigdy nie zawracała sobie głowy życiową stabilizacją. Lubiła przelotne romanse z dobrze sytuowanymi facetami po pięćdziesiątce, które najczęściej kończyły się karczemnymi awanturami.

Anna wpatrywała się w zamierający ruch na ulicach Przymorza, sącząc margaritę przygotowaną przez Alicję tuż przed snem. Z jedenastego piętra miała doskonały widok na zatokę. Niebo znów się zachmurzyło i zatoka wyglądała teraz jak czarna plama na horyzoncie, którą rozświetlały tylko światła pozycyjne statków stojących na kotwicy, niczym hojnie rozrzucone różnobarwne kryształy: rubin, szmaragd, diament. Widok przyprawiał o szybsze bicie serca, ale wzrok i myśli Anny powędrowały na wschód, do Jantaru. Zastanawiała się, czy Adam wrócił do domu. Czy w ogóle jeszcze go spotka? Dopija drinka, obserwując drobny prószący śnieg, przypominający wiórki kokosowe. Gdy wyszła spod prysznic, ulice zdążyły pokryć się białym nalotem, porozcinanym pomarańczowym światłem przejeżdżających piaskarek. Przed zaśnięciem raz jeszcze pomyślała o Adamie. Miała nadzieję, że jest mu ciepło.

\* \* \*

Było mu zimno, przeraźliwie zimno. Gumofilce trzymały ciepło przez jakiś czas, ale w trakcie kilkugodzinnego marszu szybko się wyziębiły. Nie wiedział, jak daleko zaszedł, lecz nie rozpoznawał okolicy, choć wcześniej zdarzało mu się robić naprawdę długie spacer. Czasami przystawał, wpatrując się w punkt na horyzoncie, czasami chował się w lesie, gdy wiatr i śnieg zaczynały tańczyć tango na pustej plaży. Kulił się pod okazałymi sosnami i wychodził, gdy zarządzano przerwę w tańcu. Obserwował, jak przemija wyjątkowo krótki dzień – może najkrótszy w roku – a niebo przed nim przybiera odcień betonowej płyty, z której pobudowano gdańskie falowce. Dopiero gdy zaczęło się ściemniać, przystanął na pustej, smaganej podmuchami lodowatego wiatru plaży i rozejrzał się. Wydawało mu się, że widzi przed sobą światła latarni morskiej. Mogła to być ta w Krynicy Morskiej. Mimo że przemarzał do kości, jego umysł zaczynał się oczyszczać. Wcześniej stanowił kłębek czarnych, splątanych myśli. Teraz powoli zaczynał je rozplątywać.

Kochał ją. Po cichu i w głębi serca, swoją kulawą i pokiereszowaną miłością. Nie mógł przestać o niej myśleć. Tyle że taki wniosek nie prowadził do niczego dobrego. Przypuszczał, że też nie był Annie obojętny. Darzyła go przyjaźnią, a ostatnio patrzyła na niego inaczej. Ale to nie miało szans powodzenia, dopóki Adam był tym, kim był – bezdomnym żulem, śmierdziadem bez przyszłości, włóczęgą z bagażem doświadczeń, którego nikt – nawet on sam – nie był w stanie udźwignąć. Związanie się z tą piękną, ciepłą kobietą, która dopiero odzyskiwała kontrolę nad swoim życiem, byłoby zawieszeniem jej kamienia u szyi. Nie mógł na to pozwolić, zwłaszcza jeśli ją kochał.

Wydmuchawszy nos, postawił kołnierz kurtki, poprawił czapkę i ruszył z powrotem. Na horyzoncie majaczyły światła Trójmiasta, wskazując Adamowi drogę.

Gdy dotarł do Jantaru, było już na tyle późno, że miejscowość całkowicie opustoszała. Jediną oznaką, że świat nie zatrzymał się w kadrze, była migająca latarnia, która raz po raz podświetlała światłem stroboskopowym tysiące płatków śniegu. Na szczęście zaczęło padać dopiero niedawno. Po jakimś czasie Adam przestał odczuwać zimno. Kiedyś też tak było. Pamiętał ten moment, kiedy ból zmarzniętych palców staje się tak jednostajny, że organizm przestaje go sygnalizować. Fala bólu powracała, często ze zdwojoną siłą, gdy znalazł ciepłe miejsce, w którym mógł odtajać.

Wszedł do domu i przystanął w sieni, nie zapalając światła. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w głuchą ciszę. W powietrzu nadal unosił się zapach perfum Anny. Świadomość, że dom jest pusty, wywołała ukłucie żalu. Zgrabiętymi z zimna palcami wymacał włącznik i nacisnął go.

Dopiero gdy usiadł na krześle przy kuchennym stole, poczuł, jak bardzo jest głodny i zmęczony. Z szafki pod oknem, w której Ania zwykła trzymać puste słoiki po przetworach, wyciągnął puszkę mielonki turystycznej. To była reszta zapasu, z jakim tu przybył. Ania żartowała, że aby się go pozbyć, muszą sobie kupić psa, i to takiego z mocnym żołądkiem. Adam wyjął wszystkie puszki i przeliczył je. Zostało sześć sztuk. Otworzył jedną z nich i szybko pochłonął zawartość wielkimi kęsami, przegryzając lekko czerstwym chlebem. Wyglądało na to, że właśnie rozpoczynał się jego powrót do poprzedniego życia, ale nie czuł rozżalenia. Wiedział, że prędzej czy później musiało to nastąpić, i w duchu dziękował losowi za czas, który przyszło mu spędzić w tym domu.

Nie trudził się z rozbieraniem. Zaległ na kanapie tak, jak przyszedł, okrywając się ulubionym kocem Anny. Przez chwilę patrzył w sufit, po czym zgasił lampę. Zasnął niemal natychmiast.

Zapełnionego drobnym pismem zwitka papieru, który wiatr wiejący z otwartych drzwi zsunął z blatu i delikatnym ruchem posłał pod jedną z szafek kuchennych, miał nigdy nie przeczytać.

\* \* \*

Dzień dwudziestego trzeciego grudnia był jak co roku nietypowy. Niby zwykły dzień powszedni, w którym każdy pracujący obywatel musiał wykonać swoje codzienne obowiązki, ale w powietrzu unosiło się już przedświąteczne napięcie, które od nich odrywało. Nie było jeszcze tak silne jak w wigilię Bożego Narodzenia, jednak wyraźnie dawało się już odczuć magię.

Anna od rana obserwowała objuczone świątecznymi zakupami kobiety wylewające się z pobliskiej Biedronki. Jeszcze zanim sklep został otwarty, ustawiały się blisko siebie, chroniąc się przed wszechobecnym wiatrem i śniegiem, który osiadał na ich czapkach i słynnych moherowych beretach. Po raz pierwszy od wielu lat magia świąt zupełnie na Annę nie działała. Co więcej, łapała się na tym, że momentami traci poczucie czasu, przenosząc się na długie minuty do odległego o kilkadziesiąt kilometrów Jantaru.

Wstała, zanim jeszcze zadzwonił budzik Alicji. Nie chcąc budzić przyjaciółki warkotem ekspresu mielącego ziarna kawy, zadowolona się szklanką mleka. Sączyła ją niemal od godziny, siedząc w piżamie o marynarskim kroju, użyczona jej przez Alę. Tak jak poprzedniego wieczoru usadowiła się na stołku barowym przy blacie zamocowanym pod oknem. Ktokolwiek wpadł na taki pomysł urządzenia kuchni, wiedział, co robi. Jedyne, czego nie przewidział, to że przyszły lokator może uzależnić się od widoku za oknem.

Zadzwonił budzik w komórce Alicji i zaspana przyjaciółka pojawiła się w drzwiach sypialni, przecierając oczy. Pod względem porannego wstawania kobiety były całkowitymi przeciwieństwami. Anna codziennie przestawiała swój budzik na kilka do kilkunastu drzemek.

– Hej. – Alicja ziewnęła i podeszła do blatu, robiąc dokładnie to, na co Anna miała ochotę: włączyła ekspres i ustawiła go na dwie duże kawy. – Jadłaś coś? – spytała po chwili, podając przyjaciółce parujący kubek.

– Nie, nie chciałam cię budzić. – Anna obróciła się na stołku i z wdzięcznością przyjęła gorący napój.

– Matko święta, jak ty wyglądasz, dziewczyno?! – Alicja posłała jej długie, pełne dezaprobaty spojrzenie. – Spałaś w ogóle?

– Tak, przespałam kilka godzin – przyznała smętnie Anna.

– Wyglądasz, jakbyś w ogóle oka nie zmrużyła...

Anna przez dłuższą chwilę milczała, obserwując Alicję zalewającą mlekiem dwie porcje owocowego musli. Musiała przyznać, że przyjaciółka była wzorem, jeśli chodziło o poranki – punktualna pobudka, pożywne śniadanie, kanapka i pudełko bakalii do pracy. Ona zazwyczaj wychodziła do pracy bez śniadania, a dzień rozpoczynała od kawy, choć ostatnie tygodnie wyglądały zupełnie inaczej. Z lubością przywołała w myślach poranki, kiedy budziła się i schodziła na dół, wiedząc, że w jeszcze ciepłym piekarniku zastanie garnek pysznej owsianki. Adam lubił doprawiać ją – wzorem Szkotów – solą. Zazwyczaj nie widywała go podczas jej przygotowania, ale kiedy już się zdarzyło, zobaczyła, że miesza owsiankę drewnianą łyżką zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Podobno w innym wypadku diabeł siedzący w człowieku mógł zepsuć potrawę. Prawie czuła obecność mężczyzny tuż obok.

Z rozmyślań wyrwała ją przerwa w trajkotaniu Alicji. Gdy wróciła do rzeczywistości, przygwoździło ją jadowite spojrzenie przyjaciółki.

– Anka, to nie może tak być! – Lekarka stuknęła łyżką w pustą miseczkę i wytarła usta.

– Wiem. – Anna wbiła wzrok w musli i pogrzebała w nim, zmuszając się do jedzenia. Nie



czuła głodu, a żołądek miała ściśnięty. Przełknęła dwie łyżki, by uniknąć tyrady przyjaciółki. Zasalutowała teatralnie i zdobyła się na uśmiech. – Już się poprawiam.

– Mnie nie oszukasz. – Ala nie spuszczała z niej wzroku. – Ty mi się tu rozchorujesz, jak tak dalej będzie.

Anna milczała, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Przecież widzę, co się dzieje. Nie śpisz, nie jesz. Siedzisz i gapisz się w okno.

– To co ja mam robić, Ala? – Rzuciła przyjaciółce błagalne spojrzenie.

– Sama wiesz najlepiej. Pytanie tylko, jak długo będziesz ze sobą walczyła. Miałas już związek z rozsądku. Jeśli teraz nie pójdziesz za głosem serca, to kiedy?

Po chwili milczenia Anna zerwała się od stołu, chwyciła leżącą na komodzie w korytarzu torebkę i ruszyła do drzwi.

– Anka, co ty, do cholery, robisz? – Alicja wybiegła za nią na klatkę schodową.

– Jadę do niego! – wrzasnęła Anna i rzuciła się ku schodom, nie czekając na windę. Echo jej krzyku odbijało się w korytarzu.

– W piżamie?!

– Dam sobie radę! – krzyknęła, tracąc przyjaciółkę z oczu. Zrzuciła kapturę i przeskakiwała po dwa, trzy schodki, nie zważając na zimno.

Dziesięć minut później mknęła tunelem pod Martwą Wisłą, wsłuchując się w płynącą z głośników muzykę. „Kto ci powie, kiedy jest za późno? Kto ci powie, że nie wszystko dobrze się układa?” – pytał lider The Cars, nucąc kojącym głosem słowa piosenki Drive. Znała ten utwór, podobnie jak znała odpowiedź na wszystkie pytania padające w utworze. Wcisnęła mocniej pedał gazu i żółte mini wyrwało do przodu, pozostawiając za sobą śnieżny warkocz.

\* \* \*

Był na nogach, nim jeszcze świt wepchnął pierwsze promienie światła przez wycięte w okiennicach wzory. Zdjął z szafy niewielką, zniszczoną walizkę. Tę samą, z którą tu przybył. Zanim spakował do niej dobytek, wziął gorący prysznic i nieco przystrzygł brodę, bacząc, by zostawić po sobie porządek. Dopiero gdy ekspres do kawy przestał terkotać, wypływając z dysz spienione podwójne espresso, pozbierał swoje drobiazgi. Po czasie, jaki tu spędził, dom stał się znajomy, ale przedmioty należące do niego wydawały mu się dziś obce i niepasujące do otoczenia. Popijając wodą intensywną w smaku i aromacie kawę, obracał w palcach skarby zgromadzone w trakcie swojego tułaczego życia. Scyzoryk z krzywym ostrzem, foliowa torebka z resztką podłego tytoniu, zmięty skórzany portfel, w którym znajdowały się równo ułożone banknoty. Dzięki pieniądзом otrzymanym od rybaka Stacha powinien przeżyć zimę. Możliwe, że będzie chłodno, ale na pewno nie głodno.

Do walizki zapakował tylko to, co uznał za najbardziej potrzebne. Anna wyposażyła go w garderobę nader hojnie, ale zapakowanie wszystkiego, co otrzymał, było niemożliwe ze względu na rozmiar bagażu. Resztę rzeczy starannie poskładał i odłożył w widoczne miejsce.

Na samą myśl o kobiecie o czekoladowych oczach nerwowo skurcz ścisnął mu żołądek. Gdyby Ania tu była, chciałaby, żeby zabrał wszystko, co mu sprezentowała. Problem w tym, że gdyby robił to, czego chciała Ania, musiałby tu zostać. A nie mógł. Przegadali setki godzin na wszystkie możliwe tematy, lecz odkryła ledwie wierzchołek góry lodowej, jaką był Adam. Nie widziała, bo nie mogła widzieć, tych wszystkich obrazów, które mężczyzna miał przed oczami każdego dnia. Przesłaniały mu cały świat i istniała duża szansa, że nigdy nie przestaną.

Mimo wszystko ociągał się z wyjściem. W końcu dopił resztkę zimnej kawy i umył filiżankę. Zaczęło się rozwidniać, więc po chwili zastanowienia uznał, że dochodzi ósma. Ostatnim, pełnym żalu spojrzeniem omiółł wnętrze domu, w którym spotkało go tak wiele

dobrego, po czym wyszedł na podwórze. Świt był mroźny, ale rześki. Spomiędzy jasnoszarych chmur przebijało się słońce, krzesząc iskry na uładzonej wiatrem powierzchni śniegu. Zdjął koc ze swojego wózka, strząsając z niego biały puch. Obok równo poustawianych butelek, których nie zdążył sprzedać, postawił walizkę. Metalowy uchwyt był nieprzyjemny w dotyku, a śnieg mokry i ciężki, tak jakby wszystko wokół chciało zatrzymać go w domu. Odpędził tę myśl i pociągnął wózek, zostawiając za sobą dwie głębokie koleiny.

Co jakiś czas przystawał, obawiając się, że zza zakrętu wyłoni się żółty „skoczek” Anny. Śmiała się, gdy go tak nazywał. Odetchnął dopiero, kiedy wszedł na ulicę prowadzącą do plaży. Nie wiedział jeszcze dokładnie, dokąd się skieruje, lecz pragnął po raz ostatni przejść się tym piaszczystym brzegiem, po którym tyle razy spacerowali. Początkowo z turystycznej mapki wybrał na chybił trafił Elbląg, który leżał stosunkowo blisko, lecz gdy tylko wyruszył, poczuł dobrze znany zew wolności. Nie musiał iść do Elbląga. Mógł pójść, dokąd chce.

Minął przystań rybacką, z ulgą odnotowując, że nigdzie nie ma znajomej żółto-niebieskiej łupiny, na której spędził tyle czasu. Wody zatoki były spokojne, pokryte równomiernymi falami, a od morza dmuchał zimny, lecz łagodny wiatr.

Adam ruszył wzdłuż znajomego brzegu. Zatrzymywał się co jakiś czas, gdy znalazł bursztyn. Uszedł zaledwie kilkaset metrów, na tyle by ucichł wrzask mew zamieszkujących okolice przystani, gdy usłyszał wycie silnika. Sekundę później z betonowego podjazdu zjechała w stronę wody znajoma sylwetka żółtego mini. Samochód wrył się głęboko w piasek i śnieg, wyrzucając je w powietrze.

Mężczyzna zmrużył oczy. Gdy piasek opadł, zobaczył biegnącą w jego kierunku Annę.

\* \* \*

Do Jantaru gnała jak szalona, świadomie ignorując przepisy. Jeszcze w mieszkaniu Ali dopadło ją wyjątkowo silne przecucie, że jeśli nie zrobi tego teraz, to jedyna szansa w jej życiu przypadnie. Nie wierzyła w magię, ale po dzisiejszym ranku była skłonna zmienić zdanie.

Gdyby teraz namierzył ją policyjny radar, stałaby się sensacją pomorskich, a może nawet ogólnopolskich mediów, które przez kilka dni żyłyby policyjnym pościgiem. Sto trzydzieści koni, galopujących pod maską niewielkiego auta, obudziło się krótko po tym, gdy opuściła parking pod domem Alicji. Na szczęście o tej porze cały ruch odbywał się w stronę Trójmiasta, więc do Jantaru dotarła w pół godziny. Zatrzymała się dopiero, gdy znalazła się na drodze gruntowej prowadzącej w kierunku domu. Z niedowierzaniem wpatrywała się w głębokie ślady kół. Wiedziała, że nie zostawił ich samochód. A więc się nie pomyliła. Pytanie tylko, czy nie dotarła zbyt późno.

Dzięki słabo odśnieżonej jezdni udało jej się zawrócić niemal w miejscu. Nie musiała śledzić koleiny w śniegu – wiedziała, dokąd prowadzi. Dodała gazu, a rozgrzany samochód wyrwał do przodu. Gnała ulicą Morską o wiele szybciej, niż pozwalał na to rozsądek. Wpadła na podjazd przystani rybackiej, niemal urywając podwozie. Wytraciwszy nieco prędkość, wjechała na piasek, w którym auto się zakopało. Sylwetkę Adama i jego wózka rozpoznała natychmiast.

Otworzyła drzwi i postawiła stopę na lodowatej mieszaninie piasku i śniegu. Przez ułamek sekundy pożałowała wyrzuconych na klatce schodowej kapci.

– Aaaaaaam! – zawołała, biegnąc w jego kierunku. Krzyk spłoszył kormorany grzebiące w wyrzuconym przez fale drewnie. Zostawiała głębokie ślady w podmywanym falami piasku. – Aaaaaaam!

Mężczyzna zatrzymał się, osłonił oczy ręką, po czym ruszył w jej stronę. Nie dowierzał temu, co widzi. Marynarska piżama Ani furkotała na wiejącym od morza wietrze. Po chwili kobieta zatrzymała się kilka kroków od niego, oddychając ciężko. Spojrzał jej w oczy, które dziś

miały kolor bursztynu przetykanego blaskiem odbitym od śniegu. Lśniły ogniem, którego wcześniej nie widział.

– Aniu... – zaniemówił, widząc jej białe stopy.

– Zamknij się! – fuknęła na niego, nie odzyskawszy w pełni oddechu. – Zamknij się i słuchaj, Adamie Kort. Nie po to gnałam tu jak wariatka, żebyś mnie zbył „aniowaniem”.

Adam w milczeniu skinął głową.

– Od kiedy zjawiłeś się tutaj, moje życie stanęło na głowie – podjęła łagodniejszym tonem. – A że na głowie stoi już cały świat, to można powiedzieć, że wróciło do normy. W ciągu tych trzech miesięcy dałeś mi wszystko, czego nie otrzymałam od męża przez lata: szacunek, przyjaźń, zaufanie. Słuchałeś uważnie, tak jak nikt nigdy mnie nie słuchał. Dwa razy uratowałeś mi życie. Byłeś przy mnie, gdy cię potrzebowałam...

– Nie wiesz...

– Wiem. Wiem, że przeżyłeś tragedię, po której się nie pozbierałeś. Że zamknąłeś się w swojej skorupie i chciałbyś, żeby świat zamknął się w swojej. Ale to tak nie działa. Chcesz czy nie, przestałeś być mi obojętny już dawno temu. – Podeszła do niego bliżej.

Adam spuścił wzrok.

– Aniu, masz dobre serce – powiedział cicho. – Najlepsze, jakie znam. I dlatego boję się, że wszystko, o czym mówisz, to tylko litość ukryta pod innymi emocjami. Tak będzie lepiej, lepiej dla wszystkich. Nie chcę nikogo narażać na to, co może się ze mną stać. Lepiej jest żyć dla siebie niż umrzeć dla kogoś.

Anna wiedziała, że w jego słowach kryło się coś jeszcze. Panicznie bał się straty, dostrzegła strach w jego wzroku, gorączkowo poszukującym ratunku w upstrzonym muszelkami piasku.

– Adam, wiem, co robię – odrzekła po chwili namysłu. – Nie boję się i wierzę, że lepiej jest żyć dla kogoś niż umrzeć dla siebie, a to właśnie się stanie, jeśli odejdziesz. – Chwyliła go za kłapy kurtki i wspięła się na palce. Zbliżywszy twarz do jego twarzy, wyszeptwała:

– Już wiem, gdzie jest moje miejsce na ziemi...

– Tak? Gdzie? – W jego niespokojnych ciemnych oczach zobaczyła długo oczekiwany błysk dający nadzieję.

– Tam gdzie jesteś. – Przyciągnęła go jeszcze bliżej i pocałowała.

Odwzajemnił pocałunek, zanurzając palce w jej włosy i delektując się jej zapachem. Przez długą chwilę trwali tak, napawając się nieoczekiwaną bliskością.

– O rany, Aniu, ale zmarzłaś! – Adam ujął jej dłonie. Były lodowate. Otulił kobietę swoją kurtką, podniósł ją niemal bez wysiłku i ruszył w stronę domu. Pomimo zadyszki złapanej gdzieś w połowie drogi nie poskarżył się ani słowem, a ona wyczuwała, że nie powinna nic mówić. Przez cienki wełniany sweter czuła bijące od niego ciepło. Pachniał piżmem i potem.

Syknęła, gdy strumień letniej wody niemal poparzył jej stopy. Adam spojrział na nią przepaszczając i ustawił pokrętko na chłodniejszą. Pomógł jej się rozebrać i starannie obmywał jej ciało, stopniowo zwiększając temperaturę. Choć stała przed nim naga, nie czuła skrapowania. Gdy położyła dłoń na jego przemoczonej koszulce, drgnął jakby porażony jej chłodnym dotykiem. Rozmasowywał każdy skrawek zmarzniętej skóry na ciele Ani, nie bacząc, że woda przemoczyła go do suchej nitki. W końcu kobieta przestała drzeć z zimna. Szybko pomogła mu wydostać się z mokrych ubrań.

Zaskoczyła ją gwałtowność i siła namiętności, którą Adam w sobie skrywał, a której tak chętnie się poddała. W przeszklonej kabinie prysznicza zachowywał się jak drapieżnik po długim okresie głodu. Jęknęła, gdy w nią wszedł, i wplotła palce w jego włosy, przyciągając go do siebie jeszcze mocniej. Wbiła mu paznokcie w ramiona, a on ugryzł ją w szyję. Czuła napływające

stopniowo fale rozkoszy. Uczucie, o którym niemal zapomniała. Pożałowała, że skończyli tak szybko, ale oboje zdawali sobie sprawę, że winny był długi okres posuchy. Wychodząc z kabiny, Adam pożegnał ją powłóczystym spojrzeniem. W oczach miał żar, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Dokończyła prysznic, delektując się gorącą wodą tak długo, jak pozwalała na to pojemność bojlera. Gdy tylko poczuła pierwsze chłodniejsze strugi, zakręciła wodę. Nie spieszyła się. Już nie musiała. Wmasowała w ciało wszystkie kosmetyki, na które miała ochotę.

Czas, który spędziła w łazience, Adam poświęcił na rozpalenie w kominku. Wprawdzie powietrze w pomieszczeniu było jeszcze chłodne i nieco wilgotne, ale ciepło bijące od otwartych drzwiczek kominka cudownie przenikało przez gruby szlafrok Anny. Na stolikach, półkach i podłodze wokół kanapy paliły się świeczki różnych rozmiarów i kształtów. Słyszała, jak Adam krząta się po kuchni. Zanim pojawił się w salonie, dotarł do niej zapach przygotowywanego przez niego grzanego wina, któremu Anna przypisywała magiczne właściwości. W powietrzu unosił się aromat cytryn, pomarańczy, goździków i cynamonu.

– Proszę, napij się, póki gorące. – Adam podał jej gliniany kufelek. Upiła łyk, czując, jak zbawienne ciepło rozchodzi się po jej wnętrzu. – Co też cię podkusiło, żeby wybiec od Ali bez butów?

– Cóż... Czas mnie gonił – powiedziała, odstawiając kubek.

– Mam nadzieję, że się nie przeziębisz. Alicja mnie zabije, jeśli tak się stanie.

– Ten prysznic bardzo mi pomógł. No, nie tylko on. – Uśmiechnęła się zawadiacko. – Nadal jednak nie czuję się w pełni rozgrzana.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że Adam nie odczytał aluzji. Dźwignął się z kanapy i zniknął w kuchni, by po chwili powrócić z butelką oliwy.

– Połóż się na brzuchu – powiedział, delikatnie zsuwając szlafrok z jej ramienia.

Wypiła wino duszkiem i zrobiła to, o co prosił. Po chwili poczuła jego gorące dłonie na swoich barkach i ramionach. Wokół unosił się zapach piżma, korzennych przypraw i świec zapachowych. Dopiero teraz zrozumiała, że była nie tylko zmarznięta, ale także zestresowana. Z rozkoszą chłonęła ruchy jego rąk, co jakiś czas wydając z siebie koci pomruk. Adam wiedział, co robi. Czowała, jak prześlizgujące się po jej ciele dłonie wlewają w nią ciepło i ulgę. Czytając w jej myślach, przesunął się niżej. Jęknęła cicho, gdy dotarł do dołeczków nad pośladkami. To było wyjątkowo wrażliwe miejsce na mapie jej ciała.

Masował ją długo, rozgrzewając powoli każdą partię jej ciała, aż stało się jedną wielką strefą erogenną. Pośpiech i gwałtowność, z jakimi dotykał jej pod prysznicem, ustąpiły miejsca delikatności. Kawałek po kawałku odkrywał sekrety jej ciała. Czowała, jak znów budzi się w niej pożądanie. Adam skrupulatnie odczytywał sygnały, jakie mu dawała. Doskonale wyczuwała jego podniecenie i zamierzała je wykorzystać.

Tej nocy odzyskała wszystko, co straciła przez ostatnie dwadzieścia lat swojego życia.

## Epilog

Wyszedł z restauracji frontowymi drzwiami i wytarł ręce w śnieżnobiały fartuch. W powietrzu unosił się zapach morskiej bryzy pomieszany z przyjemną wonią wilgotnego drewna, którym wyłożony był taras. Ze zwiniętej markizy skapywała woda. Dochodziła dziesiąta rano i miejscowi restauratorzy dopiero otwierali swoje lokale na świnoujskiej promenadzie.

Odpalając jedyne dozwolone mu papierosa, krytycznie przyjrzał się elewacji budynku. Wymagała malowania i wyrzucał sobie, że dotychczas nie wygospodarował czasu, aby się tym zająć. Powinien znaleźć firmę, która zrobi to za niego, choć tak naprawdę liczył na pomoc Filipa. Wypuścił chmurę dymu i z zadowoleniem pomyślał o dostawach, które właśnie skończył rozkładać w obszernej kuchni. Prawie rok zajęło mu znalezienie rzetelnych, sprawdzonych przedsiębiorców i rolników dostarczających produkty najwyższej jakości. Po długich miesiącach docierania się z dostawcami wreszcie był usatysfakcjonowany. Wszystko po to, aby zapewnić gościom najlepsze dania.

Dokończył papierosa i zgasił niedopałek o rant stojącego nieopodal śmietnika. Już miał wracać do środka, kiedy u wylotu promenady zobaczył znajomą postać. Po cichu liczył, że ją ujrzy, dlatego nie spieszył się z paleniem. Lubił ten widok, stanowił jego rytuał podobny do tych, które mieli w Jantarze.

Za każdym razem, kiedy widział Annę, nie mógł się nadziwić, jak bardzo się zmieniła. Zawsze była piękną kobietą, lecz teraz emanowała takim blaskiem i energią, że wydawała mu się o dziesięć lat młodsza, niż była w rzeczywistości. Tylko czasem cień przeszłości przemykał przez jej uroczą twarz. Adam doskonale wiedział, że ten cień miał na imię Eryk. Choć rozwód był już dla Anny tylko wspomnieniem, to bardzo nieprzyjemnym. Turski dwoił się i troił, by przedstawić Annę w najbardziej niekorzystnym świetle, oskarżając ją o najgorsze występki małżeńskie. Jeszcze długo po tym, gdy zapadł wyrok rozwodowy, ten cień włókł się za nimi. Dopóki Anna i Filip nie zmienili numerów, Eryk bombardował ich pełnymi wyrzutów telefonami, czasem posuwał się do groźb. Ale ostatnio ucichł, a Anna odzyskała pogodę ducha.

Jak zwykle szła powolnym krokiem, uważnie lustrując mijane budynki, w których mieściły się kawiarnie, puby i restauracje. Zanim dotarła do niedbale opartego o futrynę Adama, zdążył sięgnąć po gumę do żucia. Mimo że zgodnie z umową wypalał tylko jednego papierosa dziennie, nadal nie znosiła ich zapachu i starała się – na razie bezskutecznie – namówić go do całkowitego zerwania z nałogiem.

– Dzień dobry, chef. – Położyła lnianą torbę na jednym z krzeseł ustawionych przy złożonych jeszcze parasolach. Zarzuciła mu ręce na szyję, niemal pozbawiając go równowagi, i obdarowała pocałunkiem.

– Dzień dobry, pani psycholog – odpowiedział, uśmiechając się promiennie. – Jak się zapowiada dzisiejszy dzień? Dużo masz klientów?

– Raczej spokojnie. Chyba wiosna nastraja ludzi pozytywnie i pozbawia psychologów chleba. – Puściła do niego oczko. – A twój? Planujesz na dziś coś specjalnego?

– O dwunastej ma przyjść ten Peruwiańczyk ze Szczecina. Chce u nas gotować.

– Ten od fujarek? – Anna uniosła brwi w geście rozbawienia.

Spotkali go, przechadzając się po ulicach Szczecina, gdy grał do podkładu puszczonego z trzeszczącego głośnika. Adam nie mógł przejść obok ciemnoskórego grajka obojętnie, chociaż Anna nie podzielała jego zachwyty.

– Kochanie, nie każdy chłop z widłami to Neptun. To, że jest z Peru, nie znaczy, że dobrze gotuje.

– Właśnie chcę to sprawdzić. Nie tyle zresztą jego umiejętności, ile wycucie smaku. Całej reszty mogę go nauczyć, ale tego jednego nie.

Nie zamierzała tego podważyć. Odkąd Adam otworzył w Świnoujściu restaurację z kuchnią południowoamerykańską, cieszyła się ona sporą popularnością. Wprawdzie w sezonie wszystkie lokale miały pełne obłożenie, ale Ciudad del Gusto, czyli Miasto smaku, miało swoich stałych, pozasezonowych klientów. Adam zdobył ich serca nie tylko swoim niezwykłym ceviche, ale także potrawami z kilkudziesięciu odmian ziemniaków, aromatycznie przyrządzonymi rybami czy jakże popularną ostatnio komosą ryżową w kilkunastu odsłonach. Trochę pomogła w tym lokalna prasa, która z lubością opisywała perypetie nowego restauratora z dostawcami. Szczególną sympatię mieszkańców zyskał artykuł okraszony fotografiami, na których uwieczniono Adama rzucającego warzywami w szukającego schronienia w samochodzie dostawcy. Anna musiała przyznać, że były to rzadkie sytuacje, kiedy w tego spokojnego, wręcz małowównego człowieka wstępował diabeł.

Wróciła do rzeczywistości, gdy objął ją w pasie i pocałował. Po trzech latach znajomości wciąż czuła się niczym zakochana licealistka. Dotyk jego miękkiej, pachnącej brody przypomniawszy jej pamiętny dzień na plaży i noc, która po nim nastąpiła. Przypominała sobie o tym za każdym razem, gdy mężczyzna na nią spoglądał, czy to ze spokojem, czy też z ognikami w oczach.

– Tęsknisz czasem za Jantarem? – spytała, gdy usiedli na piętrze należącej do nich kamienicy, w której mieściła się zarówno restauracja, jak i trzypokojowe mieszkanie na poddaszu. Anna zakupiła ją dzięki korzystnej sprzedaży domu, mieszkania w Gdańsku i pieniądzom uzyskanym w trakcie rozwodu.

– I tak, i nie – odpowiedział po dłuższym namyśle. Przez chwilę wpatrywał się w kremową powierzchnię espresso, po czym obdarzył ją pogodnym spojrzeniem. – Tęsknię do tych wszystkich chwil, gdy się poznawaliśmy. To było... Pamiętasz, jak nakarmiłaś mnie sałatką? Tak właśnie odkrywałem ciebie – smak po smaku. Ale dopiero teraz, kiedy mogę poczuć je wszystkie razem, jestem szczęśliwy.

Wierzyła mu. Czasami jednak dostrzegała jego smutny, zamyślony wzrok, kiedy siadał z telefonem w ręce na tarasie stworzonym na dachu kamienicy. Wybierał numer automatycznym, wyuczonym ruchem, ale nigdy nie przyłożył słuchawki do ucha. Podejrzewała, że zawsze chodziło o to samo. Adam mierzył się z perspektywą spojrzenia rodzicom w oczy. Nadal nie mógł się zdobyć na spotkanie z nimi i tkwiło to w nim niczym kolec, który nie pozwalał zbliżyć się ranie. Od czasu, gdy dowiedział się, że oboje żyją i mają się całkiem nieźle, te próby się powtarzały. Wiedziała, że potrzebuje czasu, i zamierzała dać mu go tyle, ile potrzebował. Najczęściej jednak widywała blask skrzący się w jego oczach.

– Czy twój terapeuta kazał ci to powiedzieć? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Nie – roześmiał się szczerze. – Choć byłoby to w jego stylu. Ostatnio wyjątkowo intensywnie draży naszą relację. W gruncie rzeczy nie wiem, po co jeszcze do niego chodzę. Za te pieniądze miałbym butelkę świetnej whisky, która wyleczyłaby mnie równie skutecznie.

– Adam! – fuknęła na niego, choć wiedziała, że żartuje. – Nie zaczynaj tego tematu od nowa.

Przez chwilę milczeli, wpatrując się w niemal nieskazitelnie gładką powierzchnię morza. Delikatna bryza kreśliła niewielkie zmarszczki na jego tafli.

– Filip dzwonił rano – powiedział Adam, odrywając wzrok od hipnotyzującego widoku.

– A dlaczego do ciebie, a nie do mnie? – zdziwiła się przekornie.

Odkąd jej syn zaczął studia na Akademii Sztuk Pięknych w Monachium, trzy na cztery telefony wykonywał do Adama. Nie złościło jej to. Wręcz przeciwnie – cieszyła się, że ma w nim oparcie. To Adam najbardziej pomógł Filipowi, gdy rozpadł się związek jej syna z Klaudią.

– Pewnie dlatego, że zazwyczaj o dziewiątej masz już klientów.

To była prawda, choć Filip notorycznie zapominał, że w czwartki gabinet był zamknięty. Nie miała mu tego za złe, tym bardziej że od niedawna ponownie był zakochany. Poza tym wcale by się nie zdziwiła, gdyby wolał omawiać te sprawy z Adamem.

Kiedy tylko ustabilizowała się sytuacja z restauracją, Anna otworzyła niewielki gabinet pomocy psychologicznej. Do tego czasu zdążyła już odkurzyć całą wiedzę ze studiów i pogłębić ją dzięki lekturze wielu nowych podręczników. Była mile zaskoczona, że pomimo upływu lat nawyk przyswajania wiedzy był w niej silny. Wprawdzie miała tylko kilkoro klientów, ale było jej to na rękę, pragnęła bowiem każdą wolną chwilę spędzać z Adamem, który po dopilnowaniu dostaw zazwyczaj zostawiał resztę pracy swoim pracownikom i czekał na nią, tak jak dziś, z filiżanką gorącej, aromatycznej kawy.

Adam spoglądał na morze i czuł spokój. Z każdym przeżytym z Anną dniem stawał się innym człowiekiem, a wspomnienia zdawały się płowieć niczym stare pocztówki. Tylko czasem, kiedy wiało od morza, czuł przenikający do kości chłód, który dobrze znał. W takich chwilach rzucał się w wir pracy, nie pozwalając pamięci powracać na gdańskie ulice. Anna i praca stanowiły najlepsze lekarstwo dla jego poranionej duszy. Niczego więcej nie potrzebował, a tym, co miał, można by obdzielić dziesięciu Adamów. Przez pierwszy rok nowego życia nie wierzył, że to się dzieje naprawdę. Przez drugi, że zostało mu dane na zawsze. Trzeciego roku pochował swoją dawno zmarłą rodzinę i pokochał Annę tak, jak na to zasługiwała. Bez reszty.

## Podziękowania

Długo czekałem na chwilę, kiedy będę mógł wziąć do ręki napisaną przez siebie książkę. Nadeszła niespodziewanie, przyczyniając się tym samym do spełnienia jednego z moich marzeń. Nie jest to jednak tylko moja zasługa. Do powstania niniejszej książki przyczyniło się bardzo wiele osób. Każdemu, kto wsparł mnie choćby dobrym słowem, serdecznie dziękuję.

Na szczególne podziękowania zasługuje moja żona Małgosia. Nie tylko motywowała mnie do pisania, ale także stanowiła dla mnie pierwsze źródło wsparcia oraz konstruktywnej krytyki. Chwaliła za dobre rozdziały i przywoływała do rzeczywistości, gdy za bardzo odpływałem do krainy nieścisłości. Jej kobieca perspektywa, szczerość, spostrzegawczość i poczucie humoru niezwykle mi pomagały. To właśnie ona nauczyła mnie, jak rozumieć wszystkie te skomplikowane emocje, a zwłaszcza miłość.

Nie byłoby tego tekstu, gdyby nie moi Rodzice. To w dużej mierze dzięki nim jestem tym, kim jestem. Zawsze będę im wdzięczny za nieustające wsparcie, dobre słowo i otwartość na moje pomysły. Mając za sobą takich ludzi, można przenosić góry, a co dopiero pisać powieści!

Kiedy ten tekst nabierał kształtu, nieocenieni byli dla mnie moi beta-czytelnicy: Marzenka, Marcelina, moja siostra Magda oraz mój przyjaciel Michał. Wasza spostrzegawczość, bogate doświadczenie zawodowe oraz szeroka wiedza o świecie bardzo służyły temu tekstowi. Każda Wasza uwaga jest dla mnie na wagę złota. Dziękuję, że mogę na Was liczyć.

Specjalne podziękowania należą się profesjonalistom, których spotkałem na swojej drodze. Pani Kamili Kanafie z Agencji Literackiej Macadamia dziękuję za to, że pomogła mi stawiać pierwsze kroki na drodze do wydania książki oraz za to, że dostrzegła w tym tekście potencjał i potrafiła go wykorzystać. Zespołowi z Grupy Wydawniczej Foksal dziękuję za sprawne przeprowadzenie mnie przez proces wydawniczy, serdeczność i otwartość. I za profesjonalizm w każdym calu. Mam nadzieję, że będziemy mieli okazję współpracować jeszcze wiele razy.

Wreszcie, chciałem podziękować Wam, droga Czytelniczko i drogi Czytelniku. Jeśli dotarliście do tego miejsca, to znaczy, że prawdopodobnie przeczytaliście książkę. Mam nadzieję, że przyjemnie spędziliście przy niej czas i chętnie sięgniecie po kolejne. Jeśli masz ochotę podzielić się ze mną swoimi spostrzeżeniami, napisz maila na: [mojaksiazka@autograf.pl](mailto:mojaksiazka@autograf.pl) albo skorzystaj z mojego Facebooka – zapraszam serdecznie.



- <sup>1</sup> Johann Wolfgang von Goethe, *Faust*, przekład Józefa Paszkowskiego (przyp. red.).
- <sup>2</sup> Przepraszam, gdzie w tym szpitalu jest oddział położniczy? (przyp. red.).
- <sup>3</sup> Oddział położniczy? No wiesz, dzieci... (przyp. red.).
- <sup>4</sup> Czy mogę panu pomóc? (przyp. red.).
- <sup>5</sup> Czy woli pan, abym mówił po hiszpańsku? (przyp. red.).
- <sup>6</sup> Tak. Proszę powiedzieć nam, gdzie jest oddział położniczy? (przyp. red.).

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska

Redaktor prowadzący: Anna Salwa

Redakcja: Justyna Żebrowska

Korekta: Artur Kaniewski

Projekt okładki: Joanna Strękowska

Fotografie wykorzystane na okładce: © Zoltan Tasi/Unsplash, © John Schnobrich/Unsplash

Skład i łamanie: [www.pagegraph.pl](http://www.pagegraph.pl)

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-6736-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

